

MONIKA SAWICKA

KOLEJNOŚĆ UCZUĆ

Trzeba być wielkim przyjacielem, żeby przyjść i przesiedzieć z kimś całe popołudnie tylko po to, żeby nie czuł się samotny. Odłożyć swoje ważne sprawy i całe popołudnie poświęcić na trzymanie kogoś za rękę.

Anna Frankowska

Książkę dedykuję moim Czytelnikom

PRZYPOWIEŚCI

SPOTKANIE

Byłem sam w całym przedziale pociągu. Potem wsiadła jakaś dziewczyna - opowiadał pewien niewidomy hinduski chłopiec.

Mężczyzna i kobieta, którzy ją odprowadzali, musieli być jej rodzicami. Dawali jej mnóstwo rad i wskazówek. Nie wiedziałem, jak wyglądała dziewczyna, ale podobała mi się barwa jej głosu. Czy jedzie do Dehra Dun? - pytałem siebie, kiedy pociąg ruszał ze stacji.

Zastanawiałem się, jak mogę nie dać po sobie poznać, że jestem niewidomy. Pomyślałem sobie: jeśli nie będę się ruszał z mojego miejsca powinno mi się to udać.

- Jadę do Saharanpur - powiedziała. - Tam wyjdzie po mnie moja ciocia. A pan dokąd jedzie, można wiedzieć?

- Dehra Dun, a potem do Mussoorie - odpowiedziałem.

- O, jaki pan szczęśliwy! Pragnęłabym bardzo pojechać do Mussoorie. Uwielbiam góry. Szczególnie w październiku, kiedy jest tam tak pięknie.

- Tak, to najlepszy sezon - odpowiedziałem, sięgając pamięcią do czasów, kiedy jeszcze widziałem. - Wzgórza usłane są dzikimi daliami, słońce jest łagodne, a wieczorem można sobie siedzieć wokół ogniska i rozmyślać, popijając brandy. Większa część letników już wtedy odjeżdża, ulice są bezлюдne i ciche.

Milczała, a ja zadawałem sobie pytanie czy moje słowa zrobiły na niej jakieś wrażenie, czy też jedynie myślała, że jestem sentymentalny.

Potem popełniłem błąd i zapytałem:

- Jak jest na zewnątrz?

Ona jednak w moim pytaniu nie zauważyła nic dziwnego. Czyżby już spostrzegła, że nie widzę? Jednak słowa, które zaraz po tym wypowiedziała, pozbawiły mnie wszelkich wątpliwości.

- Dlaczego pan nie spojrzy w okno? - zapytała mnie z największą naturalnością.

Przesunąłem się wzdłuż siedzenia, starając się z uwagą odszukać okno. Było otwarte, odwróciłem się w jego stronę, robiąc wrażenie, że przyglądam się mijanym widokom. Oczami wyobraźni widziałem telegraficzne słupy, które przesuwały się w biegu.

- Zauważyła pani - ośmieliłem się powiedzieć - że te drzewa wydają się poruszać?

- Zawsze tak się wydaje - odpowiedziała.

Odwróciłem się znów w stronę dziewczyny i przez pewien czas siedzieliśmy w milczeniu.

Potem powiedziałem:

- Ma pani bardzo interesującą twarz.

Zaśmiała się miło wibrującym i jasnym głosem.

- Przyjemnie to usłyszeć - rzekła.

- Nudzą mnie ci, którzy mówią, że moja twarz jest ładna!

Musisz mieć naprawdę ładną twarz, pomyślałem sobie, a po chwili dodałem pewnym głosem:

- Hm, interesująca twarz może być również bardzo piękna.

- Jest pan bardzo miły - powiedziała. - Ale dlaczego jest pan taki poważny?

- Już niedługo będzie pani na miejscu - stwierdziłem dość nieoczekiwanie.

- Dzięki Bogu. Nie lubię długich podróży pociągiem.

Ja natomiast byłbym gotów siedzieć tak nieskończenie długo, byleby tylko słyszeć, jak ona mówi. Jej głos posiadał tak srebrzysty dźwięk jak górski strumień. Zaraz po wyjściu z pociągu zapomni pewnie o naszym spotkaniu. Ja jednak zachowam ją w swojej pamięci przez pozostałą część podróży, a może i dłużej.

Pociąg wjechał na stację. Ktoś zawołał i zabrał ze sobą dziewczynę. Pozostał po niej jedynie zapach. Mruczając coś pod nosem wszedł do przedziału jakiś mężczyzna. Pociąg ruszył ponownie. Odszukałem po omacku okno i usadowiłem się naprzeciwko, wpatrując się w światło, które było dla mnie ciemnością.

Jeszcze raz mogłem powtórzyć moją grę z nowym towarzyszem podróży.

- Szkoda, że nie mogę być tak nęcącym towarzyszem w podróży jak ta dziewczyna, która dopiero wyszła - powiedział do mnie, starając się nawiązać rozmowę.

- To bardzo interesująca dziewczyna - stwierdziłem. - Czy mógłby mi pan powiedzieć... czy jej włosy były długie, czy krótkie?

- Nie pamiętam - odpowiedział zdawkowym tonem. - Przyglądałem się jedynie jej oczom, a nie włosom. Były rzeczywiście piękne! Szkoda, że nie mogły jej do niczego służyć... Była niewidoma. Nie zauważył pan tego?

Dwoje niewidomych ludzi, którzy udają, że widzą. Ileż ludzkich spotkań jest podobnych do tego. Ze strachu, by nie objawić tego, jacy jesteśmy naprawdę zaprzepaszczamy nieraz najważniejsze spotkania naszego życia.

A niektóre spotkania zdarzają się jedynie raz w życiu. Może i to także?

ZAPACH DESZCZU

Zimny mroźny wiatr tańczył za oknem szpitala w Dallas, kiedy lekarz wszedł do małego pokoju, w którym leżała Diana Blessing, która była wciąż wykończona po operacji.

Jej mąż, David, trzymał jej rękę, kiedy drżeli w oczekiwaniu na wiadomości. Tamtego popołudnia, 10 marca 1991 roku, komplikacje zmusiły Dianę, która była dopiero w 24 tygodniu ciąży, do cesarskiego cięcia, które miało sprowadzić na świat córeczkę pary, Danę Lu Blessing.

Rodzice mieli świadomość, że mierząca 30,5 centymetra i ważąca 708 gram córeczka urodziła się niebezpiecznie wcześnie, jednak słowa lekarza nadal wydawały się być raniącymi ich pociskami.

- Nie wydaje mi się, żeby były jakiejkolwiek szanse na jej przeżycie - powiedział tak delikatnie, jak mógł. - Jest tylko dziesięć procent szans, że przetrwa tę noc, a nawet wtedy, jeśli jakimś cudem przetrwa, jej przyszłość może być bardzo okrutna.

Sparaliżowani niedowierzaniem David i Diana słuchali lekarza, który opisywał problemy, jakim Dana musiałaby stawić czoła, gdyby przeżyła. Nigdy nie byłaby w stanie chodzić, mówić, prawdopodobnie byłaby niewidoma i podatna na inne urazy tj. porażenie mózgowe, całkowity niedorozwój mózgowy i wiele innych.

Wszystko, co mogła wykszusić Diana to zaprzeczenie. Ona i mąż David wraz z ich pięcioletnim synem Dustinem długo marzyli, że pewnego dnia Dana będzie częścią ich rodziny. Teraz, w ciągu kilku godzin ich marzenie oddalało się coraz bardziej. Tymczasem nowe troski spadały na barki Diany i Davida. Okazało się, że system nerwowy Dany jest niedojrzały i najdelikatniejszy pocałunek lub pieszczota mogły tylko przyczynić się do jej cierpienia, więc rodzice nie mogli

nawet kołysać ich malutkiej dziewczynki przy piersi i wspomagać jej siłą ich miłości.

Wszystko, co mogli robić, kiedy Dana w płątaninie rurek i przewodów walczyła o życie pod ultrafioletowym światłem, było modlić się, aby Bóg był blisko ich drogocennej maleńkiej córeczki. Ale przydarzały się chwile, kiedy Dana nagle rosła w siłę.

Mijały tygodnie, przybywały kolejne gramy i znikome ilości sił. W końcu, kiedy Dana miała dwa miesiące jej rodzice mogli ją wziąć w ramiona po raz pierwszy. A dwa miesiące później, chociaż lekarze nadal delikatnie, acz nieustępliwie ostrzegali, że to tylko szansa na przetrwanie, a nie na normalne życie, Dana wyszła ze szpitala i rodzice, tak jak od początku tego pragnęli, zabrali ją do domu.

Pięć lat później, Dana była drobną acz zaczepną małą dziewczynką z lśniącymi szarymi oczami i nienasyconą chęcią życia. Nie okazywała żadnych oznak psychicznego czy fizycznego osłabienia. Była po prostu tym wszystkim, czym może być mała dziewczynka.

Jednak to jeszcze nie jest koniec jej historii.

Pewnego gorącego popołudnia lata 1996 roku Dana siedziała na kolanach mamy w parku niedaleko domu (Irving, Texas), gdzie jej brat Dustin trenował ze swoją drużyną piłkarską. Jak zawsze Dana szczebiotała do swojej mamy oraz kilku innych dorosłych, kiedy nagle ucichła. Wtulając się w ramiona, mała Dana zapytała:

- Czujecie to?

Diana, wyczuwając w powietrzu nadchodzącą burzę odpowiedziała:

- Tak pachnie nadchodzący deszcz. Dana zamknęła oczy i spytała jeszcze raz:

- Czujesz to?

Jeszcze raz jej mama odpowiedziała:

- Chyba zaraz będziemy mokre, pachnie deszczem.

Nadal zauroczona chwilą Dana potrząsnęła głową, pogłaskała ramiona swoimi malutkimi rączkami i głośno oznajmiła:

- Nie, pachnie jak ON. Pachnie jak Bóg, kiedy kładziesz głowę na jego piersi.

Łzy zaszklily się w oczach Diany, kiedy Dana radośnie zeskoczyła z ławki, by pobawić się z innymi dziećmi. Słowa jej córki potwierdziły to, co do czego Diana i jej najbliżsi nie mieli wątpliwości, przynajmniej głęboko w sercach, od początku.

Podczas tych długich dni i nocy swoich pierwszych dwóch miesięcy, kiedy jej nerwy były zbyt delikatne, aby jej dotykać, Bóg przytulał do swojej piersi Danę i to Jego przesycony miłością zapach Dana pamięta tak dobrze. Miłość Boga jest jak ocean, widzisz jego początek, ale nie jesteś w stanie dostrzec końca.

Miłość jest jak ocean. A ANIOŁY ISTNIEJĄ! Tylko czasami nie mają skrzydeł i nazywamy ich przyjaciółmi.

BAJKA O MIŁOŚCI I SZALEŃSTWIE

Powiadają, że pewnego razu spotkały się na Ziemi wszystkie uczucia i cechy ludzkich istot. I tak:

Gdy Znudzenie ostentacyjnie ziewnęło po raz trzeci, Szaleństwo, jak zwykle obłądnie dzikie, zaproponowało:

- Pobawmy się w chowanego!

Intryga, niezmiernie zaintrygowana, uniosła tylko lekko brwi, a Ciekawość, nie mogąc się powstrzymać, spytała z typowym dla siebie zainteresowaniem:

- W chowanego? A co to takiego?

- To zabawa - wyjaśniło żywo Szaleństwo. - Polegająca na tym, iż ja zakryję sobie oczy i powoli zacznę liczyć do miliona. W międzyczasie wy wszyscy dobrze się schowacie, a gdy skończę liczyć, moim zadaniem będzie was odnaleźć. Pierwsze z was, na którego kryjówkę trafię, zajmie moje miejsce w następnej kolejce.

Podeksycytowany Entuzjazm zaczął tańczyć w towarzystwie Euforii, Radość podskakiwała tak wesoło, iż udało się jej przekonać do gry Wątpliwość, a nawet Apatię, której nigdy niczym nie dało się zainteresować.

Jednakże nie wszyscy chcieli się przyłączyć. Prawda wolała się nie chować, w końcu i tak zawsze ją odkrywano. Duma stwierdziła, że zabawa jest głupia, ale tak naprawdę w głębi duszy gryzło ją, iż pomysł wyszedł od kogo innego. Tchórzostwo z kolei nie chciało ryzykować.

- Raz, dwa, trzy - zaczęło liczyć Szaleństwo.

Najszybciej schowało się Lenistwo, osuwając się za pierwszy lepszy napotkany kamień. Wiara pofrunęła do nieba, a Zazdrość ukryła się w cieniu Triumfu, który z kolei wspiał się o własnych siłach, hen! Na sam szczyt najwyższego drzewa.

Wspaniałomyślność długo nie mogła znaleźć dla siebie odpowiedniego miejsca, gdyż wszystkie kryjówki wydawały

się jej idealne dla przyjaciół: krystalicznie czyste jezioro było wymarzone miejsce dla Piękności, dziupla - w sam raz dla Nieśmiałości, motyle skrzydła stworzono dla Zmysłowości, powiew wiatru okazał się natomiast najlepszy dla Wolności. W końcu Wspaniałomyślność schowała się za promyczkiem słońca.

Z kolei Egoizm znalazł sobie, jak sądził, wspaniałe miejsce: wygodne i przewiewne, a co najważniejsze - przeznaczone tylko dla niego. Kłamstwo schowało się na dnie oceanu, a może skłamało i tak naprawdę ukryło się za tęczą?

Pasja i Pożądanie, w porywie gorących uczuć, wskoczyli w sam środek wulkanu. Niestety wyleciało mi z pamięci, gdzie skryło się Zapomnienie, lecz to przecież mało ważne.

Gdy Szaleństwo liczyło dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, Miłość jeszcze nie zdołała znaleźć sobie odpowiedniego miejsca.

W ostatniej chwili odkryła jednak zagajnik dzikich róż i schowała się wśród krzewów.

- Milion! - krzyknęło na końcu Szaleństwo i dziarsko zabrało się do szukania.

Od razu, rzecz jasna, odnalazło schowane parę kroków dalej Lenistwo. Chwilę potem usłyszało Wiarę rozmawiającą w niebie z Panem Bogiem. W ryku wulkanów wyczuło natomiast obecność Pasji i Pożądania. Następnie, przez przypadek, odnalazło Zazdrość, co szybko doprowadziło je do kryjówki Triumfu. Egoizmu nie trzeba było wcale szukać, gdyż jak z procy wyleciał ze swej kryjówki, kiedy okazało się, iż wpakował się w sam środek gniazda dzikich os.

Trochę zmęczone szukaniem Szaleństwo przysiadło na chwilę nad stawem i w ten sposób znalazło Piękność. Jeszcze łatwiejsze okazało się odnalezienie Wątpliwości, która,

niestety, nie potrafiła się zdecydować, z której strony płotu najlepiej się ukryć.

W ten sposób wszyscy zostali znalezieni: Talent wśród świeżych ziół, Smutek - w przepastnej jaskini, a Zapomnienie... cóż, już dawno zapomniało, iż bawi się w chowanego.

Do znalezienia pozostała tylko Miłość. Szaleństwo zaglądało za każde drzewko, sprawdzało w każdym strumyczku, a nawet na szczytach gór i już, już miało się poddać, gdy odkryło niewielki różany zagajnik. Patykiem zaczęło odgarniać gałązki...

Wtem wszyscy usłyszeli przeraźliwy okrzyk bólu. Stało się prawdziwe nieszczęście! Różane kolce zraniły Miłość w oczy.

Szaleństwu zrobiło się niezmiernie przykro, zaczęło prosić, błagać o przebaczenie, aż w końcu poprzysięgło zostać przewodnikiem ślepej z jego winy przyjaciółki.

I to właśnie od tamtej pory, od czasu, gdy po raz pierwszy bawiono się na Ziemi w chowanego, Miłość jest ślepa i zawsze towarzyszy jej Szaleństwo.

BĘDZIE LEPIEJ

Pewnego dnia, na placu targowym, pośród tłumu ludzi siedział niewidomy z kapeluszem na datki i kartonikiem z napisem: „Jestem ślepy, proszę o pomoc”.

Pewien mężczyzna, który przechodził obok niego zauważył, że jego kapelusz jest prawie pusty, zaledwie parę groszy... Wrzucił mu parę monet, po czym bez pytania niewidomego o zgodę wziął jego kartonik, odwrócił na drugą stronę i napisał coś...

Tego samego popołudnia, ten sam mężczyzna znowu przechodził obok tego samego niewidomego i zauważył, że tym razem jego kapelusz jest pełen monet. Niewidomy rozpoznał kroki tego człowieka i zapytał go, czy to on odwrócił kartonik i co na nim napisał.

Mężczyzna odpowiedział: „Nic, co nie byłoby prawdą. Przepisałem Twoje zdanie tylko troszkę inaczej.” Uśmiechnął się i oddalił.

Niewidomy nigdy się nie dowiedział, że na jego kartoniku było napisane: „Dziś wszędzie dookoła jest wiosna. A ja nie mogę jej zobaczyć...”

Zmień swoją strategię, jeśli coś nie jest tak, jak być powinno.

A zobaczysz, że będzie lepiej...

CZTERY ŚWIECE

Cztery świece płonęły powoli. Było tak cicho, że prawie usłyszałyś ich rozmowę. Pierwsza rzekła:

- Ja jestem pokój! Jednak nikt nie troszczy się o to, abym płonęła. Dlatego odchodzę.

Płomień stawał się coraz mniejszy, aż w końcu zupełnie zgasł...

Druga rzekła:

- Ja jestem wiara! Najmniej z nas wszystkich czuję się potrzebna, dlatego nie widzę sensu dłużej płonąć.

Gdy skończyła mówić, lekki podmuch wiatru zgasił płomień...

Trzecia ze świec zwróciła się ku nim i ze smutkiem rzekła:

- Ja jestem miłość! Nie mam siły dłużej świecić. Ludzie odsunęli mnie na bok, nie rozumiejąc mojego znaczenia. Zapominają kochać nawet tych, którzy są im najbliżsi.

I nie czekając ani chwili zgasła...

Nagle dziecko otworzyło drzwi i zobaczyło, że trzy świece przestały płonąć.

- Dlaczego zgasłyście? Świece powinny płonąć aż do końca.

To powiedziawszy, dziecko rozplakało się. Wtedy odezwała się czwarta świeca:

- Nie smuć się. Dopóki ja płonę, od mojego płomienia możemy zapalić pozostałe świece. Ja jestem nadzieja!

Z błyszczącymi od łez oczyma, dziecko wzięło w dłoń świecę nadziei i od jej płomienia zapaliło pozostałe świece.

Płomień nadziei nie powinien nigdy zgasnąć w Twoim życiu... Każdy z nas powinien podtrzymywać płomień Pokoju, Wiary, Miłości i Nadziei!

DOSTATEK, MIŁOŚĆ I SUKCES

Pewna kobieta podlewała rośliny w swoim ogrodzie, kiedy zobaczyła trzech staruszków z wypisanymi na twarzach latami doświadczeń, którzy stali naprzeciw jej ogrodu.

Nie знаła ich, więc powiedziała:

- Nie wydaje mi się, abym was znała, ale musicie być głodni. Wejdźcie, proszę, do domu i zjedzcie coś.

Oni odpowiedzieli:

- Nie ma w domu męża.

- Nie, nie ma go w domu.

- W takim razie nie możemy wejść - odpowiedzieli.

Przed zmierzchem, kiedy mąż wrócił do domu, kobieta opowiedziała mu to, co się zdarzyło.

- A więc, skoro wróciłem, poproś ich teraz, aby weszli.

Kobieta wyszła, aby zaprosić trzech mężczyzn do domu.

- Nie możemy wejść wszyscy do domu - wyjaśnili staruszkowie.

- Dlaczego? - chciała się dowiedzieć kobieta.

Jeden z mężczyzn wskazał na pierwszego ze swoich przyjaciół i wyjaśnił:

- On ma na imię Dostatek. Następnie wskazał drugiego:

- On ma na imię Sukces, a ja mam na imię Miłość. Teraz wróć i zdecyduj razem z twoim mężem, którego z nas zaprosicie do waszego domu.

Kobieta weszła do domu i opowiedziała swojemu mężowi wszystko, co powiedzieli jej trzej mężczyźni. Ten się ucieszył:

- Jak pięknie! Zaprosimy Dostatek, aby wszedł i wypełnił nasz dom! Jego żona nie zgadzała się i spytała:

- Mój drogi, dlaczego nie mielibyśmy zaprosić Sukcesu?

Ich córka słuchała tej rozmowy i weszła im w słowo:

- Nie byłoby lepiej, gdybyśmy pozwolili wejść Miłości?

W ten sposób nasza rodzina byłaby jej pełna.

- Posłuchajmy rady naszej córki - powiedział mąż do żony. - Idź i zaproś Miłość, niech będzie naszym gościem.

Żona wyszła i spytała:

- Który z was to Miłość? Niech wejdzie, proszę, i będzie naszym gościem.

Miłość usiadła na wózku i ruszyła w kierunku domu. Także dwaj pozostali podnieśli się i ruszyli za nią. Trochę zdziwiona kobieta zapytała Dostatek i Sukces:

- Zaprosiłam tylko Miłość, dlaczego idziecie także wy? Oni odpowiedzieli razem:

- Jeżeli zaprosiłabyś Dostatek lub Sukces, pozostali dwaj zostaliby na zewnątrz, ale zaprosiłaś Miłość, a tam, gdzie idzie ona, idziemy i my.

ZAGUBIONA WYSPA MIŁOŚCI

Dawno, dawno temu, na oceanie istniała wyspa, którą zamieszkiwały emocje, uczucia oraz ludzkie cechy - takie jak: dobry humor, smutek, mądrość, duma, a wszystkich razem łączyła miłość.

Pewnego dnia mieszkańcy wyspy dowiedzieli się, że niedługo wyspa zatonie. Przygotowali swoje statki do wypłynięcia w morze, aby na zawsze opuścić wyspę. Tylko miłość postanowiła poczekać do ostatniej chwili.

Gdy pozostał jedynie maleńki skrawek lądu, miłość poprosiła o pomoc.

Pierwsze podpłynęło bogactwo na swoim luksusowym jachcie. Miłość zapytała:

- Bogactwo, czy możesz mnie uratować?

- Niestety nie. Pokład mam pełen złota, srebra i innych kosztowności. Nie ma tam już miejsca dla ciebie - odpowiedziało Bogactwo.

Druga podpłynęła Duma swoim ogromnym czteromaszowcem.

- Dumo, zabierz mnie ze sobą! - poprosiła Miłość.

- Niestety, nie mogę cię wziąć! Na moim statku wszystko jest uporządkowane, a ty mogłabyś mi to popsuć... - odpowiedziała Duma i z dumą podniosła piękne żagle.

Na zbutwiałej łódce podpłynął Smutek.

- Smutku, zabierz mnie ze sobą! - poprosiła Miłość.

- Och, Miłość, ja jestem tak strasznie smutny, że chcę pozostać sam - odrzekł Smutek i smutnie powiosłował w dal.

Dobry humor przepłynął obok Miłości nie zauważając jej, bo był tak rozbawiony, że nie usłyszał nawet wołania o pomoc.

Wydawało się, że Miłość zginie na zawsze w głębiach oceanu... Nagle Miłość usłyszała:

- Chodź! Zabiorę cię ze sobą! - powiedział nieznajomy starzec.

Miłość była tak szczęśliwa i wdzięczna za uratowanie życia, że zapomniała zapytać, kim jest jej wybawca.

Jednak bardzo chciała się dowiedzieć, kim był tajemniczy starzec. Zwróciła się więc o poradę do Wiedzy.

- Powiedz mi proszę, kto mnie uratował?

- To był Czas - odpowiedziała Wiedza.

- Czas? - zdziwiła się Miłość. - Dlaczego Czas mi pomógł?

- Tylko Czas rozumie, jak ważnym uczuciem w życiu każdego człowieka jest Miłość - odrzekła Wiedza.

Monika Sawicka
KOLEJNOŚĆ UCZUĆ

ŻEGNAJ SMUTKU

„Twoja miłość jest dla mnie ocaleniem i przywraca mi moje marzenia.”

Jest ósma rano. Wchodzisz do łazienki i podciągasz roletę w oknie, wpuszczając promienie słońca do środka. Stajesz przed lustrem, szlafrok swobodnie zsuwa się z twojego ciała. Masz na sobie tylko bieliznę. Zaproszone do łazienki słońce oświetla twoją twarz, widzisz wszystkie swoje zmarszczki. Trzy kurze łapki wokół oczu, po trzy z każdej strony. Jedna - najdłuższa - dochodzi aż do skroni. Lubisz te zmarszczki, bo to dowody na to, że bywałeś jednak szczęśliwa. Wyrzeźbił je twój śmiech. To zmarszczki szczęścia. Spoglądasz w lustro nieco odważniej. Tak. To ty. Masz trzydzieści • osiem lat i dziewiętnaście z nich przeżyłaś z tym samym mężczyzną. Dziewiętnaście - to połowa twojego życia. Nie było łatwo, ale i nikt nie obiecywał ci, że będzie. Masz dobre, czyste serce poorane bliznami. Każdy cios w splot w słoneczny, każde uderzenie pięścią w twarz, każdy siniak i guz zostawiał ślad nie tylko na twoim ciele, ale zapisał się w głowie i ciał serce jak brzytwa. On ci to zrobił. Twój mąż, twoja wielka miłość. Ale nie myślisz o nim źle, przecież nie jest potworem, ma po prostu problemy, jest słaby, a ty wiesz, że cię kocha. Miałaś przecież wszystko.

Pewnego dnia spotkałaś kogoś, kto odmienił ciebie i twój świat. Wpuścił świeże powietrze i podarował paletę pełną barw, wypełnił twoje życie śmiechem, smakiem, zapachem. Sprawił, że żyłaś. A przecież kiedyś pozbędziesz się tego strasznego odruchu uniku, gdy ktoś podnosi rękę do góry. Jesteś szczęśliwa. To pewne, bo zmarszczki się powiększają i jest ich więcej. Trochę się obawiasz przyszłości, bo ON jest sporo od ciebie młodszy, bardzo przystojny, troskliwy i czuły. I na pewno cię kocha. Boisz się, że pewnego dnia przestanie, że pewnego dnia zaśnie w ramionach młodszej, która nie

będzie miała zmarszczek. Bardzo się boisz. Ale strach cię nie powstrzyma. Idziesz do sypialni, zakładasz wcześniej przygotowane ubranie i schodzisz na dół. W przedpokoju stoją dwie walizki. Tylko dwie, bo nie zabierasz wiele. Dzwonek do drzwi. Wchodzi On, całuje cię i przytula i, jakby wyczuwając twój strach, szepcze ci do ucha: „Nie bój się. Zaufaj. Nigdy cię nie skrzywdzę.”

Uśmiechasz się łagodnie do niego i do siebie. Bierze walizki i wychodzi, a ty za nim. W progu odwracasz się i ostatni raz spoglądasz w przeszłość, żegnając się z nią. Patrzysz na dziewiętnaście lat swojego życia. Nie masz żalu. Nie wściekasz się. Mówisz po prostu: „Już tu nie wrócę. I ZAWSZE BĘDĘ SZCZĘŚLIWA.”

Bo wiesz, że: „Każdego ranka, po przebudzeniu, otrzymujemy kredyt w wysokości osiemdziesięciu sześciu tysięcy czterystu sekund życia na dany dzień. Kiedy wieczorem kładziemy się spać, niewykorzystana reszta sekund nie przejdzie na następny dzień. To, czego nie przeżyliśmy w ciągu dnia, jest na zawsze stracone, pochłonięte przez wczoraj. Każdego następnego ranka rozpoczyna się ta sama magia, znowu otrzymujemy taką samą liczbę sekund życia i wszyscy zaczynamy grać w tę nieodwracalną grę: bank może zamknąć nam konto w najbardziej nieoczekiwanym momencie, bez żadnego ostrzeżenia - w każdej chwili może zatrzymać nasze życie...” (Marc Levy).

Zamykasz za sobą drzwi, by za chwilę otworzyć nowe. Ktoś, nie wiesz kto, choć się domyślasz, cicho ci podpowiada: „NIE BÓJ SIĘ, IDŹ I ŻYJ.”

KRAJKA

„Dzieci, jak są małe, to są tak słodkie, że chciałoby się je zjeść. Jak dorosną to się żałuje, że się tego nie zrobiło.”

Mojej Córce...

Dawno, dawno temu (a może wcale nie tak dawno), za siedmioma górami, za sześcioma lasami, za czterema morzami i za jedną całkiem małą rzeczką, w królestwie wielkości dziecinnego pokoju, mieszkała mała dziewczynka o imieniu Karolinka, przez wszystkich jednak zwana Krajką.

Właściwie to wcale nie była aż tak mała, bo przyznacie, że 130 centymetrów wzrostu to nie byle co. Miała 8 lat i gdyby żyła w dzisiejszych czasach, chodziłaby do szkoły. Jednak dawno, dawno temu, takie małe królowny, jak ona, zajmowały się dużo przyjemniejszymi rzeczami niż szkoła. Łapały na przykład motyle, uczyły się haftować, grać na harfie, pięknie się kłaniać, nosić wysoko swoją śliczną królewską główkę i robiły wszystko to, co niedozwolone.

Krajeczka była bardzo pomysłową królowną. Pewnego razu, gdy król i królowa gościli na swoim dworze królewską parę z sąsiedniego królestwa, mała jeszcze wtedy Krajka, postanowiła sprawdzić, do czego służą nożyczki. A trzeba Wam wiedzieć, drodzy Milusińscy, że nasza Krajeczka miała piękne, długie, kręcone jasne włosy, które sięgały jej aż po samą... no, do końca pleców. W ogóle była śliczną dziewczynką z ogromnymi niebieskimi oczkami i małym, lekko zadartym noskiem.

Więc pewnego wieczoru, gdy Krajeczka siedziała sama w swojej komnacie i nudziła się nieziemsko, jej bystry wzrok padł na leżące w koszyku z przyborami do ręcznego szycia, nożyczki.

Niewiele myśląc, mała królowna szybciotko i po cichutku, na paluszkach (tak, aby jej nie usłyszała drzemiąca w komnacie obok niania), podbiegła do wielkiej komody i,

wykazując niesamowite zdolności akrobatyczne, wspięła się na samą górę i mocno chwyciła ciężki koszyk w swoje drobne rączki. Następnie tą samą drogą jeszcze zwinniej zeskoczyła z komody. Gdy była z powrotem na dole, tryumfalnie wyjęła ten metalowy przedmiot, który ją tak zainteresował, a okazał się wspomnianymi nożyczkami.

Nie wiadomo, czy to przypadek sprawił, czy też nasza mała królewna postanowiła dzielnie podążać za najnowszą modą w dziedzinie fryzjerstwa, jednakże kilkoma sprawnymi ruchami pozbawiła się burzy loków okalających jej śliczną buzię i spływających po plecach.

Jednak, jako że jej małe i nieco za krótkie rączki nie mogły wszędzie równo trafić, wyglądała jak Jedno Wielkie Nieszczęście.

Po bokach krótko, a z tyłu opadające na plecy wystrzępione kosmyki.

W jednej chwili z królewny zrobił się paż. Jednak najwyraźniej zadowolona z efektów swojej pracy, rozradowana Krajeczka z głośnym śmiechem zbiegła na dół, gdzie jej rodzice - król i królowa właśnie bawili gości. Mamie - królowej, na widok odmienionej córki, wypadł z ręki talerzyk z przepysznym plackiem jabłkowym, a tacie - królowi - zamarł w powietrzu kielich z czerwonym winem domowej roboty.

Goście zaś taktownie udali, że nic nie zauważyli, a następnie podziękowawszy za miły wieczór i odjechali do swego zamku karetą zaprzęgniętą w cztery siwe konie.

A to, co działo się po ich odejście pozostanie tajemnicą. Wiedzieć Wam jednak trzeba, że mała królewna była niezmiennie zadowolona ze swojego nowego wyglądu, zaś królowa z żalu wylała tyle łez, że rano musiała położyć sobie na powieki maseczkę z ogórka, bowiem wyglądała tak, jakby

stoczyła walkę z Mike'm Tysonem (czy Wy wiecie, Drogie Dzieci, kto to taki?)

Włosy jednak powoli odrastały, by po trzech latach osiągnąć poprzednią długość. Krajeczka rosła wraz z nimi i już wiedziała, że każda atrakcyjna, dorastająca panienka, aby podobać się chłopakom, powinna mieć raczej włosy długie, niż krótkie.

Właśnie. Jeśli już o chłopcach mowa.

Miała już Krajeczka konkurenta do swej rączki, który dorastał do tej roli w królestwie leżącym dalej o dwa morza, jednak jej ośmioletnie serduszko mocniej zabiło pewnego dnia do synka ogrodnika.

Niestety, żaden związek nie wchodził w grę, bowiem na dworze Krajeczki panowały żelazne zasady, których jeszcze nikt nie złamał.

Królowna mogła poślubić jedynie królewicza.

Serce jednak nie służyło, i nie chciało słuchać królowej matki, która wszelkimi sposobami próbowała z niego wypędzić syna ogrodnika.

Nawet argument, że jest on młodszy i za niski dla królowny, odbijał się jak groch od ściany. Królowna stwierdziła tylko: „jak jest mały to nic nie szkodzi, przecież urośnie.” I dalej biegła kopać szmaciankę, dzisiaj zwaną piłką, łązić bezwstydnie po drzewach w królewskim ogrodzie i godzinami oglądać z kandydatem do popełnienia mezaliansu bajki na video (zastanawiacie się, czy wtedy było video? W świecie bajek wszystko jest możliwe).

Razem zalewali się łzami na „Zakochanym kundlu”, a nadmiar energii wyładowywali udając Power Rangers i niszcząc wrogów w komputerowej wersji Mortal Kombat.

I pewnie królowa nadal rwałaby sobie włosy z królewskiej głowy, rozpaczając nad niechlubną przyszłością swej Krajeczki, gdy nagle ogrodnik ciężko zachorował i na łożu

śmierci wyznał swą największą tajemnicę. Zawoławszy królową, wyszeptał jej do ucha straszną, choć zarazem wspaniałą prawdę. Otóż przyznał się, że przed siedmiu laty, gdy spacerował samotnie po lesie, usłyszał nagle płacz niemowlęcia. Poszedł za dochodzącym z oddali głosem i w ściółce leśnej, pod kupką liści, znalazł małe kwilące zawiniątko. To był maleńki chłopczyk ubrany w piękne haftowane szatki. Ponieważ ogrodnik z panią ogrodnikową nie mogli mieć własnych dzieci, postanowili, nikomu nic nie mówiąc, zostawić u siebie chłopczyka.

Jakiś czas później, dowiedzieli się, że w królestwie leżącym od Krajkowego o cztery góry dalej, ktoś porwał królewskie dziecko, jednak kochali swego synka już tak bardzo, że nie potrafili go oddać. Zresztą w tamtym królestwie krótko po tym znowu urodziło się dziecko. Postanowili zapomnieć o całej sprawie i wychowywali chłopczyka jak swego. Byli pewni, że on jest tym porwanym królewiczem, ponieważ, oprócz szat z charakterystycznym wyhaftowanym znakiem, miał na malutkiej szyjce zawieszony złoty medalion z królewskimi znakami.

Gdy to królowa usłyszała, łązy wzruszenia i radości popłynęły jej po policzkach. Szybciutko wysłała swój prywatny odrzutowiec po najlepszego medyka z Nowego Yorku, który, zastosowawszy najnowsze odkrycia medycyny, uratował życie ogrodnikowi.

I w czasie gdy niczego nie świadomi Krajeczka z synem - nie synem ogrodnika zrywali boki ze śmiechu, tarzając się po podłodze podczas oglądania Inspektora Gadgeta, ich przyszłość była już przesądzona.

Gdy Krajeczka dowiedziała się, że może już bez chowania się pod łóżkiem, w szafie czy w domku na drzewie, otwarcie i całkiem legalnie spotykać się z Michasiem, najpierw pomyślała, że pewnikiem mama - królowa, wypłała zbyt dużo

wina do kolacji. Jednak upewniwszy się, że wszystko to, co słyszy jest prawdą, uciekła i schowała się w mysią dziurę.

Bo przecież miłość miłością, ale ona miała dopiero osiem lat i ani jej się śniło wychodzić za mąż. I dopiero, gdy mama królowa, leżąc trzy godziny na podłodze, tuż obok mysiej dziury (zastanawiacie się, jak Krajeczka wlaźła do malutkiej dziurki? A jak Alicja z Krainy Czarów znalazła się po drugiej stronie lustra?), musiała obiecać, że Krajeczka nie będzie musiała jeszcze wychodzić za mąż przez najbliższych dziesięć lat, dopiero wtedy postanowiła opuścić swoją kryjówkę, zwłaszcza, że Pani Myszka dyskretnie jej sugerowała, że zajmuje za dużo miejsca.

Tak więc nasza Krajeczka w wieku zaledwie ośmiu lat zdążyła już mieć za sobą karierę fryzjerki, być narzeczoną i nieomal bohaterką megalomansowej historii. Postanowiła też być najbardziej niesforną i nieposłuszną królowną w okolicy i konsekwentnie realizowała swoje postanowienia.

Wyjątkowo upodobała sobie jedno słowo, którego używała praktycznie bez przerw} - . A było to słowo: NIE.

Królowej mamie czasami puszczały nerwy i wtedy ganiała Krajeczkę po całym zamku, próbując bezskutecznie podnieść swój rodzicielski autorytet. Ale jak tu podnosić coś, czego nie ma?

Tak więc Krajeczka robiła wszystko, co chciała, choć jak na mądrą dziewczynkę przystało, wiedziała, kiedy przestać. To znaczy, kiedy przestać, by nie przegiąć.

Życie Krajeczki tylko pozornie było wesołe i beztróskie. Tak naprawdę miała Krajeczka wielki problem. Oprócz niedoszłego narzeczonego, nie miała żadnych przyjaciół. Nikt nie chciał się z nią bawić, chociaż dobra z niej była dziewczynka. Godzinami stała królowna w oknie i patrzyła, jak inne dzieci bawią się wesoło. Ona nie mogła, bo przecież była królowną, a w dodatku bardzo dorosłą, jak na swój wiek.

Cierpiała mocno z tego powodu i może dlatego była chwilami taka nieznośna. I gdy nikt nie widział, leżąc w swoim ogromnym łożu z baldachimem, przykrywała się po same uszy pierzyną i cichutko sobie płakała. Wcale nie chciała być królową, mieszkać w pięknym zamku, mieć tylu zabawek. Tak naprawdę chciała mieć przyjaciół, z którymi mogłaby się bawić.

Ale najbardziej na świecie chciała mieć braciszka lub siostrzyczkę.

To marzenie jednak nigdy nie mogło się spełnić, bowiem Krajeczka, choć mała, doskonale wiedziała, że jej rodzice - król i królowa, nie są ze sobą szczęśliwi. Widziała, jak mama - królowa często miała oczy mokre od łez, chociaż mówiła, że to od krojenia cebuli.

Ale Krajeczka wiedziała, że to nieprawda.

Krajeczka była bardzo samotną dziewczynką, ale i mama - królowa była samotną i nieszczęśliwą kobietą.

Teraz jednak na królewskim dworze panowała radość, ponieważ zbliżały się Święta Bożego Narodzenia i nikt nie myślał o złych rzeczach.

Jednak i Krajeczka i mama - królowa wiedziały, że aby być szczęśliwe, powinny coś zrobić.

Teraz jednak mała duża dziewczynka wypatrywała Świętego Mikołaja, który w nocy miał wejść przez komin i przynieść piękne prezenty.

Co przyniesie naszej Krajeczce?

Co przyniesie mamie - królowej? Może spokój i pewność lepszego jutra?

A Wy? Czy wiecie już, co Wam przyniesie Święty Mikołaj i Nowy Rok?

Mam nadzieję, że same radosne, pełne słoneczka dni, w których uśmiech będzie stale gościł na Waszych buziach.

DUSZA NIE LUBI CIEMNOŚCI

„nie chcę rozmawiać z moją mroczną stroną” Paulo Coelho, Nad brzegiem rzeki Piedry usiadłam i płakałam

Jestem, a tak jakby mnie nie było. Mówię, a tak jakbym nie mówiła. Wstawiam wodę na herbatę zupełnie nie kontrolując tego, co robię. Marzę o herbacie. Samo myślenie o tym, że już za trzy minuty usiądę w fotelu, podwinę nogi, przykryję się pledem i obejmę dłońmi kubek z gorącym napojem, napawa mnie rozkoszą.

Rozkosz wzrośnie, gdy pomyślę jeszcze o tym, że włączę muzykę. Zgaszę światło, zapalę świece. I będę tak sobie siedziała po cichutko, sama w tej ciszy.

Uwielbiam to. Ten stan. Oszczędnie piję herbatę, uważając przy tym, by nie uронić ani kropelki. Dzisiaj jest miętowa z czekoladą. Bo skończyła się o smaku grzanego wina.

O Boże, jak ja uwielbiam ten stan.

Żeby jeszcze można było przy tym o niczym nie myśleć.

Albo... albo chociaż o niczym nieprzyjemnym.

Nigdy wcześniej nie pomyślałabym, że takie siedzenie w ciemnościach, przyglądanie się płomieniom świec w rytm płynącej muzyki i popijanie herbatki może dostarczyć mi takich doznań. Orgazm to nic w porównaniu z tym. Nic nie odda tego nastroju.

Ja - sam na sam ze sobą.

Żeby jeszcze miała sobie coś do powiedzenia. Albo... albo chociaż coś miłego.

Coś upadło. Ostry, metaliczny dźwięk zakłócił tę moją prywatną ciszę. Tę psychiczną „izolatkę”, do której uciekam wtedy, gdy moje skołatane, oszalałe, zdezorientowane myśli nie są już w stanie usiedzieć na miejscu, w głowie, i za wszelką cenę chcą się wydostać.

Żeby jeszcze chciały się wydostać naprawdę. Albo... albo chociaż chciały zostać.

Wiem, co upadło na podłogę. Wiem, co rozdarło moją ciszę. Nawet nie muszę się schylać, żeby mieć tę pewność.

Uwielbiam siadać z podwiniętymi nogami w fotelu. Zapadać się w nim. Jeden łokieć oparty na oparciu, drugi na kolanie. Ten z oparcia ułożył się jakoś inaczej. Nienaturalnie.

Dłoń puściła już kubek z herbatą. Ale to nie było gwałtowne rozstanie. Bez żadnej szamotaniny, bez łez jak w kłótni kochanków.

Pełen spokój. Kontrola.

Nadgarstek lekko opada za brzeg oparcia.

Jest ciemno. A Dusza nie lubi ciemności. Dusza nie lubi mroku.

Patrzę na płomień świecy, a w jego blasku widzę cztery poprzeczne kreski na nadgarstku.

Widzę jak nabiegają krwią. I nic. Oprócz czerwonej kreski nic się nie dzieje.

Podnoszę to, co upadło.

Robię kolejne cztery nacięcia. Nawet nie boli.

Żeby bolało. Albo, żeby chociaż już przestało boleć coś innego.

Te nacięcia w moim sercu.

Żeby ktoś przestał już mi je robić. Albo... albo, żeby chociaż nie bolały.

Uwielbiam tę ciszę. Chcę być sama. Już tak do końca chcę być sama.

Siedzieć w ciemności, słuchać muzyki i sączyć herbatę.

Sama ze sobą. Ja i ja. Ona i ona... Ja i ona.

Nic mi ostatnio nie wychodzi. Nawet noże były zbyt tępe.

Żeby były tępe. Albo... albo chociaż, żeby ich wcale nie było.

Coraz mniej rozumiem z tego, co dzieje się wokół mnie.

Chociaż się staram.

Za słabo?

Dziadek ma osełkę. Naostrzy.

Głupia. Naostrzy. Jeśli go o to poproszę. Bo dla mnie zrobi wszystko. Najpierw naostrzy, a ja potem zrobię znowu osiem nacięć i tym razem się uda.

A dziadek, kiedy dowie się, co zrobiłam - umrze. Tak po prostu, zwyczajnie sobie umrze.

Bo po co ma dalej żyć? Jestem dla niego wszystkim.

To jest jedyny mężczyzna na świecie, który mnie kocha.

Zwyczajnie mnie kocha. Bezinteresownie. Tak, jak umie jego osiemdziesięcioletnie serce.

Kochał mnie tak samo dwadzieścia pięć lat temu, gdy wsadził mnie do antresoli, bo tego chciałam. A ja popchnęłam drzwiczki i wypadłam. I on z tej miłości biegł ze mną na rękach szpitalnym korytarzem, krzycząc: „To moja wnuczka. Ratujcie ją.”

Byłam nieprzytomna. Sama nie wiem, dlaczego do dziś widzę tę scenę.

Dziś nie wzięłby mnie na ręce. Ale tak samo mocno by krzyczał.

Łatwo jest się unicestwić. To proste, choć trudne.

Ale co z tymi, którzy zostają?

Można brać odpowiedzialność za swoje życie..

Ale czy można żonglować życiem najbliższych?

Pora wstać z fotela. Włączyć światło. Zamiast Ordonówny posłuchać hip - hopu.

Tylko dlaczego tak ciężko mi się podnieść?

Żebym tak mogła wstać. Albo... albo chociaż, żebym nie musiała siadać.

Płyta się skończyła. Świece zgasły. Herbaty już nie ma. I cisza jakby inaczej brzmi.

DWA SERCA DWA SMUTKI

Więc teraz serca mam dwa, smutki dwa

I miłość po kres, i radość do łez

Wieczory długie i złe

Krótkie dni, więc całuj mnie częściej,

Bo nie wiem jak będzie, o nie

Bajm

Poniedziałek, popołudnie

Nienawidzę niespodzianek. Może dlatego, że od zawsze były początkiem problemów, które spadały na mnie lawinowo. Poprzedniej nocy nie spałam zbyt dobrze. Miałam nadzieję, że to z powodu pełni księżyca. Choć czułam, że nie jest to jedyna przyczyna wewnętrznego niepokoju, jaki odczuwałam. Rano więc, nie dość, że byłam wciąż zmęczona, to jeszcze lekko podenerwowana. Właściwie powinnam nazwać mój stan ekscytacją przed poznaniem nieznanego. Wieczorem czekała mnie randka w ciemno. Dwa dni temu do 12.45 żyłam sobie życiem szczęśliwej jedynaczki i średnio szczęśliwej singielki. Bo bycie singielką nigdy nie było, nie jest i nigdy nie będzie łatwe. Ani łatwe, ani tanie, ani przyjemne. Co miłego jest w samotnym zasypianiu każdej nocy? Może tylko fakt, że całe łóżko mam dla siebie i nikt nie chrapie mi nad uchem jak niedźwiedź grizzly. Poza tym, same minusy.

O 12.46 zadzwonił mój telefon. Z zasady nie odbieram od nieznanych, ale tym razem coś mnie tknęło. O 13.46 zamknęłam klapkę telefonu, kończąc lekko osłupiałą, zaskakującą, ale tak bardzo przyjemną, że rozgrzała mnie całą, rozmowę z moim bratem, o którego istnieniu dowiedziałam się przed godziną.

Ludzie znajdują różne rzeczy. Najczęściej pieniądze. Mnie się kiedyś poszczęściło i znalazłam dwieście marek. Szkoda tylko, że w kilka lat po tym, jak straciły wartość. A mój brat znalazł mnie. A wszystko przez Noc Muzeów. Zaniósł go do

Muzeum Powstania Warszawskiego, a po wyjściu zrobiło mu się jakoś tak sentymentalnie i rodzinnie, korzeni mu się zachciało szukać. Historyk jeden się znalazł. Jeśli ma też zapędy archeologiczne, to gotów wykopać drugi Biskupin albo Syrię. Jak zaczął kopać, to się dokopał do mnie. Na całe szczęście, to nie rodzony brat. Ani nawet nie przyrodni. Właściwie, to nie wiem, nie znam się na tych wszystkich stryjenkach, wujenkach, bratowych i szwagrach. W każdym razie mieliśmy jednego dziadka, dwie różne babcie, a nasi ojcowie są przyrodnymi braćmi.

Nie bardzo miałam czas na zastanawianie się nad przeszłością mojej rodziny, bo mnie ta przeszłość znokautowała i leżę jeszcze na macie. Ale właśnie się podnoszę i biegnę na spotkanie - przeszłości i przyszłości - jak mniemam. Wyglądam jak zombie i nie wiem, czy robić coś ze sobą, czy nie. Znaczy, czy restaurować starówkę, w końcu to nie facet tylko brat, nie muszę się podobać. No dobra, ale w końcu to człowiek, prawdopodobnie nawet ma serce, skoro parcie na korzenie czuje, a jeśli ma serce, to może dostać zawału, kiedy mnie zobaczy w takim stanie. Pierwszą pomoc miałam na PO, ale to w ubiegłym stuleciu było, więc raczej nie pomogę. Umalowałam się więc, nawet jakoś tak wyjątkowo fajnie. I strasznie długo wybierałam sukienkę. Pojęcia nie mam, dlaczego. Aha, może kierowała mną chęć zrobienia dobrego wrażenia na rodzinie. Ale w takim razie, po jaką cholere założyłam pończochy samonośne i koronkową czarną erotyczną bieliznę, a teraz stoję przed lustrem i patrzę na siebie, krytycznie, lecz, o zgrozo, chyba pożądliwie. Nie wiem. Pojęcia nie mam. Ostatnie spojrzenie w lustro (naprawdę jestem gorąca i skromna) i już zamykam drzwi z drugiej strony.

Wtorek, nad ranem

Kiedy po ośmiu godzinach otwierałam je z powrotem, czułam się jakbym dźwigała na swoich barkach cały świat. Serce zamarznęte i popękane jak kra na jeziorze. Nie wiem, jak dotarłam do domu.

Ludzie znajdują różne rzeczy. Dlaczego ja mam takiego pecha, że albo nieważne niemieckie marki albo nieprzyzwoicie przystojny brat? Brat, na którego widok serce wystartowało w biegu na setkę i pobiło aktualny rekord świata kobiet. Brat, który tańczy, dotyka i całuje jak nie powinien. Który czyta w moich myślach i zanim zdążę sformułować pytanie, on już na nie odpowiada. Coś jest nie tak. No, coś jest bardzo nie tak, bo kiedy piliśmy herbatę byliśmy blisko wynalezienia nowego pierwiastka - stężenie chemiczne przekroczyło wszelkie możliwe normy. Nobel by nam nie zaszkodził. Ale o Noblu nie myśleliśmy, raczej o Freudzie i Graffenbergu. Trzydzieści siedem lat przeżyłam w spokoju i błogiej niewiedzy. On trzydzieści jeden. I postanowił to zepsuć. Po prostu pojawił się spragniony siostry. Rodziny. Korzeni. A teraz pragniemy się nawzajem do obłędu. Pragnę go jak samica, nie jak siostra, która zaprasza go na niedzielny obiad. On pragnie mnie jak samiec, nie jak brat, który zaprasza siostrę na koncert. Czysta, rozrywająca nam umysł, podnosząca ciśnienie, moje sutki, jego penis, ledwie pohamowana świadomością wspólnych genów, żądza.

Kiedy już nas wyrzucili z ostatniej czynnej knajpy, siedzieliśmy w samochodzie. I poznawaliśmy się bliżej. Bardzo blisko. Znam już jego zapach i smak. Wiem, jaki rytm wybija jego serce. On wie, jak delikatne są opuszki moich palców i co potrafi mój język. Ja wiem, że moje piersi idealnie mieszczą się w jego dłoni. On wie, że jestem nowoczesną kobietą i depiluję ciało. Całe ciało. Ja wiem, że przez jego ucho mogę dostać się do przysadki i oblizując dookoła, podgryzając delikatnie, ssąc i całując, wysłać go w kosmos.

On wie, że całując mój kark stawia na baczość moje sutki, że gdy mnie dotyka, moja skóra napina się i zamieram w oczekiwaniu. W nadziei na to, że jego dłoń z moich piersi zacznie wędrówkę w dół, badając po drodze wszystko, co godne zbadania, odchyli moje stringi, nie pytając o zgodę. Ja lekko rozchyłę nogi, ułatwiając mu dostęp, a jego palce rozchyla wargi, pragnąc dotknąć łechtaczki i niecierpliwie, zadając lekki, ale przyjemny ból, wedrą się do środka, zaczynając penetrację.

Moja dłoń odszuka suwak w jego spodniach, odepnie guzik i bardzo ostrożnie wsunie się w bawełniane bokserki, już u samego ich szczytu napotykając niezwykle przyjaźnie, rodzinnie rzecz można, nastawionego penisa. Delikatnie ściągnie z żołądki napletek. Mój język polize go i zacznie ślizgać się po główce penisa, okrążyć wieniec, szybko pieścić wędzidełko, podczas gdy wargi i ręce nadal będą robiły swoje.

I wiem coś jeszcze. Kiedy wszystkie szyby w aucie zaparowały, a nas dzieliła od orgazmu chwila, brat nagle zaczął zachowywać się jak brat. Wyjął palce z mojej wagi, lekkim pociągnięciem za włosy odchylił moją głowę, uwalniając penis z moich ust i oddychając szybko, nie bez widocznego zdenerwowania, powiedział:

- Cholera, przepraszani cię, przepraszam, że nie jestem facetem, który myśli penisem. Niczego tak nie pragnę, jak wziąć cię teraz, tu, w samochodzie, szybko i gwałtownie. Pieścić cię i pozwalać na pieszczoty tobie. Ale czuję, że popełnię największy błąd w moim życiu, jeśli na to pozwolę. Bo chociaż nie znam cię przecież i nie wiem, jaka jesteś, to po tych kilku godzinach spędzonych z tobą, czuję, że jesteś mi bardzo bliska. To ciebie szukam. I nie wiem, czy to geny sprawiają, że jest mi z tobą tak dobrze, że nie chcę, żebyś odeszła. Geny, czy może jesteś drugą połówką pomarańczy? Nie wiem. Ale jednego jestem pewien, że chcę cię zatrzymać

na dłużej. Może nawet na zawsze. A żeby tak mogło się stać, musimy wykluczyć seks. Bo znam siebie. Wiem, że później już nic nie będzie. A ja chcę, żebyś była w moim życiu.

Kiedy skończył, byłam już jedną bryłą lodu. Najpierw zeszywniałam, a po chwili zamarzałam.

- Ja się wypowiedziałem. Teraz ty. Powiedz coś, proszę.

- A co ja mogę ? Powiedziałeś wszystko. Ja mogę tylko się z tobą zgodzić - usłyszałam swój głos.

- Pytam, co ty o tym myślisz. Chcesz coś powiedzieć?

- Tak. Późno już. Czas się pożegnać. - Słowa ledwo przechodziły mi przez gardło.

- Ok. Rozumiem. Ale spytam jeszcze raz. Czy chcesz coś powiedzieć? - Nie. Nie chcę.

- Pójdę już.

- Idź.

Poszedł, a ja rozplakałam się jak dziecko. Nie potrafiłam zrozumieć tego, co zaszło w moim życiu w ciągu dwóch ostatnich dni i ośmiu godzin. A zwłaszcza w ciągu trzydziestu minut.

Dojechałam do domu i zapakowałam się od razu do łóżka. Już zasypiałam, gdy zawibrował mój telefon.

- Nie wiem, dlaczego, ale tęsknię za tobą - pisał mój brat.

- Ja też. Ale nigdy nikogo o nic nie proszę.

- To tak jak ja, włączając słowo nigdy.

Pogubiłam się w tym wszystkim. Ale przecież ludzie gubią się, żeby się odnaleźć. Żeby coś zrozumieć i zmienić swoje życie na lepsze. A po co się odnajdują? Są w życiu takie chwile, kiedy trzeba zaryzykować i zdecydować się na jakiś szalony krok. Czas płynie bardzo szybko. W jednej chwili z niebios można trafić na dno piekła. Ja z dna piekła trafiłam do nieba, ale tylko po to, by za chwilę wyruszyć w drogę powrotną. W połowie drogi przystanę, przysiądę i zaczekam. Życie da odpowiedź. Zawsze daje.

KIEDY UMIERA DZIECKO

To tak, jakbym dzięki Tobie uczyła się lepiej żyć, a więc nie umarłeś, tylko stoisz gdzieś z boku i inspirujesz mnie do lepszego życia. Kiedy znów się spotkamy, będziesz ze mnie dumny. To nie będzie czas stracony

„Są chwile, takie jak ta, że chciałoby się po prostu usiąść i zapłakać... nad światem.” - napisał wczoraj w nocy. I nic więcej, tylko to zdanie. Było w nim tyle smutku i bólu, że go o ten płacz spytałam. W swej bezgranicznej arogancji chciałam wiedzieć, dlaczego przepłakał tak wiele, wiele dni. A teraz marzę tylko o tym, żeby ktoś wyciął mi tę część mózgu, na której ta informacja jest zapisana. Żeby mi to wyrwał z korzeniami. Bez znieczulenia. Tak, żebym poczuła ból konsekwencji zadawania nieprzemyślanych pytań.

To był nawet całkiem dobry, słoneczny dzień. Lato było w pełni, choć mogłoby być piękniejsze, ale najwyraźniej nie chciało się w tym roku postarać. Widocznie miało taki plan. Może za to zima będzie łagodna. Adam nie lubił zim, zwłaszcza, że patrzył na nie z punktu widzenia użytkownika pojazdu.

Nigdy nie chciał tak pracować. Ale przy takim bezrobociu nie ma co wybrzydzać. Na pieniądze nie może narzekać. Najwyżej na rozłąkę. Żona też pracowała, więc statystycznie rzecz biorąc mieli o wiele lepiej niż większość polskich rodzin. Córka pięknie rosła. W zasadzie wszystko w porządku. Tylko, że... Ostatnio wydawało mu się, że Iza stała się jakaś dziwna. Nieobecna. Potrafiła wyłączyć się na wiele godzin. Wie, bo miał urlop, pracy było mniej w związku z wejściem Polski do Unii Europejskiej. I myślał, że Iza się ucieszy, że będą teraz więcej czasu spędzać razem. A ona jakby odwrotnie. To, chociaż z córką nadrobił zaległości ojcowskie. Kino, zoo, ogród botaniczny. To w ubiegłym tygodniu. Jutro sobota. Obiecał jej, że pojedą do Aqua Parku. Tego dnia

postanowił rozruszać rozleniwione ciągłą jazdą autem mięśnie i wyjątkowo wracał do domu piechotą. Pogoda w sam raz. Niezbyt gorąco, duszno ani parno. Lekki wiaterek przyjemnie kołysze gałęzie drzew, które z kolei oddają ten chłód ludziom. Do domu kilka kroków. Dzień wyjątkowy także z innego powodu. I z innego powodu niż zastałe mięśnie i kości postanowił wrócić do domu spacerkiem. W mocno zaciśniętej dłoni trzymał maleńkie pudełeczko. Pierścionek kupił Izie. Za kilka dni ich rocznica ślubu. Siódma. Szczęśliwa liczba. Nie wie, co się dzieje w ich małżeństwie, nie rozumie zachowania żony, ale wie, bo czuje tak, bo wszędzie o tym piszą i mówią, że jak się tylko bardzo chce, to wszystko można naprawić. I jeszcze może być dobrze. Bo może to jego wina? Że tak dużo pracował? Dwie kobiety liczyły się w jego życiu. Iza i Amelka. Tak. Dzisiaj da Izie pierścionek i powie, jak bardzo ją kocha. Jak zawsze do nich tęskni. Szedł równym krokiem, ale ani za szybko ani za wolno. Dokładnie tak, aby zaczekać na swoją żonę. Dokładnie tak, by upadła mu prosto pod nogi. A tuż obok niej Amelka. Najpierw usłyszał straszliwy huk, zaraz po chwili coś uderzyło o beton. Coś. Ktoś.

Obydwie umarły od razu. Iza, jego żona. Amelka. Jego mała córeczka. Spadły tuż pod jego nogami. Zupełnie tak, jakby Iza wyglądała na niego oknem i precyzyjnie obliczyła szybkość i kierunek lotu. Ale przecież nie mogła mu tego zrobić specjalnie. Przecież nie robi się bliskim takich rzeczy? Nie skazuje się kogoś na męki duszy i ciała do końca jego dni. Dni, z których każdy bez wyjątku wypełniony będzie już tylko widokiem leżącej z rozłupaną czaszką żony i nienaturalnie wygiętego ciała córeczki. Nie robi się innym takich rzeczy, tak? Ktoś potem powiedział, że widział, jak kobieta stała na parapecie z dzieckiem na ręku. Widział. I też będzie miał te koszmarne wspomnienia do końca życia. Cienka strużka krwi wypływała z lewego kącika ust Izy. Miała takie piękne,

zmysłowe usta. Amelia wyglądała tak, jakby spała. Mówią, że podobno spała, gdy Iza z nią skoczyła. Nie pamięta, co stało się po tym, gdy kobiety jego życia upadły tuż koło jego nóg, skacząc z dziesiątego piętra wieżowca. Nie pamięta, bo upadł tuż obok nich. Ale tylko zemdlał. Dziś mówi, że żałuje, że nie umarł. Pisali o tym później w różnych gazetach: „Wszystko wskazuje na to, że matka wzięła na ręce śpiące dziecko i razem z nim wyskoczyła z mieszkania na dziesiątym piętrze. Kobieta zostawiła długi, pożegnalny list. Matka z córką mieszkały w wieżowcu przy ulicy Gorkiego od roku. Kobieta pracowała i nie utrzymywała bliskich kontaktów z sąsiadami. Dlatego o przyczynach tego desperackiego kroku nie potrafią nic powiedzieć, a o tragedii rozmawiają niechętnie.

Mieszkańcy budynku niczego nie słyszeli. O tym, że coś się stało, dowiedzieli się, kiedy pod blok na sygnale podjechała karetka pogotowia i radiowozy. Tuż po zdarzeniu, na chodniku nie było zbiegowiska, tylko kilka osób wyjrzało przez okna, potem wrócili do łóżek lub przed telewizory.

- To duży budynek. Ludzie raczej nie interesują się tym, co robią inni. Znamy się tylko z widzenia. Chyba, że ktoś ma w bloku przyjaciółkę - mówi jedna z mieszkanek wieżowca. Podobnie, jak inni lokatorzy chce zachować anonimowość. - To ogromna tragedia. Ile trzeba desperacji, żeby zabić własne dziecko. Z tą kobietą z dziesiątego piętra spotykałam się czasami w windzie. Miła i spokojna. Myślę, że to nie było samobójstwo z ubóstwa, bo kobieta i dziecko nie wyglądały na biedne - dodaje jedna z mieszkanek wieżowca.

Samobójczyni zostawiła długi list pożegnalny adresowany przede wszystkim do męża, którego nie było w domu. Wynika z niego, że kobieta planowała samobójstwo. Wcześniej przygotowała ubrania dla siebie i córki, w których miały zostać pochowane. Były tam również inne dyspozycje dotyczące miejsca pochówku, pogrzebu i kilku wartościowych

rzeczy, które pozostały po desperatce. Kobieta nie do końca podała w liście przyczynę samobójstwa. Napisała, że ma wszystkiego dość i nie chce się jej żyć. Stwierdziła również, iż zdecydowała się skoczyć razem z dzieckiem, ponieważ obawiała się, że po jej śmierci pozostanie bez opieki. Mężowi zostawiła podobno w kuchni tabletki."

Trzy miesiące później siedział w pokoju i próbował popełnić samobójstwo. Był sam. Nie lubił towarzystwa. Zresztą w tego rodzaju pomieszczeniach zazwyczaj jest się w pojedynkę i nikogo to nie dziwi. To dla bezpieczeństwa. Tak mówią. W oknie gruba gęsta krata. Białe ściany wyłożone materacami. Żeby sobie krzywdy nie zrobił. A on o niczym innym nie marzy tylko o tym, żeby mu się stała krzywda. Już nie może żyć z obrazem Izy i Amelki przed oczyma. I nieważne, czy ma oczy otwarte czy zamknięte. Gdy je otwiera, one tam są. Gdy je zamyka, są nadal. Leżą na chodniku. Iza na niego patrzy. Wydaje mu się, że w tym martwym spojrzeniu jeszcze żyło pytanie: „Dlaczego?” Pytanie, czy może wyrzut: „I popatrz, co mi zrobiłeś!”. Adam wciąż ściska w dłoni maleńkie pudełeczko. Pozwolili mu je zatrzymać. Co jakiś czas wyjmuje z niego pierścionek i mówi: „Ja naprawdę nie wiem, dlaczego. Ani nie wiem, co takiego wam zrobiłem. Co takiego zrobiłem tobie, że ty zrobiłaś coś takiego mnie?” Dziś uwolni się od tego wracającego koszmaru. Nie będzie musiał zadawać sobie wciąż tych samych pytań i nie znajdować odpowiedzi. Iza i Amelka odejdą. Odeszły już jakiś czas temu. Teraz on dołączy do nich. I nareszcie będzie mógł zapytać żonę, dlaczego to zrobiła. I nareszcie będzie mógł zasnąć. Czy można odebrać sobie życie przy pomocy pierścionka z cyrkonią? Chyba nie. Ale za to można, przegryzając sobie język.

Na szczęście nie udało mu się. A ja się tak ogromnie cieszę, że mu się nie udało, bo teraz mogę go mieć dla siebie. I

bardzo mnie to martwi. Bo nigdy nie można mieć kogoś na własność. Człowiek jest całkowicie wolny i w żaden, absolutnie w żaden sposób nie wolno mu tej wolności ani zabierać, ani nawet próbować ograniczać.

Zostaliśmy z Adamem ukarani podwójnie, on nawet potrójnie. Może to chore, ale mój syn i jego córka odeszli nagle. To niesprawiedliwe, niesprawiedliwe do granic niesprawiedliwości. Nie mieliśmy szansy pożegnać się z nimi. Gdybym tam była, w tym momencie najważniejszym w życiu, mogłabym dziecko wziąć na ręce. Na pożegnanie zaśpiewać kołysankę. I razem się uciszyć... Potem zapaliłabym gromnicę, płakałabym i modliła, jak długo potrzeba. Ostatni raz umyła, tak jak się myło od niemowlaka. I ubrała - tak, jak się dziecko ubierało. Jeśli Amelka uwielbiała suknię różową, to Adam ubrałby ją w koronki i założył koronę małej królownie. Daniel miał ulubioną sztruksową koszulę i spodnie moro. A potem wzięlibyśmy nasze dzieci znów na ręce i opłakalibyśmy. Taka pieta. Kiedy umiera dziecko, Niebo płacze, a na Ziemię przybywa Anioł, by pomóc temu dziecku bezpiecznie dotrzeć na Górę. Całą nadzieję w tym, że przybył i pomógł, gdy nas nie było. Rozumiem to doskonale.

Kiedy umiera dziecko, w matce też coś umiera. Może matki powinny odchodzić razem ze swoimi dziećmi? Tylko, że często tak bywa, że te osierocone matki również mają swoje matki, które mogłyby nie przeżyć podwójnej tragedii. Widziałam rozpacz kilku matek. Przeżyłam taką rozpacz. Znam ojców, którzy osiwiali w jednej chwili na wieść o śmierci dziecka. Mój mąż osiwiał. Znam matki, których serce pękło i nigdy się nie zrosło. Serce moje. Widziałam, jak szaleństwo pcha zboląłą matkę do wykopanego grobu, w którym za chwilę spocznie ciało jej dziecka. To było moje szaleństwo. Widziałam ojca stojącego nad otwartą trumną, głoszącego nieżyjącego synka i szepczącego mu słowa,

których brzmienie trudno nam sobie wyobrazić. To ojciec mego synka. Co powiedzieć kobiecie, która właśnie pochowała swoje dziecko? Wciąż słyszy śmiech swojego syna. Wracają obrazy z czasów, kiedy wszystko było piękne. Bo był ON. Od dnia, kiedy wyszedł do szkoły i już nie wrócił, nic nie jest takie samo. Od dnia, gdy zadzwonili do mnie do pracy, każąc natychmiast przyjechać do szpitala, wszystko nabrało nowego wymiaru. Miałam złe przeczucia. Choć nigdy wcześniej trzynasty piątek nie budził we mnie obaw. Tego grudnia było inaczej. Wychodziłam do pracy bardzo wcześnie, więc napisałam synowi kartkę i powiesiłam na lodówce. „Kochanie, uważaj dziś na siebie. Dziś jest piątek, trzynastego. Całuję, mama.” Dlaczego to zrobiłam? Czasami myślę, że to ja sprowadziłam na niego tą tragedię. Przez cały dzień byłam niespokojna. O trzeciej zegarek się zatrzymał. Już wiedziałam, że coś musiało się stać. Dwadzieścia minut po piętnastej w drzwiach biura stanął mój przełożony i spojrzał na mnie tak, że już wiedziałam. Zarzucił mi płaszcz na ramiona i wyprowadził na parking. Powiedział, że Daniel miał wypadek w szkole i wiozą go właśnie do szpitala. Nic więcej nie wie. Telefon zadzwonił. Andrzej powiedział, że jest już w szpitalu, a Daniela operują. Płakał. A on tylko dwa razy w życiu płakał. Pierwszy raz, gdy Daniel się urodził. Drugi raz... Daniel był malutki. Zakrztusił się orzeszkiem. Byliśmy w restauracji, a dziecko zaczęło się dusić. Andrzej niewiele myśląc chwycił malucha za nogi i potrząsał nim jedną ręką, trzymając go głową w dół, a drugą klepał po plecach. Orzeszek wypadł, a Andrzej wtedy płakał drugi raz.

Wiedziałam już, że z moim synem dzieje się coś strasznego. Droga z pracy do szpitala była drogą przez mękę. Wypełniona po brzegi bólem, niepewnością i strachem. Na szpitalnym korytarzu, przed salą operacyjną czekał na mnie mąż. Miał twarz zapuchniętą od płaczu. W tej samej chwili z

bloku operacyjnego wyszedł lekarz. Przegraną miał wypisaną na twarzy. Powiedział, że jest mu bardzo, bardzo przykro. Że Daniel miał pękniętą wątrobę. Że, jak próbowali ją pozszywać, to im się w palcach rozeszła. Człowiek nie może żyć bez wątroby. Andrzej posiwał w ułamku sekundy. Do mnie powoli zaczynały docierać słowa wypowiedane przez lekarza. Przedzierały się przez naturalną zapórę bezpieczeństwa, wwiercając się w mózg.

- Przykro mi, nie udało nam się uratować Państwa syna.

- Czy to znaczy, że mój syn nie żyje?

- Przykro mi - powtórzył lekarz i wyglądał tak, jakby naprawdę było mu przykro.

- To niemożliwe. On nie może umrzeć.

Za tydzień Święta Bożego Narodzenia. Prezenty pochowane w szafach i w wersalce spokojnie czekały na swój dzień, skrywane przed dziecięcą ciekawością.

Wszystkie podstawówki w miastach wyglądają tak samo. Mają takie same boiska i takie same na nich bramki. Jedna z tych bramek przewróciła się i zabiła moje dziecko. Jedna z tych bramek w jednej chwili raz na zawsze zmieniła całe moje życie. Życie wypełnione radosnym śmiechem Daniela. Teraz nawet nie ma, po co wracać do domu. Nie ma, dla kogo wstawać rano i kłaść się wieczorem. Może matki powinny odchodzić razem ze swoimi dziećmi? Co można powiedzieć kobiecie, która właśnie straciła sens życia? Co powiedzieć kobiecie, która właśnie pochowała swoje dziecko?

Niewiele. Może poza słowami.

Pamiętaj, że gdziekolwiek Daniel się znajdzie, zawsze Jego część pozostanie w naszych sercach. Sercach ludzi, którzy Go kochali. Pamiętaj, że Bóg też Go kocha. Tak bardzo, że już nie chce się Nim z nikim dzielić. Z Izą i Amelką też się już nie chciał dłużej dzielić. I musiał jej o tym

powiedzieć. Matki nie powinny odchodzić ze swoimi dziećmi.
Powinny zostawać, by pielęgnować to dziecko w sobie.

NA ZAKRĘCIE

„Dobrze się pan czuje? To świetnie, właśnie widzę - jasny wzrok, równy krok jak w marszu. A ja jestem, proszę pana, na zakręcie. Moje prawo to jest pańskie lewo. Pan widzi: krzesło, ławkę, stół, a ja - rozdarte drzewo. Bo ja jestem proszę pana, na zakręcie”.

Agnieszka Osiecka.

Ewa, Magda i Anka też były na zakręcie. Opowiem krótko o każdej z nich. Krótko dlatego, że tylko tyle wytrzymam. I Wy też.

EWA

Urodziła się w malutkiej wsi pod Radomiem. Szesnaście numerów. Dwadzieścia minut szybkim krokiem i całą wieś przejdiesz w tę i z powrotem. Nudno tak, że nawet bezpańskie psy omijają ją szerokim łukiem. Jak Ewa tylko nauczyła się chodzić, karmiła kury, kiedy skończyła pięć lat, dokładała świniom do koryta. Do szkoły szła dwanaście kilometrów, żeby zdążyć na ósmą, zimą musiała wstać o czwartej. Najpierw nakarmić świnię, wydoić krowy, a później brnąć po kolana w śniegu. Kiedy wracała, już było ciemno. Latem nie było lżej. Żniwa. Dlatego obiecała sobie, że gdy skończy szkołę, pojedzie do miasta, do ludzi, znajdzie pracę, uczyć się będzie i bawić. Życ. Ojciec nie pozwolił. Kazał jej w polu pracować. Nienawidziła tego pola, świń, krów. I ojca też. Pojechała do miasta. Chciała pokazać ojcu, że sobie poradzi, że jej się uda. Wykrzyczała mu, że zniszczył jej dzieciństwo, że nie pozwoli mu zniszczyć jej życia. Wtedy widziała go ostatni raz. Cztery miesiące później ojciec identyfikował jej zwłoki. Dziewczyny z prosektorium długo pracowały nad tym, żeby Ewa wyglądała dobrze.

Alfons, dla którego pracowała złamał jej szczękę w trzech miejscach. Bił ją tak mocno, że wgniół jej czaszkę z prawej strony. Kiedy udało jej się dobiec do drzwi, złamał jej tymi

drzwiami rękę. Chciała uciec, bo przetrzymywał ją trzy miesiące i sprzedawał każdemu, kto zapłacił. Była jego własnością. Kiedy przestała być wydajna, kiedy osłabła tak, że stała się bezużyteczna, pobił ją na śmierć. Bo Ewa jednak nie dała sobie rady w wielkim mieście. Naiwność i łatwowierność dziewczyny z maleńkiej wioski okazały się zgubne.

MAGDA

Została prostytutką z wyboru. Lubiła szybkie i łatwe pieniądze. Choć tylko ona wiedziała, że nie były łatwe. Zboczeńców nie brakuje, zwyrodnialców, sadystów jest pełno. Dotąd jednak miała szczęście. Intuicja jej nie zawiodła. Do tamtego piątkowego wieczoru. Poszła z tym klientem, mimo że na początku rozmowy trochę się z nim pokłóciła. Targował się jak przekupka na bazarze. Nie chciała ustąpić. W końcu zgodził się na jej stawkę. Poszli do pobliskiego hotelu. Nie wiedziała, że w pokoju czekał jego kumpel. Najpierw zabrali jej pieniądze, potem gwałcili na zmianę przez kilka godzin. Na koniec wpuścili jej do pochwy piankę montażową. Magda żyje, ale nigdy nie będzie miała dzieci. Pianka porozrywała jej narządy rodne. Magda czeka też na operację odtworzenia odbytu, odżywiana jest pozajelitowo, bo tam też jej wpuścili piankę.

ANKA

Singielka. Lubiła umawiać się na randki z nieznanymi z Internetu. Czysty seks bez zobowiązań, na które nie, była gotowa. Ta randka wyglądała tak samo, jak wszystkie poprzednie. Poszła do niego do domu. Było bardzo miło, romantycznie nawet, facet był ujmujący, czarujący. Kiedy było już po wszystkim i zbierała się do wyjścia, przestał być czarujący. Rzucił ją na łóżko, związał ręce i nogi sznurem. Nie. Nie chciał seksu. Przykuł jej górne powieki do dolnych szpilkami krawieckimi. Górną wargę ust przebił na wylot igłą i połączył z dolną. A wszystko to robił wolno, precyzyjnie.

Tak, żeby wszystko dokładnie czuła. Żeby ból był jak największy. Przekłuł jej na wylot sutki. A na koniec zaszył jej pochwę. Tego już nie czuła, bo zemdląca.

Mdląca kilka razy, ale brutalnie ją cucił. I zaczynał tortury od początku. Kiedy skończył, pozwolił jej wyjść. Anka już nie umawia się na randki z nieznajomymi. Nie umawia się w ogóle. Może kiedyś, ale na pewno nie nastąpi to szybko.

Moja córka ma tyle lat, ile miała Ewa, kiedy postanowiła pokazać rodzicom, że sama sobie poradzi i uciekła do miasta. Kiedy moje dziecko złości się i wykrzykuje, że się wyprowadzi, że sobie poradzi, serce mi pęka na milion kawałków, bo widzę Ewę, pobitą na śmierć, leżącą na zimnym stole prosektorium. Bo pamiętam siebie, kiedy to samo wykrzykiwałam mojemu ojcu. I uciekłam z domu, zostawiając list: „Nie szukajcie mnie, jestem dorosła, poradzę sobie.”

Miałam szczęście. Nie byłam Ewą. I zrobię wszystko, żeby moja córka też nie była. Ty też nie bądź Ewą. Nawet, jeśli jesteś na zakręcie, nie bądź Ewą, Magdą, Anką. No, proszę Cię, nie... Bądź sobą tam, gdzie jesteś. Widocznie to jest twoje miejsce na ziemi.

NAZNACZONA

Kiedy umrę, pochowajcie mnie na stojąco, bo całe życie przeżyłam na kolanach!

Paulo Coelho, Czarownica z Portobello

Zgwałcenie - w szerokim tego słowa znaczeniu jest to zmuszenie drugiej osoby do obcowania płciowego, poddania się innej czynności seksualnej lub wykonania takiej czynności: przy użyciu przemocy, groźby bezprawnej lub podstępnie (przestępstwa z art. 197 K.k.) przy wykorzystaniu bezradności lub wynikających z upośledzenia umysłowego lub choroby psychicznej braku zdolności tej osoby do rozpoznania znaczenia czynu lub pokierowania swoim postępowaniem (przestępstwo z art. 198 K.k.) przez nadużycie stosunku zależności lub wykorzystanie krytycznego położenia tej osoby (przestępstwa z art. 199 § 1 i 2 K.k.)

Pierwszy raz...

Opowiem Ci pewną historię. Powiem Ci to tylko teraz i więcej nie pytaj mnie o to, dobrze? I nie przerywaj mi, proszę, bo jeśli to zrobisz stracę odwagę. Próbuję nauczyć się wybaczenia. Ale słabo mi idzie. Zostałam zgwałcona. Trzy razy. Bardzo dawno temu. Raz, kiedy miałam piętnaście lat. Drugi, rok później. I trzeci raz, gdy skończyłam siedemnaście lat. Dwa razy udało mi się uniknąć gwałtu. Chodziłam do podstawówki. Ostatnia klasa. W domu wczasowym, w którym zatrzymali się moi rodzice, nudno było przeokropnie. Sami emeryci i renciści. Z tych nudów wyspecjalizowałam się w grze w ping - ponga. Myślałam, że te dwa tygodnie będą dla mnie jak prawdziwa szkoła przetrwania. Aż tu nagle, następnego dnia pojawił się ON. Cud nad Wisłą. Banderas lat siedemdziesiątych. Zatkło mnie, jak wkroczył na stołówkę. Kawałek bułki stanął mi w gardle, gdy podszedł do naszego stolika i zapytał, czy może się przysiąść. Mama łaskawie kiwnęła głową i się Banderas przysiadł. Zakochałam się w

nim między kanapką z salcesonem (wtedy prawdziwy rarytas) a sałatką jarzynową. Wszystkie panie poprawiały fryzury, gdy pojawiał się na horyzoncie, podnosiły biusty i wciągały brzuchy. Nawet te mocno dojrzałe dyskretnie sprawdzały, czy im się coś nie przesunęło: peruka lub względnie proteza zębowa. A Banderas uprzejmie się do nich uśmiechał, a za mną łąził jak cień. Był miły, czarujący, wyrozumiały dla problemów trapiących zbuntowaną nastolatkę. Pocieszał, komplementował, opowiadał świńskie dowcipy. Po trzech dniach byłam gotowa zrobić sobie operację powiększającą biust. Po czterech, oddałam mu całe kieszonkowe. Piątego dnia chciałam za niego wyjść za mąż. Szóstego... No właśnie. I co z tego, że był o dwadzieścia lat starszy? Ale to w końcu Banderas... Zaczął niewinnie. Od pocałunku. Poprzez małe macanko. Przyszedł, kiedy mama razem z resztą zaprzyjaźnionych wczasowiczek poszła na polowanie. Na dancing, znaczy się. Spałam już. Otworzyłam drzwi, bo myślałam, że to mama wraca z imprezy. A w drzwiach stoi Antonio. Brylantyna na czarnych włosach, jasnobezowy sweterek, podkreślający jego śniadą cerę, w korytarzu unosi się zapach Brutala. Prawie padłam od tego smrodu. Przesadził lekko. Ale nic. Dobrze wychowana jestem. A dzisiaj powiedziałabym mojej córce, że w takich sytuacjach należy delikwenta zmiążdżyć drzwiami. Ja go wpuściłam. Bo on taki wyrozumiały i czuły, i mądry. No i do tego Banderas. I niby nic się nie stało. Zaraz umrę. NIC SIĘ NIE STAŁO. Nie wierzę, że to powiedziałam. Naprawdę to powiedziałam? Aha. On usiadł na brzegu łóżka. I nawet nie wiem, kiedy, wsadził mi do środka pół ręki. Już nie mogę. I to prześcieradło. Białe. A na nim spore plamki. Krew. Moja krew. Na jego palcach. Przerwał mi błonę dziewiczą. Zdeflorował. Przerazenie w jego oczach wydawało się być szczere. Patrzył na mnie z takim strachem, jak patrzymy na grzyb unoszący się po wybuchu

bomby atomowej. Bał się, ale to ja zostałam skażona. Przeżyję, ale ta choroba też jest nieuleczalna. Uciekał szybciej niż nasi ministrowie, a rano go już nie było. Wszystkie panie opłakiwały Banderasa, a ja opłakiwałam swoją cnotę, której mnie pozbawił w tak niewyszukany sposób. Obrzydliwie po prostu. Wlazł bez pukania, wsadził we mnie tę wymanikiowaną łapę i zostawił mi ślad w psychice do końca życia. Ja do dziś pamiętam, jak on się nazwał. Imię i nazwisko. Skąd był, też pamiętam. Twarz, sylwetkę. Sposób, w jaki się poruszał. Jak pachniał. Śmierdział raczej. Brutalem w proporcjach: pół butelki na jeden sweterek. Mógł go używać zamiast eteru. Skutek prawie ten sam. Nie powiedziałam nikomu. Nie było sensu.

Drugi raz...

Nie, nie chcę o tym mówić. Jeszcze nie teraz.

Trzeci...

Zupełnie tak, jakbym przyciągała takie patologiczne przypadki. Tylko, że chłopaka nie miałam. Nigdy go nie miałam. Unikałam ich, jak diabeł święconej wody. Efekt uboczny defloracji za pomocą ręki Banderasa. Wracałam do domu. Koniec zimy, ale nadal ciemno robiło się o dziewiętnastej. Maszeruję zwawo, bo zimno, a ja w spódnicy. Buty też zupełnie nie zimowe. Zatrzymuje się samochód. W środku dwóch facetów w wieku mojego ojca. I tacy mili, wiarygodni. I ja taka naiwna. Myślę sobie: to pewnie też czyichś ojcowie. Przecież nie zrobią mi krzywdy. Ja chyba nigdy się tej naiwności nie pozbędę. Bo ja wierzę w CZŁOWIEKA. I ta wiara mnie bardzo dużo kosztuje. Chcieli mnie podwieźć. Po długiej dyskusji, gdy już stopy prawie przymarzły mi do chodnika i odmroziłam tyłek, wsiadłam do ich samochodu. To przecież niedaleko. Nagle oni skręcają w zupełnie inną stronę. Włącza mi się czerwona lampka. Cholera! Dlaczego, wtedy nie miałam zwarcia w instalacji

ostrzegawczej? Za chwilę uspokajam się nieco, bo samochód zatrzymuje się przed restauracją. Przeoczyłam tylko, że to jest Hotel Restauracja. Zapraszają na drinka. Nie piję, dziękuję. Jestem nieletnia. No to sok. Sok może być. Pomarańczowy. W restauracji pełno ludzi, czuję się bezpieczna. Kelner przynosi sok, podaje mi i uśmiecha się. Wtedy myślałam, że serdecznie. Dzisiaj rozumiem ten uśmiech nieco inaczej. Nie zwróciłam uwagi na to, co mimo wszystko zanotowała moja podświadomość. Dziwne uśmiechy szatniarza, porozumiewawcze mrugnięcia okiem kelnera. Hm... uśmiech. Ma wiele twarzy. Wiele twarzy uśmiechu. Wiesz, odtwarzałam to setki razy. Po fakcie. Wcześniej tego nie dostrzegałam. Piłam sok pomarańczowy. Dziś wiem, że był doprawiony środkiem nasennym, albo narkotykiem. Ostatni obraz, jaki mam, to ten pomiędzy stolikiem restauracji, a mną, leżącą bezwładnie w ciemnym pokoju. Nawet nie wiem, jak dotarłam na górę. Bo musiała być jakaś góra. Kiedy się obudziłam, leżał na mnie jakiś facet, jeden z tych dwóch, wiesz, ten jeden miły, sympatyczny facet w wieku mojego ojca. Zdaje się, że już kończył. Zepsułam mu zabawę, bo obudziłam się za wcześnie. I nawet nie wiem, ilu facetów przewinęło się przez ten pokój. No, co, poryczałam się. Histeryzowałam. Przestraszyłam się, że teraz to mnie pewnie zabiją i, będąc zapewne w zмовie z szatniarzem, kelnerem i połową hotelowej obsługi, zabetonują mnie w piwnicach hotelu. On wyszedł. Po chwili do pokoju weszła kobieta. Przygotowała mi kąpiel. Uspokoila. Umyła mnie jak małe dziecko. Ja to mam fart. Najpierw gwałci mnie facet, daj Boże tylko jeden, a potem prostytutka mnie myje. Najgorsze jest to, że ja nie mogłam zapomnieć. Dopóki nie weszłam na moją Drogę. Nazwa restauracji, kolor ścian, choć było ciemno w pokoju. Rodzaj lampek na stolikach. Wzór na narzucie. Kolor glazury w łazience. Kolor włosów i pomadki Kasi. Bo ona

Kasia była, przynajmniej tak się przedstawiła. I spocona twarz tego faceta. Jego przyspieszony oddech, gdy wchodził we mnie i wychodził. Jak można? Co się ma z tego za przyjemność, że gwałci się śpiącą, nieprzytomną nastolatkę??? Co ja? Na czole mam napisany slogan reklamowy: „Zgwałć mnie! Satysfakcja gwarantowana”. Ja nigdy chłopaka nie miałam. Nie spałam z żadnym. I akurat to musiało zdarzyć się mnie... Przez następną część życia chciałam tylko usłyszeć, że to nie moja wina, że wsiadłam do tego samochodu. Choć wiem, że nie powinnam. Ale wsiadłam. Bo wierzę ludziom. I że to ich wina. Bo to oni mnie skrzywdzili. I moja też, bo to ja otworzyłam te pieprzone drzwi, którymi wszedł oślizgły Banderas. On wiedział doskonale, po co wchodzi. Powinnam była zmiażdżyć ulizańcowi rękę. Zamiast tego, pozwoliłam mu, żeby mi tą wypielegnowaną dłonią zawodowego żołnierza zabrał wszystkie dziewczęce wyobrażenia o miłości. Na jego dłoni, pomiędzy palcami oprócz krwi została cała moja przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Wziął sobie wymaz z mojego życia, jak ginekolog bierze wymaz do badania cytologicznego. Normalne już nic więcej nie było. I już nie będzie. Wypalili mi na ciele, duszy, sercu i umyśle piętno. Zostałam naznaczona.

NIE JEST ZA PÓŻNO

Jeszcze zdążymy naszą miłością siebie zachwycić,
Siebie zachwycić i wszystko w krąg.

Wojna to będzie straszna, bo czas nas będzie
chciał zniszczyć,

Lecz nam się uda zachwycić go.

Już jest za późno!

Nie jest za późno!

Nie jest za późno!

Nie jest za późno!

Edward Stachura

Przychodził do niej codziennie. Choć nie zawsze tak było. Gdy spotkali się po raz pierwszy, ona pomyślała tylko: fajny facet. A on pewnie nawet nie zdołał wyłuskać jej z tłumu. Po kilku miesiącach trafili na siebie ponownie. Tym razem już wiedzieli, że się spotkają. Kilkoro znajomych i oni. Piwo i rozmowa o dupie Maryni. Była tak spięta, że ciężko było jej wydusić z siebie kilka słów. Tak bardzo bała się, żeby nie wyjść na idiotkę, że wyszła na mruka.

Ale jemu zdawało się to nie przeszkadzać. Sącył piwo, siedział naprzeciw niej i patrzył jej w oczy. Bo i było na co patrzeć... Wstała i poszła do toalety. On też się poderwał i przeprosił towarzystwo. Nieco zdumieni, uciszyli się na moment i rzucili im na obchodne: „To bawcie się dobrze.” Spotkali się na schodkach. Zagroził jej drogę i powiedział:

- Zapytaj mnie.

- Nie. Nie zapytam. Boję się odpowiedzi.

- Zapytaj, proszę.

Podniosła wzrok z podłogi, spojrzała na niego uważna, skupiona. Prosto w te jego błękitne oczy. Tymi swoimi ogromnymi, niebiesko - szarymi. Popatrzyła i powiedziała lekko zniecierpliwiona, zmieszana, a jednocześnie cudownie wyzywająca:

- Dobrze. No to pytam.

I ani jednego słowa. Tylko ten wzrok wbity w niego. Pytała oczami. On wziął jej twarz w swoje ręce, pocałował ją delikatnie w usta i powiedział:

- To jest moja odpowiedź.

Spotkali się już następnego dnia. I kochali na trawie w lesie. Miała całą sukienkę w ściółce, trawę we włosach i nogi brudne od ziemi. Bała się, że ją zostawi. Przecież dostał, czego chciał. A oni wszyscy są tacy sami... Zaczęli spotykać się regularnie.

Najpierw w każdy wtorek. To on wyznaczał terminy i narzucał rytm spotkań. Trzymał ją na dystans. A ona już go kochała. Życie podzieliło się na dwie części: jedna, to ta od wtorku, a druga to ta do wtorku. Pokochała wtorki. Później także i czwartki. Nawet nie zauważyła, kiedy zaczął przychodzić częściej. Po roku spotykali się codziennie. Nie mogli się sobą nacieszyć... Dzwonił do niej zaraz po tym, jak od niej wyszedł. Kiedy rano wychodził do pracy, pierwsze co robił po włączeniu telefonu komórkowego, to telefon do niej. Było jej cudownie. Cieszyło ją także i to, że powoli zaczynał się otwierać. Nie był już taki... nieprzystępny. Zupełnie tak, jakby zdecydował nagle, żeby zrzucić zbroję. Pancierz, który go chronił, stał się zbędny.

Traktował ją inaczej, niż inni mężczyźni. Był czuły, delikatny. Nigdy nie podniósł na nią głosu. Mówił prawie szeptem. Zwracał się do niej w sposób, o którym ona dotąd tylko czytała, albo widziała na przerysowanych filmach. A więc jednak tacy mężczyźni istnieją? Nie wyginęli razem z dinozaurami?

Panicznie bała się tylko jednego: że się obudzi. Że on ją porzuci. I nie wiedziała, czy ją kocha. Bo nigdy jej tego nie powiedział. Co z tego, że gesty mogły świadczyć o uczuciu?

Mogła je odczytywać. Ale nie chciała. Przecież kobiety potrzebują słów.

Kiedy mu o tym mówiła, denerwował się lekko, ale cierpliwie tłumaczył:

„Skarbie, dlaczego czepiasz się słów, a nie zwracasz uwagi na gesty. Jest mi z tobą dobrze. Jak nigdy dotąd z nikim. I czuję, wiem, że nigdy już mi tak dobrze nie będzie. Jesteś moim skarbem. Zrozum, ja nie mogę powiedzieć nic więcej. Nie wolno mi.”

Nie wolno mu. Bo co? Dlaczego? Bo w domu żona i dzieci? A może żona jest do kochania, a kochanka do sypiania? Wiedziała, że jest dobrą kochanką. Intuicyjnie odczytywała jego potrzeby i pragnienia. Potrafiła sprawić, że odlatywał na inną planetę. Kochała go tak, jak potrafiła najlepiej. I on ją. Dbał o jej potrzeby. Troszczył się, by było jej dobrze. I było. Jej także. Jak nigdy przedtem.

Powiedział jej to tuż po jej 30 - tych urodzinach. Że ją kocha. Przeczuwała, że to się stanie. Skończyli się kochać i leżeli twarzami do siebie. Spokojni, choć nadal serca biły im szybciej.

Patrzył na nią. Powiedział:

- Skarbie...

A ona poderwała się... bo w pierwszej chwili chciała uciekać. Wiedziała, co za chwilę usłyszy i bała się tego. Choć pragnęło z całych sił usłyszeć... Przytrzymał ją. Przytulił.

- Kocham cię. Bardzo cię kocham.

Wtedy po raz pierwszy przez niego płakała. Z radości. Przychodził codziennie. Kiedy otwierała mu drzwi, on wchodził do dużego pokoju, rozbierał się. Na końcu zdejmował zegarek i szedł do łazienki, gdzie czekała na niego kąpiel. W tym czasie ona wstawiała wodę na herbatę. Pamiętając, że on lubi tylko bardzo gorącą. Czasami przygotowywała kanapki przed. A gdy on miał mało czasu, to

po. Gdy drzemał PO, ona cichutko, żeby go nie obudzić, szła do kuchni i przyrządzała kanapki. Lubiła patrzeć, jak on je.

Trzy lata. Ukradzione komuś. Wykradzione. Woląla myśleć, że nie ma w tym jej winy, że nie zabiera nikomu męża, tylko go po prostu chwilowo „użytkuje.” Wzięła go w leasing.

Nawet nie zauważyła, kiedy przeszedł z tulipanów na róże i kiedy włączył do swojego słownika, zwrot z jego listy zwrotów nakazanych. „Kochanie moje” mówił. Po dwóch latach.

Zacząła coś podejrzewać na kilka tygodni przed świętami. Przycichł, jakby zmałał. Niby ten sam, a taki inny. Pytała: „Problemy w pracy? Jak ci mogę pomóc?” A on niezmiennie odpowiadał, że wszystko w porządku. Kochanie. Skarbie. A w sobotę odsłuchała od niego wiadomość. Po pierwszych słowach chciała wyrzucić telefon przez szybę samochodu. Prosto na ulicę. Żeby koła innego auta rozjechały go na kupkę plastiku. Która już nic nie powie. Nie odtworzy żadnej wiadomości.

„Kochanie, muszę powiedzieć ci coś strasznego. Jestem idiotą. Zrobiłem coś okropnego. Kilkanaście dni temu, bojąc się wyjść na mięczaka przed wysoko postawionymi prezesami firm, będąc po dużej wódce, dałem się namówić na panienkę z agencji.”

O Jezu! Nie słyszeć. Ogłuchnąć. Umrzeć.

„Nie dość, że było fatalnie, to jeszcze coś podłapałem.”

Nie słyszeć. Ogłuchnąć. Obudzić się.

„Wiem, że teraz na pewno nie będziesz mnie chciała znać. Nie odbierzesz telefonu. Nie zadzwonisz. Wybacz mi. Jestem idiotą. Błagam, wybacz mi. Kocham cię, nie potrafię żyć bez ciebie.”

Spotkali się tego samego wieczoru. Wsiadł do jej samochodu i powiedział:

- Ślicznie wyglądasz. Jak zwykle. Jesteś taka piękna.

Ona wyjęła z torebki pióro, które od niego dostała.

- Proszę. To jedyna cenna rzecz, jaką od ciebie dostałam.

- Rozumiem.

- Rozumiesz? A cóż takiego rozumiesz? Widziałeś kiedyś kogoś, kto umarł, a nadal żyje? Komu wypaliło wszystko w środku, a on nadal oddycha? Komu jednym ruchem wyrwano serce z piersi, a ono nadal jakimś cudem bije? To sobie popatrz. I napawaj się tym, co widzisz. Czy przez te trzy lata zapracowałam na to, by ryzykować nasz związek dla chwili przyjemności z dziwką?

- Proszę, przestań. To było straszne. Żenujące. Wstyd i obrzydzenie.

- Może mam ci współczuć? Nie licz na to. Współczuję tylko sobie. Własnej głupoty.

I tylko te łzy. Nie panowała nad nimi. Podobnie jak i on. Wyglądał jak kundel, który wpadł pod pędzącą ciężarówkę, ale jakimś cudem ocalał. Kilka następnych dni uświadomiło jej, że nie powinna mu pozwolić wrócić. Ale знаła go na tyle, by móc mieć nadzieję, że to, co się wydarzyło, będzie wystarczającą nauką dla niego. Choć, z drugiej strony... Nie przypuszczała, że on to w ogóle zrobi.

Przecież było im tak dobrze.

Podobno każdy facet kiedyś to robi. Z czystej ciekawości, albo ulegnie magii reklamy. Opowieści kolegów. A potem okazuje się, że to nic nadzwyczajnego. Nie mogła do niego wrócić. Ale czuła, że bez niego nie może oddychać... Dzwonił każdego dnia.

Spotykali się. Rozmawiali. Widziała, jak się zmienił. Fizycznie. Schudł. Koła pod oczami wielkości spodków od filiżanek. Ludzie popełniają błędy. Trzeba wybaczać. Powinno się. Ale ten ból...

Powiedziała mu:

- Spróbujmy jeszcze raz. Może jeszcze będzie pięknie.

Bardzo bolało. Jak ją dotykał. Całował. Gdy wchodził w nią czuła fizyczny ból. Zamykała oczy i widziała, jak robi to z tamtą. Gdy je otwierała, było jeszcze gorzej. Jego dotyk parzył jej skórę. Prawie czuła, jak pęka. Odchodzi całymi płatami. Widok przydrożnych prostytutek, program telewizyjny czy jakakolwiek wzmianka na ten temat wywoływały mdłości.

„Przejdzie, to minie” - powtarzała sobie w duchu.

Zaciskała zęby, by to wytrzymać. Pięści, by go nie pobić. Wytłukła całą zastawę. Rzuciła kieliszkami o podłogę. A on, bez słowa zbierał potłuczone szkło. A potem przytulał ją i mówił:

„Mnie też jest z tym ciężko.”

Po kilku miesiącach nauczyła się o tym nie myśleć. Gdy tylko czuła, że jej pamięć zaczyna odczytywać zapisane w mózgu jak na dyskietce pliki, natychmiast „resetowała komputer”. Bo przecież to miłość. To tylko miłość.

"Nie panikuj. Wszystko będzie dobrze."

Nauczyła się od nowa witać go całusem, robić kanapki, gorącą herbatę i kąpiel z pianą. Nauczyła się o tym nie mówić. Nie wracać do tego. Obiecała to sobie z chwilą, gdy zdecydowała, że spróbują jeszcze raz.

Nie nauczyła się tylko jednego. Ufać mu. Tak jak kiedyś.

Ale wierzyła, że i to można odbudować. Odgruzować. I że na tym rumowisku powstanie jeszcze coś pięknego. Łatwiej było jej kochać, wciąż tak mocno, niż ufać... Ale postara się. I on będzie się starał. Przecież mają się razem zestarzeć. Jeszcze nie jest za późno.

NIEŁATWOPALNE

Żyła, ile chciałeś; Umarła, bo kazałeś; Zbaw, bo obiecałeś
mojej Ance...

Wierzę w Przeznaczenie. W to, że ludzie nie spotykają się przypadkiem, że rzeczy dzieją się, bo ktoś tak zaplanował. Że nasze życie jest zapisane w gwiazdach, ale my także możemy na nie wpływać. Ale musimy być uważni, wsłuchiwać się w siebie, obserwować świat i ludzi. Szukać znaków. A one zaprowadzą nas tam, gdzie chcemy dotrzeć.

ANKA.

Jest piękną kobietą. Zawsze była. Vice Miss Ziemi
Warmińsko - Mazurskiej. Ogromne zielone oczy jak dwa jeziora, można się w nich utopić. W tym drobnym ciele kryje się ogromna siła i energia. Ciągłe w biegu. Zmęczona, ale spełniona. Społecznik na tysiąc procent. Niewiele, albo nic dla siebie - wszystko dla innych. Bo inni mają gorzej. A skoro ona może coś zrobić, poprawić, dać trochę uśmiechu, to dlaczego, nie. Pieniądze to nie wszystko. Nie miała ich, ale i tak potrafiła odnaleźć radość w drobiazgach. Nic za darmo. Za jej dobre serce i kiepską asertywność płaciła rodzina. Ale trudno, coś za coś.

SANDRA

Jej córka to doskonale rozumiała i kochała całym sercem - Ankę i cały świat. Choć wiedziała, że świat nie całkiem zasługuje na tę miłość. Ale ludzie, tak. Mimo wszystko i wbrew wszystkiemu. Bo kocha się bezinteresownie. Wbrew czemuś, a nie za coś. Dobro powraca. Czuła, że tak jest. Że warto dać cząstkę siebie innym, że można uczynić świat i ludzi lepszymi. Tylko potrzeba czasu. Czuła też, że tego czasu ma bardzo mało. Że się kończy. Żyła na kredyt. Ale żyła. Szybko, intensywnie, pełną piersią. Uważna, współczująca, tolerancyjna, roześmiana, zasłuchana, zamyślona. Tańczyła, śpiewała, pisała, czytała. Lubiła książki, które były

prawdziwe, z których mogła dowiedzieć się, jak życie wygląda naprawdę, to dorosłe, dojrzałe, pełne kłopotów, zmartwień, przeszkód i niosące wiele rozczarowań. Życie, w którym ludzie nie tylko się kochają, ale i krzywdzą - biją, niszczą, zabijają. W którym dzieci są maltretowane, głodne, seksualnie wykorzystywane i niebezpieczne. To był prawdziwy świat. Nie miała złudzeń, choć częśćka jej nadal wierzyła, że gdzieś, ktoś, jakoś... Czytała, żeby dowiedzieć się jak najwięcej, bo przeczuwała, że tylko w ten sposób pozna prawdę. Że sama nigdy jej nie dotknie. Sandra była niezwykła. Pod każdym względem. Żyła najpierw dla innych, a dopiero potem dla siebie. Chciała zrobić tyle rzeczy, przeżyć jak najwięcej. Wiedziała, że nie da się jednak przeżyć wszystkiego, dlatego chłoneła całą sobą to, co życie jej dawało i co brała sobie sama.

ONE

Tego dnia, jak zwykle zagoniona, Anka zawiozła Sandrę do koleżanki. Miały iść wieczorem do klubu, a stamtąd bliżej było do Eweliny niż do domu, więc też bezpieczniej. Uzgodniły, że Sandra u niej przenocuje. Wstąpiły jeszcze do sklepu i w samochodzie się pożegnały. Długo jakoś się żegnały, Sandra nie mogła wysiąść z samochodu. Patrzyła na Ankę tak, jak nigdy dotąd, uściskała ją mocno, pocałowała i powiedziała: „Do zobaczenia, mamuś”. Zwyczajne niezwykłe pożegnanie.

Każdego dnia kogoś tak żegnamy. Całus w przelocie, uścisk niezbyt czuły, słowa ginące w oddali. Bo przecież za moment, za kilka chwil znowu się spotkamy.

A skąd w nas ta pewność? To zwykła arogancja, która może nas kosztować wszystko. Ot, życie po prostu. Nie myślimy, że coś może odmienić nasze życie w jednej minucie. Że coś lub ktoś może odebrać nam tę drugą najważniejszą osobę. Że może wyrwać nam serce z naczyniami.

Więc co to jest - arogancja, naiwność, czy wiara w nieśmiertelność ludzi i niezmienność zjawisk?

A może to tylko miłość, która nie pozwala nam myśleć, że możemy kogoś stracić?

Ankę obudził ostry dźwięk dzwonka nad ranem. W styczniu późno robi się widno. A gość o takiej godzinie nigdy nie wróży niczego dobrego. Jej znajomy, policjant, przyjechał, żeby zabrać Ance całe powietrze. I zamienić jej życie w piekło. I choć przecież to nie on zabił Sandrę, to nie on jechał jak szalony i uderzył w drzewo, to właśnie tak się wtedy Anka czuła. Niby wiedziała, co się stało, to znowu jakąś cząstką w niej kurczowo trzymała się nadziei, że to tylko zły sen. Nawet wtedy, gdy stała nad ciałem Sandry w kostnicy, nie wierzyła. Nawet wtedy, gdy patrzyła na córkę leżącą w trumnie, nie wierzyła.

Kiedy umiera dziecko, Niebo płacze, a na Ziemię przybywa Anioł, by pomóc temu dziecku bezpiecznie dotrzeć na Górę. Kiedy umiera dziecko, w matce też coś umiera. Może matki powinny odchodzić razem ze swoimi dziećmi? Co można powiedzieć kobiecie, która właśnie straciła sens życia? Co powiedzieć kobiecie, która właśnie pochowała swoje dziecko? Niewiele. Może poza słowami. Pamiętaj, że gdziekolwiek Sandra się znajdzie, zawsze Jej część pozostanie w naszych sercach. Sercach ludzi, którzy Ją kochali. Pamiętaj, że Bóg też Ją kocha. Tak bardzo, że już nie chce się Nią z nikim dzielić. Matki nie powinny odchodzić ze swoimi dziećmi. Powinny zostawać, by pielęgnować to dziecko w sobie. A mimo wszystko, Anka nie raz myślała, żeby odejść. Ale miała jeszcze syna, który jej potrzebował. Musiała znaleźć siłę, by dla niego żyć.

Anka jest moją siostrą. Nie. Nie rodzoną. Nie płynie w nas jedna krew, ale bliskość, która jest między nami jest silniejsza niż pokrewieństwo. Kiedy rok temu wyznała mi, że jest w

ciąży, powiedziałam: „Urodzisz to dziecko. To znak. To mały cud. Pan Bóg chce ci wynagrodzić twoją stratę”. Odpowiedziała mi ze złością: „Wynagrodzić? Jakie wynagrodzić, pieprzę taką sprawiedliwość. Niech Pan Bóg mi odda Sandrę”.

Oliwier, mój chrzestny synek, skończył niedawno rok. Jest ślicznym, mądrym chłopczykiem, który uważnie przygląda się ludziom i światu. Jest prezentem od Boga, ale nigdy nie zrekompensuje utraty Sandry. Nie zastąpi Jej, ale wypełni puste miejsce, zajmie myśli, zmęczy tak, że Anka zaśnie na siedząco i nie będzie miała czasu na rozpacz. Choć tak naprawdę Anka rozpacza bezustannie, po cichu, płacze jej dusza, serce i ciało. I to się nigdy nie zmieni. Ale życie toczy się dalej. I jest nasze. I mamy je tylko jedno. Więc jeśli już ktoś zdecydował, że wciąż oddychamy, to choć czasem nam się zwyczajnie już nie chce, musimy żyć. Jeśli nie dla siebie, to dla innych. Tak, jak żyła Sandra. Miała siedemnaście lat, ale każdy rok był wart co najmniej pięciu.

Ja też czasem wątpię. I wiem, że Ty też. Ale nie poddawaj się. Każda sekunda naszego życia jest tego warta. Życie jest cudem. Ty jesteś cudem. Wstawaj, walcz! Jesteś Arcydziełem i Michałem Aniołem własnego życia. Dawid, którego rzeźbisz, to Ty sam. Pamiętaj, że wszystko może się zdarzyć, jeżeli naprawdę w to wierzysz. Twoja wiara sprawia, że to się dzieje. Żyj według życiorysu, który chciałbyś dla siebie napisać. Życie to przecież tylko jedna chwila. One już o tym wiedzą - moje dwie niełatwopalne niezwykle dodatkowe Dusze i dwa niełatwopalne serca. Część mnie.

NIEKOCHANIE

Ze wszystkich rzeczy wiecznych, miłość trwa najkrócej.

Molier

Nie boję się wirusa świńskiej grypy. Piętnaście miesięcy temu zachorowałam na znacznie poważniejszą chorobę, podobno uleczalną, ale w moim przypadku wygląda to naprawdę beznadziejnie. Tak bardzo, że zastanawiam się, czy w ogóle z tego wyjdę. Świat rozprawia o AH1/N1, a tymczasem ja cierpię na C8 - H11 - N. Na to nie ma lekarstwa. Miłość to choroba przewlekła i miewa ciężki przebieg, jeśli jest nieodwzajemniona. Złapałam ten wirus na wakacjach, może i mają rację ci, którzy ostrzegają o nieprzyjemnych konsekwencjach zagranicznych wyjazdów. Trafiło mi się to niekochanie. Kiedy za chwilę zamknę oczy, znowu go nie zobaczę, jak stoi w progu, oparty o futrynę drzwi. I znowu nie zobaczę, jak uśmiecha się, delikatnie przechylając na bok głowę, a kosmyk czarnych, długich włosów niesfornie opada na czoło. I nie zobaczę też, jak nie kochając mnie, podchodzi i odgarnia mi włosy tak, aby mógł widzieć moją twarz. I nie poczuję, jak przytula mnie, jak moje ciało wtapia się w jego, tworząc niezwykłą płaskorzeźbę.

Brakuje mi sił, chciałabym wyzdrowieć, bo chcę żyć. A z nim, w głowie, w każdej komórce ciała, nie mogę. Czas na zamknięcie drzwi. Zamykam więc i wyrzucam klucz. I przed snem będę czytać teraz Pawlikowską Jasnorzewska, może uda mi się go znowu nie zobaczyć.

„Moja miłość przeszła w wicher wiosenny - w wicher wiosenny - me szaleństwo w burzę - w burzę - moja rozkosz w dreszcz senny - w dreszcz senny - maja wiosna w róże. - Z wichru spłynie moja miłość nowa - miłość nowa - z burzy szał wystrzeli - szał wystrzeli - sen rozkosz wychowa, wiosna wstanie z różanej kąpieli.”

Bo przecież, jeśli on postawił sprawę jasno, to lepiej odstawię narkotyki, bo miłość to narkotyki, a ja wykazuję wszystkie objawy uzależnienia. Aby zerwać z nałogiem, muszę usunąć wszelkie ślady substancji uzależniającej - pozbyć się listów, zdjęć, pamiątek. Wyczyścić skrzynkę e-mailową. Nie mogę kontaktować się z nim, bo to tylko przedłuży cierpienia. Wiem, że miłość potrafi karmić się byle czym. Jeśli chcę ją zabić, muszę ją zagłodzić. W każdym związku można nabrać mądrości, niezależnie od tego, jak jest trudny i bolesny. Nie pozwolę, by mój ból poszedł na marne. Zaczekam, aż wirus zacznie słabnąć, znikać i w końcu wrócić do zdrowia. A nowa miłość zastąpi starą. Wróć! Zagalopowałam się. Nie chcę już nowej. Poświęcę się badaniom naukowym nad wynalezieniem szczepionki na miłość.

MOJA TĘSKNOTA

Kochany mój,

Miłość jest dowolną ilością emocji i doświadczeń nawiązujących do powodu silnej więzi. Słowo „miłość” może odnosić się do wielu różnorodnych uczuć, stanów i postaw, poczynając od ogólnego zadowolenia, a kończąc na silnej interpersonalnej atrakcji. Rozmaitość użyć i znaczeń, połączona z zawilnością opisywanych przez nią uczuć, powoduje, że miłość jest niespotykane trudna do zdefiniowania, nawet w porównaniu do innych stanów emocjonalnych.

Dzisiaj zastanawiałam się, jak to będzie, gdy się wreszcie spotkamy. Bo spotkamy się, prawda? Zadzwoisz do mnie w następnym poniedziałek, umówimy się na obiad albo na spacer i porozmawiamy.

Wiesz, co najbardziej chciałabym od Ciebie usłyszeć?

Że tęskniłeś za mną, że mnie kochasz i że nie możesz beze mnie żyć.

To właśnie chciałabym usłyszeć. Choć tak naprawdę zależy mi, aby usłyszeć od Ciebie prawdę. Co czułeś, a czego nie. Z czym było Ci dobrze, a z czym nie.

Boję się tej prawdy, ale jeśli ona ma nas wyzwolić, to dajmy ją sobie. Zasługujemy na nią, obydwójce.

Dzisiaj chciałam do Ciebie zadzwonić, mniej więcej około drugiej po południu. Już myślałam, że nie dam rady. I wtedy wszedł Amir i powiedział, że wyjeżdża. Zastał mnie ściskającą telefon i płaczącą.

Nie wiem, czy on coś wie, od Dusi, bo przecież nie ode mnie. Ale spojrzał na mnie tak ciepło, tak jak Ty nigdy na mnie nie patrzyłeś, albo patrzyłeś, ale tak dawno, że już tego nie pamiętam, i powiedział:

- Skarbie (mówi do mnie „skarbie”, Ty już dawno tak nie mówiłeś), zrób to, jeśli naprawdę tego pragniesz. Ale jeśli to pragnienie ma cię unieszczęśliwić, nie rób tego.

Tak po prostu to powiedział, wiesz?

Położyłam telefon na otwartej dłoni i wyciągnęłam rękę w jego kierunku. Amir wziął ode mnie telefon i powiedział:

- Oddam ci, kiedy mnie o to poprosisz lub dopiero wtedy, gdy będziesz na to gotowa.

Później wymyśliłam, że może napiszę do Ciebie maila. Ale zrezygnowałam, bo bałam się, że mógłbyś to odebrać jako próbę skontaktowania się z Tobą, a to nie jest... Tak. To jest próba skontaktowania się z Tobą. To wołanie o pomoc.

To znaczy, nie - chciałam wysłać Ci to wszystko, co do tej pory napisałam, od dnia, kiedy mnie zostawiłeś.

Bo wiesz, ja tak się czuję, tak myślę. Jak porzucona. I nie chodzi mi o napawanie się cierpieniem płynącym ze słowa „porzucona”. Ja myślę, że Ty mnie naprawdę porzuciłeś. To tylko kwestia tych dziesięciu dni.

Kiedy się spotkamy, dam Ci to, czego Ci nie wysłałam.

Może wtedy zrozumiesz.

A teraz kolejny wiersz Wojaczka. On tak pięknie mówi o tym, co w mojej głowie siedzi. Czasem się boję, że w pewnym momencie, na przykład przy śniadaniu, wyskoczy mi z głowy poeta Wojacek, całkiem jak Zeusowi Atena.

Jaka bym ci chciała się napisać

Naga jak goła stal, czysta jak naga woda

Niczym żywa krew jawna, prosta jak jasna prawda

Sama jak jeden Bóg, jak sama Wenus jedna

Naga jak słowo „kocham” wyrzeczone w ciżbę

Pospólnych słów, niczym rzymska składnia jasna

Wierna niczym Twój strach, Twoja jak wierna matka

Prawdziwa jak we strachu boskie przykazanie

Jedna niczym łacińska oda Mickiewicza

Czysta jak wódka nawet z niedomytej szklanki

Naga jak Wenus, matczyna jak wilczyca

Straszna jak Bóg kiedy Ci go zabrakło

Twoja niczym szaleństwo co mieszka na dnie Odry

Wiedziałaś, że Rafał Wojaczek żył tylko 26 lat? Był jedną z najbardziej legendarnych postaci poezji, obok Stachury (o Stachurze napiszę Ci jutro). Szokujący, demoniczny, zdolny, ale samouk, chuligan, alkoholik, awanturnik Pacjent psychiatryka (to tak jak ja, jak nie zadzwonisz do mnie). Wiesz, mówiono, że Wojaczek flirtuje ze śmiercią. Przyzywał ją, kreował, prowokował, skakał przez okno, wieszał się i w końcu, prawdopodobnie świadomie, przedawkował środki nasenne.

Przytoczę Ci fragment jego listu do znajomej, tylko bez podtekstów, proszę. List mnie poruszył, a mamy podobną wrażliwość, przynajmniej mieliśmy.

„...wtedy, 10 września wziąłem żyletkę, przeciąłem tętnicę i odkręciłem kurki gazowe. I obudziłem się na stole operacyjnym. Buduję na nowo gmach złudzeń, ale buduję na piasku, nędzne to podwaliny.

To jest okropny stan - świadomość, że w każdej chwili można ponownie chwycić żyletkę. Teraz wychodzą na jaw wszelkie idiotyzmy teorii o rzekomej wolności człowieka. Trzeba mieć zawsze jakieś ponadsubiektywne, nadrzędne normy - trzeba mieć cel.

Ten cel wcale człowieka nie krępuje, ani w niczym nie umniejsza jego wolności rzeczywistej - nadaje za to pewien sens wszelkim dążeniom, wszelkim poczynaniom. Ja ten cel mam - ale cóż, kiedy zawodny, już się wydaje, że go osiągam, tymczasem to fatamorgana.

I wtedy nie mogę pogodzić się z fiaskiem i mam wynik. I zazdroszczę mojemu psu życia - bezkonfliktowego, bo niewyrozumowanego. Instynktowego. Tak więc model

wiecznego Fausta będzie aktualny tak długo, jak długo będzie istniał rodzaj zwierząt obdarzonych zdolnościami myślenia. A wiadomo, że Fausta najszcześniejsza chwila była zarazem jego chwilą śmierci.

Doszło do tego, że boję się samego siebie. Nie wiem, jak zachowam się w pewnych sytuacjach."

Jakie są moje cele? Twoje? Czy Twoje życie ze mną miało jakikolwiek sens? Po naszej ostatniej rozmowie, w której mnie wcale nie oszczędzałeś, myślę, że nie. Wiesz, jak widzę te nasze lata? Jako jedno pasmo udręk dla Ciebie.

I zastanawiam się, jak bardzo musiałeś się zmuszać, żeby pójść ze mną do łóżka.

Bo byłeś taki nieszczęśliwy. Więc się pytam, skąd się wzięło tych pięć wspólnych lat? Lat. Pięć. Nie dni, nie miesiące. Nie musiałeś być ze mną. Masz Ją - swoją żonę. Więc dlaczego postanowiłeś się tak długo poświęcać? W imię czego?

Ja jestem singlem. Nigdy Cię nie pytałam, czy odejdziesz od żony. Nigdy tego nie chciałam. Przyjmowałam sprawy, takimi jakimi były i już. Myślisz, że nie bolało? Nie? Zaciskałam wargi do krwi. Gdy wracałeś do Niej.

„...wtedy, 10 września wziąłem żyłkę, przeciąłem tętnicę i odkręciłem kurki gazowe. I obudziłem się na stole operacyjnym. Buduję na nowo gmach złudzeń, ale buduję na piasku, nędzne to podwaliny.

To jest okropny stan - świadomość, że w każdej chwili można ponownie chwycić żyłkę. Teraz wychodzą na jaw wszelkie idiotyzmy teorii o rzekomej wolności człowieka. Trzeba mieć zawsze jakieś ponadsubiektywne, nadrzędne normy - trzeba mieć cel.

Ten cel wcale człowieka nie krępuje, ani w niczym nie umniejsza jego wolności rzeczywistej - nadaje za to pewien sens wszelkim dążeniom, wszelkim poczynaniom. Ja ten cel

mam - ale cóż, kiedy zawodny, już się wydaje, że go osiągam, tymczasem to fatamorgana.

I wtedy nie mogę pogodzić się z fiaskiem i mam wynik. I zazdroszczę mojemu psu życia - bezkonfliktowego, bo niewyrozumowanego. Instynktowego. Tak więc model wiecznego Fausta będzie aktualny tak długo, jak długo będzie istniał rodzaj zwierząt obdarzonych zdolnościami myślenia. A wiadomo, że Fausta najszcześniejsza chwila była zarazem jego chwilą śmierci."

Tęsknota to „chcę, pragnę i muszę”. Czyni człowieka „wolnym niewolnikiem”. Jest jednym z najsilniejszych i niedocenianych uczuć - równym uczuciu miłości. Ludzka tęsknota wpisana jest zawsze pomiędzy to, co już było i to, co będzie. Zawsze towarzyszy jej bowiem nadzieja - pełne ufności spojrzenie w przyszłość. Nie można jej zmierzyć, ani zważyć, ani transportować. Ona jest jak powietrze, jak wiatr - nie widać jej, a mimo tego jest.

Teraz też boli. Zaciskam wargi do krwi, żeby nie wybrać Twojego numeru i nie zepsuć tego, co może jeszcze da się naprawić. Bo Ty powiedziałaś, że się da.

Tylko potrzebujesz tych dni. Więc wyję w poduszkę, nie mogę oddychać z bólu, ale wytrzymuję.

Tylko dlaczego kazałaś mi to zrobić? Widzisz, myślę sobie, że miłość nie stawia warunków.

Coś się we mnie buntuje. Coś każe wątpić, że naprawdę będziemy razem. Że kochasz mnie.

Chwilami chciałabym, żeby Ciebie bolało tak jak mnie, ale nie mogę wyzwolić się z uczucia, że Ty teraz kwitniesz, odpoczywasz, odżywasz - beze mnie.

Zastanawiam się, czy powinnam pisać do Ciebie te listy, bo. strasznie dużo mnie to kosztuje. Wyczerpują mnie, wysysają energię, zasmucają. Płaczę przy nich, przy każdym. Przy każdym zdaniu płaczę. Te listy mnie po prostu zabijają.

A ja mimo wszystko chcę żyć.
Dobranoc.
Natalia

PUDEŁKO CZEKOLADEK

„są takie chwile, kiedy życie rozdziela dwoje ludzi tylko po to, aby zrozumieli, ile dla siebie znaczą”

Paulo Coelho, Zwycięzca nie jest sam

Moja przyjaciółka właśnie wróciła z urlopu. Od kilku lat wyjeżdża na tydzień, zazwyczaj wybierając kraje, w których męska część populacji charakteryzuje się śniadą karnacją, brązowymi oczami i czarnymi włosami. Po porzuceniu przez niewiernego męża trzy lata temu przyjaciółka oddała Panu Bogu swe anielskie skrzydła, skoczyła do piekła po różki i diabelski ogon i poszerza horyzonty. Po każdym takim wakacyjnym wyjeździe wraca nieprawdopodobnie zmęczona. Do tego stopnia, że drugi tydzień urlopu bierze wyłącznie po to, żeby się wyspać. Bo moja przyjaciółka ma pewną przypadłość, którą powszechnie nazywa się Hobby - ONA JEST KOLEKCJONERKĄ. Ma specjalny album - w osobistym komputerze, który zatytułowała: PAMIĄTKI Z WAKACJI. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że ona nie kolekcjonuje znaczków, skamielin, ani też nie hoduje rybek, czy nie przywozi żółwi. Choć jej pamiątki też są żywe i to jak! Im ona starsza, tym pamiątki młodsze i bardziej żywe. Kiedy dostaję od niej mmsa z tematem: „pamiątka z wakacji”, wiem, że za chwilę w moim telefonie załaduje się zdjęcie jakiegoś przystojniaka i znowu nie będę mogła w nocy zasnąć. Megi jest piękną kobietą, świadomą swojej urody i tego, jak działa na mężczyzn. Ma też piękny umysł i jest pełna niespodzianek - jak pudełko czekoladek - nigdy nie wiesz, na co trafisz. Faceci się gubią i sami nie wiedzą, czy bardziej ich podnieca jej ciało, czy jej mózg. Megi jest jak Salma Hayek - kiedy idzie ulicą, na skrzyżowaniach robią się korki, na własne oczy widziałam. Kiedy Megi idzie przez hotelowy holl, faceci zderzają się ze sobą w drzwiach. Megi nic nie musi robić. Nie powłóczy spojrzeniem, nie

uśmiecha się zalotnie, nie prowokuje. Mało tego - Megi nie patrzy na nich, nie zauważa. Ona po prostu JEST.

Jej wybory są zawsze dogłębnie przemyślane, poprzedzone kilkudniową obserwacją kandydata na kandydata.

Przyjaciółka, zamieniwszy skrzydła na diabelskie różki, rzuciła miłość do kąta, wykorzystwała kriogeenikę, zamrażając swoje serce i schładzając emocje do poziomu - 15 stopni i korzystając z tego, czym obdarzył ją w swej bezgranicznej łaskawości Stwórca - czyli urody, niezziemskiego seksapilu, intelektu i niezłego ciała, prowadzi swoje prywatne wewnętrzne badania. Gdy wraca i zregeneruje siły, przychodzi do mnie i opowiada. A ja, po wysłuchanej z zapartym tchem opowieści i obejrzeniu zdjęć, pytam: „No, ale co będzie dalej?” Odpowiada jak filmowa Korba: „Jakie dalej? To jednorazowe tourne było”.

Zdobywa, konsumuje i porzuca bez żalu. Gdyby była modliszką, pożarłaby swojego partnera. Gdyby była facetem, to pewnie odpowiedziałaby mi jak w Big Lebovskim „Jaka to moja dziewczyna? Koleżanka tylko, pomagam jej zająć w ciężę.”

W dodatku myśli, że ja wierzę w to zamrożone serce. Zapomniała zamrozić oczu. Kiedy opowiada o swoich pamiątkach z wakacji, widzę w nich błysk, a w głosie wychwytyuję nutkę szczęścia, choć ona stara się mówić obojętnie. A kiedy kończy opowieść, w oczach widzę bezgraniczny smutek i żal za tym, co mogło się zdarzyć, ale się nie zdarzy. I ja wiem, że kiedy odsypia ten wyczerpujący urlop, to śni o swojej pamiątce, choć nigdy się do tego nie przyzna. Ani przede mną, ani przed samą sobą.

Bo gdyby to zrobiła, nastąpiłoby gwałtowne ocieplenie w okolicy serca, lód by stopniał, skrzydła odrosły, a ona znowu, tak spragniona miłości, umierałaby, gdyby uwierzyła w

mówione jej słowa: „Kocham cię, jesteś dla mnie kimś wyjątkowym.” Puste słowa bez wartości. Teraz, zamrożona, czuje się bezpieczna.

I nawet nie musi już mówić do swoich pamiątek wakacyjnych: „Proszę, uważaj, co do mnie mówisz. Być może dla ciebie to słowa bez żadnego znaczenia, ale dla mnie mogą znaczyć wszystko.”

Wczoraj przyszedłam do niej, otworzyłam drzwi swoimi kluczami. Megi spała z pluszowym misiem wielkości małego kraju afrykańskiego. Wtulona w niego całym ciałem. Włosy miała związane w dwa kucyki, sznurówkami, które wyjęła z nowych tenisówek. Usiadłam na brzegu łóżka i patrzyłam, jak równo oddycha. Była ciepła, spokojna i szczęśliwa. Szkoda, że tylko we śnie. Cała ona - mała grzeczna - niegrzeczna dziewczynka. Cała ja.

Nie chciałam jej budzić. Niech śpi spokojnie w ramionach ostatniej żywej pamiątki z wakacji, niech jeszcze czuje to ciepło, niech choć przez tych kilka chwil będzie szczęśliwa. Bo kiedy sen się skończy, Megi na powrót stanie się Królową Śniegu.

Otworzyła oczy, spojrzała na mnie spokojnie, bez zdziwienia, zupełnie tak, jakby czuła moją obecność przez sen i powiedziała:

- Witaj, kochana. Chcesz wiedzieć, jak było?
- Przyniosłam szarlotkę. Siadaj, jedz i pij. Herbatka rooibos, regeneracyjna. Mizernie wyglądasz. Czy chcę wiedzieć, jak było? Bardziej chciałabym, żebyś powiedziała mi, jak będzie dalej.
- Nie ma żadnego DALEJ. Nie może być. Z takiej przypadkowej znajomości opartej wyłącznie na seksie nie może narodzić się nic więcej.
- A skąd możesz to wiedzieć? Jesteś Bogiem? Nie - ty jesteś boginią, ale nie znasz przyszłości.

- Masz rację. Nie znam, ale przecież sama ją kreuję, czyż nie? Decyduję sama o mojej przyszłości.

- Niezupełnie. Tylko w pewnym stopniu. Reszta dzieje się poza nami. Czy to nie twoja torebka wibruje? - spytałam. Przyniosłam telefon i podałam go Megi, uprzednio zerkając na wyświetlacz.

- Kim jest Sini? Masz szesnaście nieodebranych połączeń.

- Daj, co się tak ociągasz? - Megi nieco zbyt niecierpliwie i nerwowo wyrwała mi komórkę z ręki.

- Szesnaście nieodebranych i osiem wiadomości - powiedziała i zaczęła po cichu czytać.

Odczekałam chwilę, ale nie za długo.

- Chcesz, żebym umarła z ciekawości? Kto to i co pisze? Czytaj wreszcie!

- To ON. Ale te esemesy są sprzed trzech dni. Jakoś zapomniałam, że mam telefon... To ON, moja ostatnia żywa pamiątka z wakacji. Pisze, że bardzo tęskni i kompletnie nie wie, co się z nim dzieje. Odkąd wyjechałam, ciągle jestem w jego myślach, zawładnęłam nimi. Nigdy wcześniej nie kochał, nie zna tego uczucia, ale mimo to jest absolutnie pewien, że mnie pokochał i nie chce niczego więcej, nikogo, tylko mnie.

- Mam nadzieję, że mu nie wierzysz? Prawda? - spytałam, szczególny nacisk kładąc na ostatnie słowo, bo mi się przyjaciółka dziwnie zawiesiła. Stopniała? Odtajała?

Podniosła głowę i spojrzała na mnie tymi swoimi wielkimi krowimi oczami.

- Jezus Maria, dziewczyno, ty się zakochałaś! To cud, ludzie, cud! - zaczęłam wrzeszczeć i skakać z radości, nie bardzo wiedząc, dlaczego.

- I z czego się cieszysz, wariatko? - spytała smutno Megi.

- Człowiek zachorował ciężko, a ty się cieszysz? Współczuj mi. Przytul. Rękaw nadstaw, żebym wypłakać się mogła.

- Nie zachorowałaś, ale właśnie wyzdrowiałaś! Wino przyniosę, widziałam w kuchni.

Dzwonek do drzwi zatrzymał mnie w połowie drogi.

- Otworzę! - krzyknęłam.

- To pewnie listonosz - odkrzyknęła Megi.

Na listonosza to On nie wyglądał. Stałam wmurowana w terakotę i gapiłam się zachwycona.

On stał wmurowany w betonową posadzkę i też się gapił, ale bez zachwyty, za to z lekkim zakłopotaniem, które z każdą upływającą sekundą przeradzało się w przerażenie.

- Umarłaś w tym przedpokoju? - Megi robiła się niecierpliwa. - Czy to listonosz?

- Nie. Raczej nie sędzę. Ale jakoś dziwnie pewna jestem, że ten pan przyszedł do ciebie.

- Spław go, nie ma mnie. Jestem poza zasięgiem. I przynieś to wino, proszę.

- Sama go spław, jak jesteś taka mądra. Ale jeśli chcesz żyć, to nie rób tego, bo osobiście cię uduszę.

Megi zaszurała kapciami i pojawiła się w przedpokoju.

- Sini? A co ty tu... Ale jak? Nie rozumiem...

- Cześć, Megi. - Cudo przemówiło. - Ja też nie rozumiem, ale wiem, że nie mogłem inaczej.

- Dobra, dzieciaki, ja rozumiem doskonale wszystko i wam wyjaśnię. Ale najpierw zaproś pana do środka, pokaż, co znaczy polska gościnność. Życie jest pełne niespodzianek. Jak ty. Jak pudełko czekoladek. I to jest twoja czekoladka. Ma kształt serca, słodka, choć bywa też gorzka, ale póki trwa, chcesz ją jeść bez końca. To MIŁOŚĆ. Przyszła. Nie trzymaj jej za drzwiami.

Na mnie już czas. Proszę cię, Megi, nie definiuj, nie wymagaj zbyt wiele. Po prostu kochaj i uwierz, że miłość jest. Pamiętaj: „Miłość nie jest nawykiem, zobowiązaniem, ani długiem. Nie jest tym, czego nas uczą romantyczne piosenki.

Miłość po prostu jest. Bez definicji. Kochaj i nie żądaj zbyt wiele. Po prostu kochaj."

- Pan wejdzie, pan usiądzie - powiedziałam, wciągając go do środka. Wniosłam jego walizkę. Posadziłam go na kanapie, Megi posadziłam obok - obydwójce wciąż byli w szoku, więc musiałam interweniować. Włączyłam cichutką muzykę, wyszłam, zamykając za sobą drzwi. Na klamce powinnam jeszcze zawiesić tabliczkę z napisem: „Pst! UWAGA! - Miłość. Nie przeszkadzać."

TEORIA WZGLĘDNOŚCI

Jestem mieszczuchem. Totalnie uzależniona od wszystkiego, co można mieć na wyciągnięcie ręki. Otaczający mnie ludzie, choć biegną, nie zauważając, ani mnie ani innych, to przecież są i dają poczucie bezpieczeństwa. Przestrzeń mnie przeraża. Zbyt duża powoduje, że zapadam się w sobie, nerwowo rozglądam, szukając oparcia w drugim człowieku, jakiegoś punktu zaczepienia. Na wsi, zwłaszcza maleńkiej, łatwiej zobaczyć gospodarskie zwierzęta niż innych ludzi. A jak długo można mówić do kury, krowy, gołębi, czy pawia? Aż do momentu, gdy na podwórko wjedzie po ciebie karetka ze szpitala psychiatrycznego. Podobno do wszystkiego można się przyzwyczaić - do ciszy, pustki, samotności. Przecież ludzie tak żyją i mają się nieźle.

Jagę spotkałam w miasteczku, gdy pojechałam po zakupy. Wpadła na mnie w księgarni. Wielkie nieba, to naprawdę ona. Niewiele się zmieniła, wulkan energii. Kiedy Jaga jest blisko należy się liczyć z erupcją. Australia nic ją nie zmieniła. Dwadzieścia lat wśród kangurów, a ona jest wciąż tą samą rozgadaną, ciekawą świata i ludzi, dobroduszną, pełną empatii, głodną wiedzy, pochłaniającą książki Jagę.

- Jaga, kiedy przyjechałaś? Długo zostaniesz?

- Przedwczoraj. Byłam akurat w Hongkongu, więc wpadłam do Polski.

Nie miałam pojęcia, że to po drodze. Jaga zaprosiła mnie na ognisko, a mnie dwa razy namawiać nie trzeba, pięć lat dziewczyny nie widziałam i stęskniona jestem jak cholera. Nie zawsze nadążam za tokiem myślenia Jagi, ale wychodzę od niej naładowana wiarą i optymizmem, jak po wysłuchaniu audycji w Radiu Matyja - z tym, że Jaga ładuje mnie pozytywną energią, w odróżnieniu do Ojca Redaktora.

Ognisko to ognisko, nie jakiś tam grill. Kawalek ziemi, drzewo przyniesione z ojcowego lasu, dopiero co ukopane

ziemniaki, wiejska kielbasa, jabłka z jabłonki, co to przed domem rośnie, jajka od kury zielononózki, mleko od kozy i bimber. Taki mały prywatny raj. Własne miejsce na ziemi.

Jaga wręczyła mi kijek, na który nadziałam kielbasę, naląła trochę procentów do kubka, usiadła bardzo blisko mnie i zaczęła opowieść:

- Słuchaj, dzisiaj pod swoim płotem znalazłam człowieka. Leżał obok roweru. Jestem dobrą sąsiadką, nawet bardzo, rzekłabym nawet - idealną, bo mnie tu nie ma całe lata. Zatem pochylałam się nad biedakiem i mówię: „Proszę pana, halo, mówi się. Nazywam się Wesołowska i tu mieszkam. A pan?” „A ja się wyjebałem” - szczerze i bez ogródek wybełkotał rowerzysta. Ale weź no się ty napij, pisarka, co? Pochyliłam się więc i dokonałam oględzin. Toż to mój sąsiad, ten, którego bracia zawsze robią włam do mojego domu. Nie jestem pamiętliwa. Pomogłam więc mu się podnieść i odprowadziłam do domu, razem z rowerem. Bracia z tej wielkiej radości zapraszali mnie na piwo. A propos, miałaś się napić - upomniała mnie i zachęcająco podniosła swój kubek w górę.

No to się napiłam. Oczy wylazły mi z orbit, gardło się zapaliło żywym ogniem.

- O kurka, zapomniałam cię ostrzec. Śliwowica, siedemdziesiąt pięć procent. Przegryź chlebkiem. Myślę sobie - na piwo? Tratatata. Ubić mnie chcieli i do kompostownika wrzucić. Przecież to kryminaliści.

- Dlaczego ludzie nie chcą być szczęśliwi, co Jaguś? - spytałam, kiedy odzyskałam głos.

- Masz na myśli sąsiada? Dlaczego myślisz, że on nie jest?

- No, w zasadzie to nie wiem.

- A widzisz, kochana! Bardzo możliwe, że on jest szczęśliwy, zadowolony ze swojego życia, choć nam wydaje się to niemożliwe. Z naszego punktu widzenia. Bo mamy inne

priorytety, bo coś innego sprawia nam przyjemność, mamy inne oczekiwania, pragniemy czegoś zupełnie innego niż mój sąsiad. Ale to nie znaczy, że on jest nieszczęśliwy.

- Ani nie znaczy też, że my jesteśmy szczęśliwi. Wszystko jest przecież względne - dodałam, wbijając zęby w jabłko.

- Pisarko, czy pisarka wie, że gdyby zamienić masę tego jabłka w energię, to zgodnie z teorią, względności Einsteina uzyskalibyśmy tyle energii, ile produkuje średnio w ciągu roku średniej wielkości elektrownia?

- Pisarka jest humanistką i matematyczno - chemiczno - fizycznym abderytą, jednakże znany jest jej najśłynniejszy wzór świata $E=mc^2$. I choć nie wyrecytuję z pamięci definicji teorii względności, to umiem ją wytłumaczyć w bardzo prosty sposób - powiedziałam, upijając solidnie z kubka. Za drugim razem śliwowica już tak nie pali. - Bo widzisz, kiedy trzymasz w rękach gorący garnek, sekunda wydaje się być godziną. A kiedy ciebie trzyma w ramionach gorący mężczyzna, facet, którego kochasz obłędnie i totalnie, godzina jest jak sekunda. To ja już sobie pójdę - dodałam, wstając z ławeczki.

- Coś mi się zdaje, kochana, że pójdziesz, ale niedaleko, bo przeholowałaś z bimbrem, zupełnie jak mój sąsiad - roześmiała się Jaga.

I dokładnie w chwili, gdy skończyła zdanie, uroczo, bezwładnie, ale z wdziękiem upadłam na trawę. Ups. Chyba grawitacja szwankuje. Otworzyłam oczy, spojrzałam w granatowe rozgwieżdżone niebo i z braku sił, wyszeptałam:

Szalone - Dzikie Noce!
Przy Twoim boku
Wiodłyby takie Noce
W Rozkosz i Spokój!
Cóż szkodzą - Wichry -
Sercu w Przystani?

Zbędna Busola -

Koniec z Mapami!

Przez Raj wiosłować - przez Morza

Rozległość!

Byle przybić - tej Nocy - do Brzegu Twojego! Jaga położyła się obok mnie, utuliła jak małe bezbronne dziecko i cicho powiedziała:

- Znajdziesz jeszcze swoje miejsce na ziemi. Swój prywatny raj. Tylko nie przestawaj szukać. Ksiądz Twardowski powiedział kiedyś: „Bo widzisz tu są tacy, którzy się kochają i muszą się spotykać, aby się ominąć, bliscy i oddaleni, jakby stali w lustrze piszą do siebie listy gorące i zimne rozchodzą się jak w śmiechu porzucone kwiaty, by nie wiedzieć do końca, czemu tak się stało.”

SAMBA PRZED ROZSTANIEM

Nie, nie możesz teraz odejść
Kiedy cała jestem głodem
Twoich oczu, dłoni twych
Mów, powiedz, że zostaniesz jeszcze
Nim odbierzesz mi powietrze
Zanim wejdem w wielkie nic
Nie, nie możesz teraz odejść
Jestem rozpalonym lodem
Zrobię wszystko, tylko bądź
Bądź, zostań jeszcze chwilę, moment
Płonę, płonę, płonę, płonę...
Zimnym ogniem czarnych słońc
Jonasz Kofta

Podobno, odkąd powstał portal nasza klasą wzrosła liczba rozwodów. Bardzo być może, bo kobiety są chorobliwie sentymentalne i wydaje im się, że pierwsza szkolna miłość jest zawsze żywa. A nawet jeśli jest trochę nieżywa, to wystarczy ją reanimować wspomnieniami, które ożywimy, patrząc na klasowe zdjęcia, a gdy spotkamy Andrzeja z III B, z którym po raz pierwszy zaszło, co zaszło, to miłość poderwie się z niemocy i rzuci się jak szalona w przeszłość, by tworzyć nową terażniejszość, a może nawet i przyszłość. Oczywiście pod warunkiem, że Andrzej z III B nie jest łysym okularnikiem o aerodynamicznych kształtach, z trzema podbródkami, któremu z tylnej kieszeni spodni wystaje trzydziestocentymetrowy grzebień i który nie zakłada skarpetek do sandałów. Bo jeśli jest i jeśli my wyglądamy nieco lepiej niż on, to pierwsza miłość nawet nie drgnie. Nie żebym była małostkowa i próżna, ale jeśli powiem, że wygląd nie ma znaczenia, to efekt Pinokia mnie zdemaskuje.

Marcin zaczepił Hanię na komunikatorze, zaintrygowany opisem. Przytaczać treści nie będę, gdyż jest

nieparlamentarna. Choć, po namyśle stwierdzam, że jednak jest, nawet rzecz można, ministerialna, ot - nowa formuła opracowana przez Panią minister Fedak. Powiem tylko, że jeśli mężczyzna odważył się, mimo opisu, zagadać, to jaja ma nie tylko w lodówce. Rozmowa z kolegą z klasy przeciągnęła się do rana, a właściwie, trwała 63 dni. Jak Powstanie Warszawskie.

Hania właśnie zakończyła jeden romans, wciąż była w porozstaniowej żałobie. Nieprzyzwoicie przystojny lekarz zawrócił jej w głowie tak bardzo, że, gdy ją zostawił, chciała się zabić. Dwa razy. I wcale nie chodziło o to, że całował ją i pieścił tak, jak nikt dotąd, że zwinnym językiem penetrował łechtaczkę. Że penetrował ją dogłębnie, szukając Punktu G. Że krzyczała z rozkoszy, gdy znalazł. Że ssał jej wargi i sprawnie poruszał się po jej łechtaczce, doprowadzając ją do szaleństwa. Dziesięć razy z rzędu. I także nie dlatego, że zawsze mieli orgazm w tym samym momencie, że on tak pięknie krzyczał.

Nigdy nie zapomni. Nie zapomni, choć bardzo tego pragnie, ale nawet teraz, dwa lata po rozstaniu, samo wspomnienie nieprawdopodobnie dobrego seksu z nim sprawia, że jej dłoń wędruje w kierunku waginy i zaczyna ją delikatnie, nieśmiało pieścić.

I obiecała sobie, że już nigdy się nie zakocha, bo prawie wszyscy faceci są tacy sami i wciskają nam kłamliwy bełkot, który my zasysamy jak odkurzacz centralny, zamiast filtrować, odpluwać i zostawiać maksymalnie 5% ze 100.

Marcin jej to uświadomił, nie wyrażając się zbyt pochlebnie o własnej płci. Był kawalerem, ale nie był gejem. To starokawalerstwo, dzisiaj tak nowocześnie zwane byciem singlem, trochę Hanię zaniepokoiło, bo jako kobieta musiała się chociaż przez chwilę przeciwzastanowić, dlaczego nadal jest sam. Zastanowiła się, rozłożyła na czynniki pierwsze,

przeanalizowała i doszła do beznadziejnego, ale jakże przyjemnego wniosku, że może po prostu on czekał właśnie na nią, o czym zresztą Marcin nie omieszkął jej poinformować w dwa tygodnie po pierwszym spotkaniu po latach, jednocześnie wyznając jej miłość.

Z początku nie wierzyła, bo przecież wspólnie ustalili, że remizowe teksty nie dla nich. Ale przecież Hanka nie jest z kamienia i kiedy on pisał jej: „Moja poduszka ma focha, bo strasznie tęskni za tobą. Pościel pachnie tobą, a ty smakujesz jak brzoskwinia. Wszędzie jesteś brzoskwiniowa, dziewczyno. TAM też. I tak nadfajnie różowa. Zapach włosów mojej dziewczyny - bezcenny. Uwielbiam twoje kolana. Na górze okrągłe i zwięzające się ku dołowi.

Idealne. I twoje biodra. Uda. Kocham cię, dziewczyno, najbardziej remizowo na świecie." Nazywał ją swoją szwedzką niebieską żoną. Mieli wziąć ślub w Amsterdamie. A kiedy odwiedzała go, obejmował ją mocno i mówił: „Czy możesz zostać tu na zawsze? Zamieszkać ze mną."

I mieszał jej w głowie tak skutecznie, że zaczynała zasysać wszystko, co mówił, zapominając o tym, co sobie obiecała. Że nigdy więcej nikogo nie pokocha. Bo ten ktoś odejdzie, a ona zostanie na środku drogi, z dziurą w sercu, jak po postrzale ze strzelby na słonie. Powiedziała mu o tym. Prosiła, żeby nie mówił, że ją kocha, jeśli nie jest tego pewien, bo jeśli ona uwierzy, a on dojdzie do wniosku, że mu się tylko zdawało, to ona umrze.

Kiedyś opowiedział jej historię o Janku Himilsbachu, który dostał od Wajdy propozycję zagrania głównej roli w jego filmie. Jedynym warunkiem było przyswojenie angielskiego. Namyślał się Himilsbach, namyślał, w końcu mówi: „Nie, ja jednak tej roli nie przyjmę." „Ale dlaczego?" - Nie mogli nadziwić się znajomi. „A co, ja głupi jestem? Ja się

nauczę angielskiego, a Wajda się rozmyśli, nie da mi tej roli, i co? Zostanę jak ten chuj z tym angielskim!"

I całował dobrze. I dotykał. Jego język był bardzo sprawny, cierpliwy i niezaspokojony. Za to ona była zaspokojona. Zaspakajana regularnie, precyzyjnie, profesjonalnie. Zanim jeszcze kochali się pierwszy raz, spytał ją: „Dziewczyno, jesteś bardziej pochwowa, czy bardziej łechtaczkowa?"

Odpowiedziała, że niestety łechtaczkowa. „Dlaczego niestety? To raczej dobrze. To daje większe możliwości". Odkrywał przed nią te możliwości, a ona pogubiła się w rachunkach.

Sześćdziesiątego trzeciego dnia wracała z męczącego spotkania, padał nieprzyjemny deszcz i zapadał zmierzch. Telefon zawibrował na jej kolanach. Nie powinna czytać esemesów podczas jazdy, ale miała przeczucie. Marcin pisał, że to koniec, bo okazała się nie być taką, jak myślał. Natychmiast zadzwoniła, mimo, że nie miała zestawu słuchawkowego i mimo, że zabrakło jej powietrza i nie mogła oddychać. Płuca ktoś ścisnął jej żelazną obręczą. Kiedy odebrał, powiedziała:

- Widzisz? I kto miał racje? Prosiłam cię. Tak bardzo cię prosiłam. Coś ty mi zrobił, chłopaku. I kto został, jak Himilbach z angielskim? Rozumiem twoją decyzję. Nawet, jeśli wczoraj proponowałeś mi wspólne zamieszkanie, a dzisiaj zmieniłeś zdanie, do cholery jasnej, rozumiem. Ale nie mogę pojąć, co się stało z tą twoją wielką miłością do mnie?

- Rozpuściła się. Ty ją rozpuściłeś? Nieważne. Nie rozumiesz, że okazałaś się inna niż myślałem?

- Miłość to nie alcazeler. Nie rozpuszcza się. Po prostu jej nigdy nie było. Miałeś mnie uratować. Wiedziałeś o mnie wszystko. Wiedziałeś, że następnej nieszczęśliwej miłości nie przeżyję, a ty przekonywałeś mnie, że kochasz, że to, co jest

między nami jest ważne, że nigdy dotąd nie czuleś, że w twoim życiu dzieje się coś tak ważnego. I co? Było tak ważne, że zrezygnowałaś z tego w jeden dzień? To ja dziękuję bardzo. Miałaś mnie uratować, a ty mnie po prostu zabiłaś, chłopaku.

Rozpłakała się jak dziecko.

- No, sorry, dziewczyno. Ale to moje życie i jeśli widzę, że coś idzie nie tak, to po prostu rezygnuję. Nie płacz już.

- Po prostu rezygnujesz, gdy widzisz, że cokolwiek może zaburzyć twoje cudowne, wspaniałe hedonistyczno - egoistyczne życie singla, tak? Po co mi zawracałaś głowę, po co były te wszystkie propozycje wspólnego życia, wyznania miłości. Ja cię o nic nie prosiłam. O nic, rozumiesz? - krzyczała w słuchawkę.

Schyliła się, by z torebki wyjąć chusteczki. I, podtrzymywany ramieniem, telefon upadł na podłogę. Pochyliła się jeszcze bardziej, by go podnieść. Przecież Marcin wciąż tam był. A ona mu nie pozwoli tak łatwo się z tego wywinąć. Niech się wytłumaczy, niech wyjaśni.

Nie zauważyła, jak zza zakrętu wyjeżdża tir z naczepą. Nie mogła zauważyć, bo podnosiła ten cholerny telefon.

Marcin usłyszał przeraźliwy dźwięk klaksonu i odgłos wgniatanej blachy. Ale nie to do dziś brzmi mu w uszach. Ale jej słowa: „Miałaś mnie uratować, chłopaku, a ty mnie po prostu zabiłaś.”

Na pogrzeb przyjechał, ale zaczekał, aż wszystko się skończy. Dopiero wtedy, gdy już nikogo nie było, podszedł.

- Cześć, dziewczyno. Cześć, moja szwedzka niebieska żono. Jestem idiotą, ale ty przecież o tym wiesz. Nie wiem, co powiedzieć. Poza tym, że moja poduszka strasznie za tobą tęskni...

MAM NA IMIĘ JULIA

Umiera się na wiele sposobów: z miłości, z tęsknoty, z rozpaczy, ze zmęczenia, z nudów, ze strachu... Umiera się nie dlatego, by przestać żyć, lecz po to, by żyć inaczej. Kiedy świat zacieśnia się do rozmiaru pułapki, śmierć zdaje się być jedynym ratunkiem, ostatnią kartą, na którą stawia się własne życie.

Paulo Coelho

Przyjechałam natychmiast, gdy się dowiedziałam. Najszybciej, jak mogłam. Cały czas w autobusie płakałam, jednocześnie mając nadzieję, że to pomyłka, że kiedy stanę w drzwiach weźmiesz mnie w ramiona i szepniesz do ucha: „Tęskniłem. Jak dobrze, że jesteś...”

Więc już jestem, kochany. Stoję w progu i wołam, ale ty nie przychodzisz, nie witasz mnie, nie biegniesz do restauracji po zamówiony wcześniej obiad. Jednak ja, jak zwykłam robić w czasie, gdy czekałeś na dania, wezmę prysznic i szybciotko się rozpakuję.

Zastanawiam się, kiedy to się stało. Co przegapiłam, co zrobiłam źle, a co zbyt dobrze. Ale wiem, że się nie mylę. Byłam tak pewna tego, że mnie kochasz, że straciłam czujność. Słuchałam, co mówisz, ale nie widziałam twoich oczu z bliska. Nie mogę już przejrzeć się w twoich oczach. Nie patrzysz na mnie tak, jak jeszcze kilka tygodni temu. W ogóle na mnie nie patrzysz. Nie jesteś spragniony dotyku, nie przytulasz jak kiedyś. Leżeliśmy obok siebie, czekałam, aż mnie otoczysz ramieniem, wtulisz twarz w moje włosy, powiesz, że kochasz, że nigdy wcześniej nikogo... Teraz siedzę naprzeciw ciębie, ledwie opanowując drżenie serca, cała przerażona, bo wiem, że stało się coś nieodwracalnego. Siedzę tak i patrzę na ciebie z napięciem i nadzieją, czekając, aż położysz głowę na moich kolanach, chwycisz moją dłoń, bym głaskała twoje włosy. Siedzę i patrząc na twoją twarz bez

wyrazu, z trudem powstrzymuję łzy, bo przecież nie lubisz, jak płacę. Nieśmiało dotykam twojej dłoni, tak głodna twego ciepła. Ale czuję tylko chłód.

Jestem tu już trzecią godzinę, a ty nawet mnie nie zauważyłeś. A przecież długo mnie nie widziałeś. Podchodzę nieco bliżej, choć bardzo się boję. Pytam, czy coś się stało. Czy przestałeś mnie kochać, skoro mnie zostawiłeś. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że lekko kiwnąłeś głową w geście zaprzeczenia. No tak, powiedzieć kobiecie, że się jej nie kocha to zbyt okrutne. Lepiej ją oszukiwać i karmić nadzieją. To waszym zdaniem bardziej humanitarne. Ale jakże pozwalanie, by ktoś konał w męczarniach jest bardziej ludzkie niż strzelenie w tył głowy? Ale kobieta i tak to czuje. Czuje wasze słabe kłamstewka, widzi jak uciekacie ze wzrokiem, jak się po prostu oddalacie. By w końcu odejść na zawsze. Czasami bez uprzedzenia, bez słowa. Tak jak ty teraz.

Wiem, że cię straciłam. Nie wiem tylko, dlaczego. Mówię więc powoli, modląc się, byś zaprzeczył:

- Mam rację, prawda? Proszę, nie zwódź mnie, nie okłamuj tylko dlatego, że nie masz odwagi przyznać, że już nie kochasz. Zrozumiem. Przecież wiesz, że ja potrafię wszystko zrozumieć, wytłumaczyć, usprawiedliwić. Teraz wstanę i spakuję swoje rzeczy. Będę tu jeszcze około trzydziestu minut i to jest czas dla ciebie. Jeśli nadal mnie kochasz, wstań wreszcie, no rusz się, do cholery, powiedz choć słowo, albo chociaż westchnij. Zatrzymaj mnie. Nie musisz wiele mówić. Wypowiedz moje imię. Mam na imię Julia. I miałam być twoja do końca życia. Miałeś mnie kochać i nigdy nie opuścić. Więc dotrzymaj słowa, cholera, dotrzymaj słowa! Kiedy skończę się pakować, pójdę w stronę drzwi i położę rękę na klamce. Odwrócę się jeszcze, chcąc po raz ostatni spojrzeć na miejsce, w którym byłam tak bardzo szczęśliwa.

Będę się żegnać z kanapą, dywanem i nocną lampką. Zdecydowanie za długo niż powinnam, ale to cały czas jest czas dla ciebie. Jeśli chcesz mnie zatrzymać, po prostu wypowiedz moje imię. Mam na imię Julia. I jestem twoja. Nie chcę miłosnych wyznań, deklaracji, zapewnień. Bo jeśli mnie zawołasz, będę wiedziała, że kochasz, tylko masz gorszy dzień. No, zawołaj. Stoję już z ręką na klamce i naprawdę dłużej stać już nie mogę. Ta cisza mnie zabije. Naciskam na klamkę, drzwi jęczą cicho i już owiewa mnie chłód z korytarza. A może to twój chłód i może to jęk mojego serca?

Wychodzę. Za chwilę zamknę drzwi z drugiej strony. A później pojedę za tobą w ostatnią naszą podróż. A później wrócę do siebie, napuszczę wody do wanny. Wyjmę z kosmetyczki jednorazową maszynkę do golenia, ułamię przód, tak, żeby odsłonić ostrze. Potrójne. Rezygnuję z kąpieli. Chcę zatrzymać twój zapach na mojej - skórze, chcę zabrać go ze sobą. Usiądę na podłodze w łazience i zrobię kilka nacięć na nadgarstku. Krew zacznie spływać strumieniem na kafelki, zmiesza się z moimi łzami. Odejdę szybko i bezboleśnie, bo bardzo za tobą tęsknię. Tylko serce bardzo boli i się skarży. Już dobrze - szepnę - już nigdy więcej cię nie skrzywdzę. To był ostatni raz, moje drogie serce.

Zamknęłam drzwi i weszłam w chłód, który mnie przeniknął od stóp do głów. Nie usłyszałam swojego imienia. Nie zawołałeś mnie. Mam na imię Julia. I jestem twoja.

Nie zawołałeś mnie, bo przecież nie mogłeś. Umarli nie mówią.

TO TWOJA WINA

Nie powitałaś życia płaczem, Nie pożegnałaś go w śpiewie. Byłaś i jesteś dzieckiem, Które o śmierci swej nie wie

Przeczytałam w gazecie, że jeśli ktoś, jakaś kobieta, przeżyła stratę dziecka, to jeśli chce, może Wam o tym napisać. Więc piszę. Chociaż nie wiem, czy moja opowieść kwalifikuje się do tego tematu. Bo moje dziecko się nie urodziło jeszcze, kiedy... Ale to nie było też zwyczajne poronienie, więc... Od początku...

Byłam bardzo młoda. Zakochałam się... Wierzyłam, że on jest miłością mojego życia. Maturę zdawałam będąc już w ciąży. Ja się bardzo ucieszyłam z tej ciąży, chociaż miałam dopiero 18 lat. Byliśmy już po zaręczynach, kochaliśmy się. W maju matura, a tu 6 tygodni. Prosto z egzaminów ustnych biegłam do łazienki, bo mnie tak męczyło. Normalne, przecież to ciąża. Maturę zdałam, nawet nieźle, choć wcale się do niej nie uczyłam. Naprawdę, nawet książki do ręki nie wzięłam. W maju matura, w lipcu ślub. Jeszcze dobrze nie ostygło moje świadectwo maturalne, a już położyłam na nim ciepłutki jeszcze akt ślubu. Jaka ja byłam szczęśliwa!

Wszyscy mówili: dziewczyno, a studia? A twoje marzenia? Śmiałam się i odpowiadałam: studia nie zajmę, nie uciekną. A marzenia: przecież się właśnie spełniają!

W sierpniu poszłam na USG. Kontrolnie, tak jak to się zwyczajowo robi w 16 tygodniu ciąży. Leżę z gołym brzuchem, pani doktor jeździ mi kulką poniżej pępka i patrzy w ekran monitora. Patrzy i patrzy. I naciska mnie coraz mocniej. Woła drugiego lekarza. A mnie się zaczyna robić ciepło. Ze strachu. I już teraz obydwójce gapią się w ten monitor, szepcząc coś sobie do ucha. I myślą, że ja głupia jestem i się niczego nie domyślę. W ogóle tak się zachowują, jakby zapomnieli, że tam jestem, leżę z wybebeszonym brzuchem, a oni ciągle mi tą wajchą góra - dół, góra - dół.

Robi mi się słabo. Ze strachu. Bo czuję, że zobaczyli tam coś złego. Panując nad łzami, proszę, żeby mi powiedzieli, co się stało. A oni na to, że na razie to tylko podejrzenie, nic pewnego. I skierowanie mi dają do drugiego szpitala, bo tam mają lepszą aparaturę. A ich to niby szmelc, więc oni mi nic nie powiedzą, bo nie chcą mnie wprowadzić w błąd.

Biorę skierowanie i jadę. Sierpień. Upał jak cholera. A ja się trzęsę jak galareta. W autobusie boję się, że zemdleję. Docieram do szpitala, szukam lekarki, którą tu ostatnio poznałam. Podaję jej skierowania. Wiem, że ona już wie, co podejrzewają tamci lekarze, bo przecież napisali po łacinie. Mówi do mnie: „Chodź, dziecko. Idziemy”. Idę za nią jak na ścięcie. Wprowadza mnie do pokoju. Kładę się na łóżku i znowu to samo: jeżdżą mi kulką po brzuchu. Góra - dół. Góra - dół. Zwołują się. Już wiem, że wszystko się potwierdziło. Ale nadal nie wiem, co. Lekarka kończy badanie i pyta:

- Dziecko, sama tu przyjechałaś?

- Tak. Sama. Pani doktor... proszę mi powiedzieć. Błagam...

- Bezczaszkowiec. Tak podejrzewali koledzy z tamtego szpitala. A my zobaczyliśmy jeszcze, że twoje dziecko oprócz tego, że nie ma czaszki, ma także rozszczep kręgosłupa.

O Boże! Krzyczy coś we mnie. Chcę do mamy. Wypuście mnie stąd.

Wychodzę ze skierowaniem do szpitala. Jadę do pracy. Wiem, że tam jest moja mama i mąż. Przechodząc przez ulicę, o mało nie wpadam pod ciężarówkę. Wszystko mi jedno. Idę wolno, ciągnę nogę za nogą. Zupełnie jakby ktoś ze mnie wypuścił całą krew. Jak życie może przywrócić się do góry nogami w jednej chwili? Idę, a właściwie snuję się, powtarzając ciągle: To nieprawda. Wszystko będzie dobrze. Nie martw się o nic. Mamusia nie pozwoli, żeby stało ci się coś złego. Uświadamiam sobie, że mówię na głos. Mówię do

mojego dziecka. Ludzie patrzą na mnie dziwnie, niektórzy pukają się znacząco w czoło. Ale oni nie wiedzą... Że świat mój się zawalił. Że straciłam coś, zanim zdążyłam to zyskać. Myślą, że sfiksowałam. Docieram do pracy i opowiadam o wszystkim rodzinie.

Mama jest blada jak ściana, a mój mąż milczy. Następnego dnia idę do szpitala. Na badania dodatkowe. Wszystko potwierdza się podczas badań ultrasonograficznych. Ja nie daję za wygraną. Bo przecież to tylko maszyna. A komputery są omylne. Jak ja mogę skazać moje dziecko na śmierć, jeśli nie mam sto procent pewności, że jest śmiertelnie chore? Siedzę w pokoju ordynatora, ściskając mocno pluszową maskotkę. Miś jest moją tarczą. Ma mnie obronić przed prawdą. Odbijać słowa, których nie chcę usłyszeć. Ordynator zdaje się tego nie rozumieć, bo wali tę prawdę prosto między oczy. Nie pozostawia odrobiny nadziei. Nie ma miejsca na złudzenia.

- Proszę pani. To jest pewne. Płód jest bez czaszki. Czy pani to rozumie? Kości czaszki się nie wykształciły i już nie wykształcą. Mózg jest na wierzchu. Nie. Pani nie rozumie. Bo nie chce zrozumieć. A dodatkowo mamy do czynienia z wadą kręgosłupa. Rozszczep.

Tracę przytomność. Budzę się na szpitalnym łóżku i natychmiast w panice poszukuję mojej tarczy, misia. Jest! Leży tuż obok mnie. Mam dopiero 19 lat i jestem równie bezbronna i nieporadna wobec problemu, który mnie dotknął, jak ten mój pluszowy zwierzak. Ordynator siada na brzegu łóżka. Jezus Maria! Dlaczego on się tak nade mną zneęca?

- Możemy zrobić jeszcze jedno badanie. Pobierzemy wody płodowe. To da nam sto procent pewności. Tylko uprzedzam, że to bardzo boli. Wprowadzimy pod powłoki brzuszne długą igłę. To bolesny i dość nieprzyjemny zabieg.

Uważam, że badania, które przeprowadziliśmy do tej pory, nie pozostawiają żadnych wątpliwości, ale jeśli się pani upiera...

- Upieram się. A teraz chcę zostać sama.

Rzeczywiście zabieg był bolesny. Ale ja ciągle myślałam o moim dziecku. Że to dla niego. Więc to, że mnie boli, to nic. Nieważne. Najważniejsze, by wiedzieć. Wyniki przyszły następnego ranka.

Wyraz twarzy ordynatora wystarczył. Powiedział mi tylko:

- Niestety. Wszystko się potwierdziło. Musi teraz pani podjąć decyzję. Im szybciej, tym lepiej.

Decyzję... Chodziło o to, że muszę zgodzić się na indukcję porodu, czyli mówiąc prostszym językiem, wywołać sztucznie poród. 18 tydzień ciąży. Za późno na zabieg. Teraz mogłam tylko urodzić normalnie. Normalnie... Ech... Chodziłam po szpitalnych korytarzach z misiem pod pachą. Odwiedzałam oddziały noworodków i ryczałam. Patrzyłam na te maleństwa i wiedziałam, że moje takie nie będzie.

Kazali mi zabić własne dziecko.

Jak ja mogę się na to zgodzić???

Poszłam do ordynatora i poprosiłam, żeby powiedział mi, co się stanie, jeśli nie zgodzę się na poród indukowany, a zdecyduję donosić ciążę.

- Po pierwsze, nie wydaje mi się, żeby płód był żywy do chwili normalnego porodu. Po drugie, istnieje poważne zagrożenie pani zdrowia, a nawet życia. Wody płodowe już w tej chwili są zielonkawe, co wskazuje na możliwość wystąpienia zatrucia ciążowego w niedługim czasie. Proszę pani... Jest pani taka młoda... Życie przed panią...

No to co, że jestem młoda? A jak bym była stara, to bolałoby bardziej, czy mniej? Kolejne dwa dni błąkałam się po korytarzach. Czułam, jak dziecko mnie kopie. Wyraźnie czułam. Ono żyło, a ja miałam je pozbawić tego życia. Nie

trafiały do mnie argumenty. Żywiłam się nadzieją, że zawsze istnieje ryzyko błędu.

Mój mąż... Przychodził prawie codziennie. Przychodzili znajomi, rodzina, przyjaciele. Przychodził. Ale zachowywał się dziwnie. Nie potrafiliśmy ze sobą rozmawiać. Ja cierpiałam i on cierpiał. Tak myślałam. Że dlatego się nie odzywa, bo cierpi po swojemu. Aż pewnego dnia powiedział mi:

- To twoja wina. To, co się stało. Kara za to, że nie byłaś dziewczycą.

A ja chciałam umrzeć. Natychmiast. Paść martwa na podłodze, tam gdzie stałam. Niczego tak nie potrzebowałam, jak jego wsparcia. Żeby dodał mi otuchy. Żeby powiedział:

- Skarbie, przejdziemy przez to razem. Zobaczysz, jeszcze wszystko będzie dobrze. No i mógłby jeszcze powiedzieć, że mnie kocha.

Mógł.

Ale nie powiedział.

Zrzucił całą winę na mnie, zupełnie jakby można było rzeczywiście kogokolwiek winić za to, co się stało. Głupi zarzut. Bezsensowny. Ale bolesny.

I jak ja miałam się trzymać? Jak miałam być dzielna? Moje dziecko było ze mną dopiero od 18 tygodni, a ja pokochałam je od dnia, w którym dowiedziałam się, że tam jest. A teraz... On przestał przychodzić. Ja zdecydowałam się na poród.

Zabrali mnie do pokoju, w którym leżałam sama. Tylko z misiem. Jak mała dziewczynka. Podłączyli kroplówki na wywołanie skurczów. A dziecko kopało tego dnia wyjątkowo mocno. Jakby chciało mi powiedzieć: mamusiu, co ty mi robisz??? Przecież ja tam jestem, żyję!!! Czy ktoś, kto tego nie przeżył, jest w stanie zrozumieć mój ból? Leżałam i głaskałam je przez brzuch. Mówiłam do niego. A skurcze się nie

pojawiwały. I tego dnia lekarz zdecydował, że nic z tego chyba nie wyjdzie. Spróbują jutro. A ja myślałam:

- Boże! A jeśli to jakiś znak? Przecież ono się nie chciało urodzić! Może to coś znaczy? Ono chce mi coś powiedzieć.

Zaczęłam wariować... Bałam się, że oszaleję, nie zniósę tego... Następnego dnia to samo: kroplówka, tylko silniejsza dawka. Ruchy ustały. Nic już nie czułam. Tym razem kroplówki zadziałały. Przeszłam na fotel ginekologiczny i po krótkim czasie urodziło się moje dziecko. Położna powiedziała:

- No to już, kochana.

- Żyje? - zapytałam

- Nie - odpowiedziała położna. - I ma te wszystkie wady.

- Chłopiec czy dziewczynka?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak.

- Dziewczynka. Chcesz ją ochrzcić?

- Tak.

- Jak jej dasz na imię?

- Paulina.

Pochłapały ją wodą. A potem przyniosły duży słój z jakimś płynem. I wsadziły do niego moją córkę. Ja ją kocham do dziś. Rok później urodziłam zdrową, śliczną córeczkę... A teraz, gdy mnie ktoś pyta o dzieci, to odpowiadam, że miałam kiedyś jeszcze jedną córkę. Ale umarła... Czy można kochać nienarodzone dziecko? Bardzo. Ogromnie. Czy można za nim tęsknić? Strasznie. Aż do bólu. Czy można sobie wybaczyć? Nie. Nie można.

URODZINY

Miłość jest zawsze nowa. I bez względu na to, czy w życiu kochamy raz, dwa, czy dziesięć razy zawsze stajemy w obliczu nieznanego. Miłość może nas pogrążyć w ogniu piekieł, albo zabrać do bram raju - ale zawsze gdzieś nas prowadzi. I czas się z tym pogodzić, albowiem jest ona treścią naszego istnienia. Miłości trzeba szukać wszędzie, nawet za cenę długich godzin, dni, tygodni smutku i rozczarowań. Bowiem kiedy wyruszymy na poszukiwanie miłości - ona zawsze wyjdzie nam na przeciw.

I nas wybawi.

Paulo Coelho.

Niedawno Ania hucznie świętowała czterdzieste urodziny. Kilku istotnych zdarzeń z tego wieczoru nie pamięta, gdyż spożyła zbyt dużo. Powstała natomiast dokumentacja, którą jej obecny narzeczony, kandydat na kandydata na czwartego męża, odświeża jej pamięć.

I wcale nie dziwi fakt, że robi to zawsze wtedy, kiedy Anka staje okoniem i na coś się nie zgadza. Na przykład na oglądanie meczu w pubie lub wypad na ryby. Wtedy on wyjmując laptop, wyszukuje folder o nazwie „Urodziny” i otwiera zdjęcie jej gołego tyłka, który nietrzeźwa Anka wdzięcznie i bez krepacji wypina do obiektywu. Jeśli to nie działa, otwiera kolejne zdjęcie, na którym szanowna jubilatka leży sponiewierana na podłodze, z prawą piersią na wierzchu oraz lewym pośladkiem. Najpewniej struła się i legła bez życia, jak młoda Jurandówna, wykończona przez podstępnych Krzyżaków, tak i Anka przez podstępny befsztyk tatarski. Pośladek, jednakowoż jak u Jagienki, jędrny i gotowy do łupania orzechów. Kandydat na kandydata grozi, że wrzuci ten pośladek i tę pierś do Internetu. A tego Anka znieść nie może. I nawet nie idzie o to, że tyłek jest goły, lecz to, że jest wielki, bo fotografujący z premedytacją użył funkcji ZOOM. I mimo,

że kocham Ankę jak siostrę, przyznać muszę, że fanatycy z Greenpeace mogliby pomylić ją z jakimś niezwykle rzadkim morskim ssakiem. Przez ten szesnastokrotny zoom.

A narzeczony numer cztery na Internecie się zna, bo sam się do niego wrzucił po rozwodzie, wystawił się jak w na aukcji w Janowie, na portalu randkowym. Ich przyjaciele znają „historię pewnej znajomości”, a ja znam ją najlepiej, ponieważ to właśnie ja założyłam Ance konto, zrobiłam opis, dodałam zdjęcia, jednym słowem również wystawiłam ją na aukcji, licząc, że trafi jej się szejk arabski, szukający klaczy czystej krwi. Ale resztę załatwiła sobie już sama.

I Przemek nie jest z Sympatii, choć tak naprawdę właśnie jest. Przemek jest z Allegro. To nasz ulubiony wkręt podczas imprez. Kiedy ktoś pyta: „A opowiedz no, kochany, gdzie się poznaliście?”, wszyscy się spinamy i zamieramy w oczekiwaniu, bo Przemek ma niebywały dar wkręcania, czyli opowiadania nieprawdopodobnych historii w taki sposób, że ludzie wierzą w każde słowo. To znaczy, niektórzy ludzie. Nie wiem, jak wy, ale ja raczej bym nie uwierzyła, że Anka kupiła Przemka na aukcji, w opcji KUP TERAZ, bez licytacji, w dziale TANIA POMOC DOMOWA. I choć to nieprawdopodobne, są tacy, którzy przeszukują Allegro, usiłując znaleźć taką kategorię.

Gdyby takowa istniała, ocierałoby się to o handel żywym towarem. Równie dobrze można by utworzyć dział LUDZKIE ORGANY z podkategoriami: wątroba, serce, rogówki, nerki (prawa, lewa), płuca. Lub: narkotyki z podziałem na twarde i miękkie. W ten sposób podziemie wyszłoby na powierzchnię, a mafiozi ustawiliby się w kolejce do pośredniaka.

Za dwa tygodnie będą urodziny Przemka. Anka już obmyśla, jakie kompromitujące zdjęcia mogłaby mu zrobić, żeby mieć argumenty w rękę. A ja doskonale wiem, że choćby i Przemek dysponował całą kolekcją zdjęć roznegliżowanej

Anki, to nigdy by nie zrobił z nich użytku. Kocha ją jak szalony. Od pierwszej chwili, gdy przekroczyła próg restauracji, dumna, piękna, jak topielica, miss mokrego podkoszulka, cała mokra, z rozmazanym makijażem, w pianie z myjni automatycznej, bo jako rasowa blondynka, zapomniała zamknąć szybę w samochodzie, a ma zwyczaj zostawać w środku.

Wtedy właśnie poczuł, że to ta, jedyna, że na nią czekał. A pewności nabrał, gdy zjadła dwadzieścia pięć klusek śląskich z podwójnym gulaszem, popiła butelką wina, a na deser wciągnęła cztery kawałki szarlotki z lodami. Ani ją żywić, ani ubierać. Więc jeśli to nie miłość, to co?

WARTO MÓWIĆ: KOCHAM

Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą zostaną po nich buty i telefon głuchy tylko co nieważne jak krowa się wlecze najważniejsze tak prędkie że nagle się staje potem cisza normalna więc całkiem nieznośna jak czystość urodzona najprościej z rozpaczy kiedy myślimy o kimś zostając bez niego

Ks. Jan Twardowski

Opowiadanie to dedykuję pamięci mojego teścia...

Wie Pani, ja to mam pecha. Albo może szczęście. Sama już nie wiem. Jestem czarną owcą. Teściowa zawsze traktowała mnie jak wrzód na dupie. Uważała, że jej syn zasługiwał na kogoś lepszego. A ja powinnam na kolanach do Częstochowy iść, bo Pana Boga za nogi złapałam. Wie Pani, niby jego. I tego dnia, ona złożyła nam wizytę. Niezapowiedzianą, jak zwykle. A jak już przyszła, to siedziała cały dzień. I trzeba ją było potem odwieźć. Mój mąż to ją tylko do przystanku podrzucił. A ja odwoziłam pod same drzwi. Wtedy też. Po drodze zabrałam córkę ze szkoły. Zatrzymałam się pod klatką schodową, żeby się mamusia nie męczyła za bardzo. Mówię do córki:

- Idź, przywitaj się z dziadziusem. Ucieszy się. Dawno cię nie widział. Córka pokręciła trochę nosem, ale poszła. Zbiega za moment i mówi:

- Mamo, idź na górę. Dziadek prosi, żebyś weszła, bo źle się czuje.

Myślałam, że się wygłupiają, że tylko podstępem chcą mnie wciągnąć na górę... Wchodzę, patrzę, a teść leży na kanapie, bledziutki jak ściana i przezroczysty jak pergamin. Koszula rozpięta i trzyma się za serce. Myślę: „Kurczę, niedobrze.” Dwa lata temu miał rozległy zawał. Teść mówi:

- Dziecko, zadzwoń no po pogotowie, bo znowu mam to, co wtedy.

Lekka panika, ale dzwonię. Nie wyobrażałam sobie, że tak wygląda człowiek, który ma zawał. Mówię laluni na centrali, że mam zawałowca, po jednym zawale z takimi samymi objawami. A niunia do mnie zjadliwie:

- Czy pani jest lekarzem?

A ja myślę: „Nie, ty lafiryndo, ale ty też nie jesteś, więc rusz tą dupę i przysyłaj karetkę ino mig.” A mówię:

- Nie proszę pani, nie jestem. Ale jeśli chory jest przytomny, dwa lata temu przechodził zawał, a teraz twierdzi, że ma takie same dolegliwości jak wtedy, więc jest bardzo prawdopodobne, że to faktycznie zawał.

- Przyjęłam - odparła lalunia.

Po trzecim ponagleniu byłam gotowa pakować teścia w samochód i wieźć do szpitala. Pogotowie przyjechało po godzinie. Do zawału. Rozumie pani? Godzina. Zeżarłam wszystkie paznokcie i wydeptałam ścieżkę na trawniku, czekając na nich przed blokiem. Moja córka siedziała z dziadkiem i trzymała go za rękę. Lekarz pogotowia wyglądał jak młodszy brat Julii Roberts. Zrobił teściowi EKG i uradowany powiedział:

- BINGO!

Wie pani, myślałam, że się przesłyszałam. Facet na automatach gra, czy co? Mówię:

- Przepraszam, ale chyba się przesłyszałam. Co pan powiedział? Wyczuł ironię w moim głosie, bo nieco spokorniał i rzecze:

- Miała pani rację. To zawał. Bardzo rozległy.

- To nie ja miałam rację, tylko mój teść. I nie jestem zdziwiona diagnozą. Wzywałam karetkę do zawału. Zignorowaliście to i przyjechaliście po godzinie. Trzeba było od razu przysłać firmę pogrzebową.

- Zabieramy pana do szpitala.

Zanim teścia znieśli do karetki, zdążyłam zadzwonić do mojego męża, jego siostry i moich rodziców. Pojechałam za karetką. Kiedy dotarłam na miejsce, był tam już mój mąż. Odnaleźliśmy ojca na izbie przyjęć. Pomogliśmy mu się przebrać w pidżamę. Cały czas był blady jak ściana. Ale przytomny. Nawet żartował z pielęgniarką. Takie jego rubaszne żarty. Stoimy cały czas w progu izby przyjęć i patrzymy na ojca. W pewnej chwili on spogląda na nas poważnym wzrokiem i mówi:

- Powiedzcie matce, żeby się sobą zajęła. :

Jestem pewna, że wiedział, że czuł. Ale my nie rozumiemy. Bo nie chcemy zrozumieć. Mówię uspokajająco:

- Niech się tata o nic nie martwi. Na czas pobytu taty w szpitalu mama będzie u nas.

Wie pani, ja nic nie rozumiałam... Nie skojarzyłam... A on wiedział. Czuł. Bo podobno to się czuje. Zabrali go na zabieg. Mieli mu żyły przepychać, żeby wypchnąć skrzepy. Najpierw USG. Podchodzę do lekarza i pytam, co z moim teściem.

On patrzy na mnie i mówi:

- Proszę pani, zmiany są bardzo duże. To już trzeci zawał.

- Jak to, trzeci? - przerywam mu. - Jaki trzeci? Drugi!

- Może drugi, o którym wiecie Państwo. Ten drugi mógł być bardzo łagodny. Tata prawdopodobnie potraktował to jako silniejszy ból. Ten zawał jest trzeci. Zmiany są ogromne. Prawie cały mięsień sercowy uległ zniszczeniu. Nie widzę dużych szans...

A ja nadal nie załapałam. On nie widzi szans... Nie rozumiałam, co powiedział. Co chciał mi powiedzieć. Wracam do mojego męża i mówię mu, żeby jechał po matkę i naszą córkę i zabrał je do domu. Ja zostanę. Aha, mówię, daj mi swój telefon, bo moja bateria siadła. Pojechał. Teścia zabrali na zabieg. Siedzę za tymi cholernymi szklanymi drzwiami, za którymi znikają raz po raz lekarze i pielęgniarki.

Czas wlecze się okropnie. Nie wiem, co się dzieje. Zauważam jednak podejrzenie duże poruszenie za drzwiami. Pielęgniarki biegają spanikowane, z różnych oddziałów zlatują się lekarze. Przykleiłam się prawie do tej szyby. Ale nic nie widzę. Coraz większe zamieszanie. Boże! On chyba umiera! Wychodzi pielęgniarka. Ja już cała zaryczana.

Proszę ją:

- Proszę pani, niech mi panie coś powie, co się dzieje? Reanimujecie go, prawda?

To ja powiedziałam, ale głos wydobył się ze mnie jak z głębokiej studni. Nie mój. Ale usłyszałam siebie.

- Tak - odpowiada pielęgniarka. - Ale proszę się uspokoić. Pani tata jest w dobrych rękach. Chce pani coś na uspokojenie?

Nie chcę. Najbardziej na świecie teraz chcę, żeby zdarzył się cud, i żeby mój mąż przyjechał. Nie mogę do niego zadzwonić, powiedzieć, że ojciec umiera, bo on oddał mi swój telefon. Siedzę na tej ławce, ryczę i błagam Boga o cud. Nie wiem, co zrobię, jeśli on umrze. Jak ja im to powiem? Nagle słyszę trzaśnięcie drzwi. Wchodzi mój mąż z siostrą. Widzą, że płaczę.

- Jak jest? - pyta szwagierka

- Reanimują go - odpowiadam przez łzy.

- O mój Boże! - wzdycha ona i opada na krzesło.

Mijają kolejne minuty. Otwierają się szklane drzwi i widzimy tatę, wiezionego na łóżku.

Żyje. Jest siny i spuchnięty. Ledwo go poznajemy. Mój mąż i siostra dopadają do łóżka i chwytają tatę za rękę. Jest nieprzytomny. Mówią:

- Tato, tatusiu. Jesteśmy tu. Kochamy cię.

A ja w duchu dziękuję Bogu za to, że w porę przyprowadził ich do szpitala. Znika za drzwiami intensywnej terapii, a my szukamy lekarza prowadzącego.

- Proszę pań, tata miał naczynia krwionośne w strzępach. Rwały się jak sparciała guma. Jak można było dopuścić do takiego stanu? Kilka razy go reanimowaliśmy. Teraz żyje. Ale szanse są minimalne. Równe zeru.

Myślimy: „Jeśli żyje, to będzie żył.” Trzeba mieć nadzieję. Przecież ona podobno umiera ostatnia. Mija około piętnastu minut. Wchodzimy do pokoju lekarskiego, żeby być na bieżąco. Lekarz podchodzi do nas i otwiera usta żeby coś powiedzieć, ale ja jestem szybsza:

- Wiemy, panie doktorze, że jest bardzo źle. Ale czy są jakieś szanse?

Patrzy na nas, waha się chwilę a później mówi:

- A czy znacie panie wiadomości z ostatniej chwili?

Kiwamy głowami zaprzeczając.

- Wasz tata przed chwilą umarł.

Słyszemy to tylko my, bo mój mąż siedzi w drugiej części korytarza. Widzi nasz wybuch płaczu. Jego siostra podchodzi do niego i mówi: .

- Tata nie żyje.

- Nie chcę tego słyszeć - wrzeszczy jej brat. - Nic do mnie nie mów! Nic się nie stało! Rozumiesz? Nic się nie stało!

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawia się teściowa. Zdążyliśmy odrobinę się uspokoić, na tyle chociaż, żeby złapać oddech.

Pyta mnie:

- Jak z nim jest? Bardzo źle?

- Bardzo. Nie żyje - odpowiadam i czuję, że zaraz upadnę.

I wie Pani, co? Zastanawiam się, dlaczego to musiało akurat przydarzyć się właśnie mnie. Teściowa mnie nie cierpi. A teść chyba mnie nawet lubił. Ja go kochałam. Miał takie rubaszne poczucie humoru i dowcipy, po których oblewałam się pąsem od palców stóp po samą szyję. I mądry był, wie Pani? Mówił niewiele, ale jak już się odezwał to człowieka

zatykało. Prostym był człowiekiem. Ale swoją mądrość miał. Do pozazdroszczenia. Całe życie harował jak wół. Nigdy nie dbał o własne potrzeby. Nawet po tym pierwszym zawale. Zrzucił wprawdzie kilkanaście kilogramów, żeby odciążyc mięsień sercowy, ale do lekarza przestał chodzić. Załatwiłam mu świetnego kardiologa. Prywatnie, Jeździł do niego przez pół roku. Potem przestał. Chodził tylko na rejon. A pani wie, jak jest na rejonie? No właśnie. Ale o czym to ja chciałam...? Aha. Wiem. Kiedy umarł, ktoś musiał jechać do niego do domu po ubrania. Po dokumenty. I w ogóle. To ja pojechałam. Kiedy przekroczyłam próg mieszkania, miałam zamiar uciekać. Doszłam do pokoju i spojrzałam na łóżko. To, na którym ojciec leżał jeszcze kilka godzin temu. I zobaczyłam go. I nawet nie próbowałam powstrzymywać łez. Powtarzałam sobie: „To tylko sen. Zaraz się obudzę i okaże się, że to wszystko nie dzieje się naprawdę”. Kiedy szukałam potrzebnych dokumentów, znalazłam wiele zdjęć. Mówiłam Pani? Eee, chyba jeszcze nie. Mój mąż nigdy nie powiedział mi, że mnie kocha. Jak dwadzieścia lat po ślubie jesteśmy. No, może raz. Uczuć nie potrafi okazywać... Zamyka się w sobie. Trudno do niego dotrzeć. Trzeba by skorupę rozłupywać... mój teść taki sam był. Chyba nigdy nie powiedział swoim dzieciom, że je KOCHA. Wszystkie emocje ukryte głęboko. I oni sami już nie wiedzieli, czy ojciec ich kocha. A może wiedzieli, takie rzeczy się czuje. Bo zawsze taki... no... może nie oschły, ale coś w tym rodzaju. W każdym razie nie wylewny. Ale pomagał im zawsze. Jedno słowo wystarczyło. Był niezawodny. Prawdziwy ojciec. Więc kochał na pewno, ale człowiek potrzebuje od czasu do czasu usłyszeć te wyjątkowe słowa. I jak ja te porządki robiłam, to najpierw znalazłam w trzech miejscach pieniądze. Najwięcej portfelu pod poduszką. Nowiutkie banknoty, prosto z banku. Już teraz nie pamiętam ile było, ale około 20.000 złotych. Boże mój!

Pomyślałam. Tyle pieniędzy, a on oszczędzał na lekarzu? A potem stało się najgorsze. W jego dokumentach: w migawce, w dowodzie osobistym, w legitymacji emeryta. Były wszędzie. Nie! Nie pieniądze. Zdjęcia. Zdjęcia jego dzieci. Z różnych okresów. Ze szkoły podstawowej, ze studiów, z wojska. Nosił je wszędzie ze sobą. A nigdy nie potrafił powiedzieć, że ja kocha... W szufladach znalazłam listy. Do niego. Od mojego męża z wojska. Od siostry męża z kolonii. Pieczołowicie przechowywane tyle lat. Widzi Pani... A nigdy im nie powiedział... A w drugiej szufladzie świadectwa szkolne. Duma go rozpierała, że miał takie mądre dzieci.

I też im nigdy tego nie powiedział... Już kończę, już. Tylko chwila jeszcze. Po co ja to pani opowiadam. Pani wie, prawda? Bo ja sobie uświadomiłam, po tym wszystkim co się stało, że ludzie powinni mówić sobie o tym, co czują. Dotarło to do mnie, w kaplicy, gdy żegnaliśmy się z ojcem przed zabraniem zwłok na cmentarz. Staliśmy nad otwartą trumną. Wie Pani, jakie to straszne? Patrząc na czyjś ból i rozpacz i nie móc pomóc? I oni tak stali, dotykali ojca, głaskali po policzkach, trzymali za ręce i rozmawiali z nim. Mówili w zasadzie. Myślałam, że mi serce pęknie. Oni płaczą i mówią: „Tatusiu, kochany nasz. Takim byłeś dobrym ojcem i mężem. Nigdy nie powiedzieliśmy ci, że cię kochamy. Ty nie powiedziałeś nam. Ale ty wiedziałeś. I my wiedzieliśmy”. Czasami słowa: „kocham cię” mogą zmienić całkiem czyjeś życie. Takie proste. Myślę, że on się z tym męczył. Nie umiał się otworzyć i było mu źle z tym. A gdyby tak raz powiedział dzieciom: „kocham was, dzieciaki”, to przecież świat by się nie zawalił. Nie umiał. Ale kochał ogromnie. I ja tak sobie myślę, że nie powinniśmy bać się, ani też wstydzić tych słów. Musimy pamiętać, że osoba, która jest obok nas, być może czeka na nie. Jeśli myślimy, że przecież jest jeszcze czas, że zdążymy, to... Ja pani mówię, że tego czasu nie ma.

Zgaśniemy nagle jak płomień świecy, zdmuchnięty przez lekki i niespodziewany podmuch wiatru. Albo my, ale ten ktoś. I nie będzie już czasu. Pozostaną straszne wyrzuty sumienia, a pytania: „dlaczego ja mu nie powiedziałam, że go kocham” nie pozwolą nam spać przez długi czas. Pani przecież wie, jakie kruche jest nasze życie. Żyjąc już je tracimy, od chwili narodzin zaczynamy umierać, więc na co czekać? A gdy ich nie słyszy, zaczyna wątpić... I zadrecza siebie. I nas. I coś zaczyna się psuć. A po co? Życie byłoby prostsze, gdybyśmy umieli mówić najbliższym, jak bardzo są dla nas ważni. Że bez nich świat byłby mniej kolorowy. Ptaki nie śpiewałyby tak głośno. Słońce nie świeciłoby tak mocno. Że bez nich jak bez powietrza... Ja pani dobrze radzę i niech pani to napisze: Nie bójmy się mówić KOCHAM. Napisze pani? No. To dobrze.

PO DRUGIEJ STRONIE TĘCZY

KILKA SŁÓW WSTĘPU

Ale najpierw...

Dziękuję Moim Przyjaciółkom:

Ani Brędowskiej, że mnie nie udusiła gołymi rękami. Bo mi się należało.

Kasi Ciechanowskiej, że nadal mnie wpuszcza do swojego domu.

Aśce Karpińskiej, że wciąż ze mną rozmawia i chodzi na kawę.

Ance Kosiakiewicz, że wciąż mnie upija, kiedy trzeba.

Agacie Brodowicz - Olejko, że ma do mnie anielską cierpliwość.

Mojej Mamusi, Mamci, że zawsze wszystko rozumie, nie krytykuje, pozwala mi popełniać własne błędy i jest moim Najcudowniejszym Przyjacielem.

Wielką radość mi sprawiacie...

Życie jest pełne niespodzianek. Kiedy już przestaniesz wierzyć, że spotka Cię coś dobrego, to właśnie się dzieje. Jak wiecie, pisałam tę książkę w wielkim smutku, rozpacz i nad przepaścią. Życie dla mnie przestało mieć kolor, zapach i smak. Wstyd się przyznać, ale nie raz, nie dwa w mojej głowie pojawiały się myśli o przejściu do innego świata. Bo w tym czułam się wypalona, pusta, serce wciąż biło, ale byłam martwa. Do dziś tak myślę, ale już rzadziej. Mamy prawo do zwątpienia, do słabości, nawet do takich myśli jak moje. Ale nie wolno nam tego zrobić. Bo przecież wszystko jest przejściowe, to po prostu kolejny etap naszego życia i trzeba go przeżyć. Nie wolno nam też zapominać o tych, którzy nas kochają i których zostawilibyśmy z bólem, poczuciem winy i smutkiem. Być może nigdy już by się nie uśmiechnęli, nigdy nie roześmiali.

Nie przypuszczałam, że w moim odczuciu, tak smutna opowieść, jaką Wam przekazałam w 7 KOLORACH TĘCZY

da Wam tyle siły, pozytywnej energii, wiaty i uśmiechu. Pisząc ją, płakałam.

Tak jak płaczę, czytając listy od Was, moje kochane Czytelniczki. Każdy list od Was powoduje, że się uśmiecham, przez łzy radości, ale zawsze to przecież uśmiech. I mam dość siły, by przeżyć kilka następnych dni. Dziękuję Wam za podzielenie się ze mną emocjami - to bezcenny dar.

Gdyby nie Wy, to bym nie ja. Jestem dla Was. Bez Was mnie nie ma.

Piszcie do mnie, kiedy tylko macie ochotę, kiedy jest Wam smutno, wesoło, kiedy zdarzy się w Waszym życiu coś ważnego. Jestem na posterunku - gotowa, by wirtualnie przytulić, zawiesić opiekuńcze chmurki, by nad Wami czuwały. Ja - nie żadna tam wielka ważna pisarka - ale zwyczajna ja, Sawicka, która żyje w tym samym, takim samym świecie jak Wy, oddycha tym samym powietrzem, stawia każdego dnia czoło problemom takim, jak Wasze.

Dziękuję za chwile wzruszeń, za zaufanie, za Wasz czas.

Teraz idę sobie popłakać. Jak mawiał Forrest Gump: „Jeśli już musisz płakać, zrób to w samotności i uwiń się z tym szybko.”

A ja mawiam: Jeśli już musisz płakać, płacz i rób to tak długo, jak potrzebujesz. Nie trzeba się wstydzić łez. Choć można też płakać bez nich - często wszystko we mnie płacze, ale łzy nie płyną.

Najbardziej jednak chciałabym Was widzieć szczęśliwe, roześmiane, spełnione, kochające i kochane.

Pragnę tego dla Was z całego serca. I tego Wam życzę.

Pamiętaj - jesteś tym, czym wierzysz, że jesteś. Możesz wszystko.

Przytulam i całuję

Monika Sawicka

LISTY OD CZYTELNIKÓW

Witam,

„7 kolorów tęczy” to pierwsza książka Pani autorstwa, którą przeczytałam. Chciałabym się podzielić z Panią moją opinią na jej temat. Fabuła bardzo ciekawa. Dwa przeplecione wątki są wspaniałym pomysłem i wzbudzają, już na samym początku, zainteresowanie czytelnika. Oryginalny pomysł (owszem, przypomina „Grę w klasy”). Dwie główne bohaterki, mimo wielu różnic między sobą, mają jeden wspólny cel - dążą do szczęścia. Jak każdy człowiek w swoim życiu. Trafiają na przeszkody, a ich wydarzenia z przeszłości ciągle dają o sobie znać i „wchodzą” w teraźniejszość. Uważam, że to ważne i trzeba o tym pisać. Żeby nie tracić wiary w lepsze jutro i przede wszystkim, w siebie! Dialogi są bardzo realistyczne. Zawsze mam zastrzeżenia do dialogów w książkach, a u Pani są one dla mnie rzeczywistym oddaniem rozmowy. Tak właśnie rozmawiamy z bratem, przyjaciółką. Listy od Adama wywołały u mnie na początku mieszane uczucia. Gdzie są mężczyźni, którzy tak piszą o swoich uczuciach? Ale wierzę, że istnieją. Miałam przyjemność spotkać takich, jednak są oni w mniejszości. Jedyne, co przeszkadzało mi w spokojnej lekturze „7 kolorów tęczy” to dosyć liczne błędy składniowe... Jako przyszła pisarka zwracam uwagę na wiele szczegółów podczas czytania, ale chciałam się podzielić z Panią moimi ogólnymi wrażeniami.

Życzę przyszłych sukcesów! Może film na podstawie powieści? :).

Pozdrawiam, Kasia

Świetna książka Pani Moniko. Bohaterka powieści jest bardzo uczuciowa. Dobrze Ją rozumiem, bo też taki jestem i swoje przeszedłem. Kto powiedział, że kobiety są tylko takie? Ja żyję, bo żyję z dnia na dzień i cierpię. Muszę być z tym

sam, chociaż nie chcę. Nie potrafię żyć bez kobiety i prawdziwej miłości. Jak czytałem tą książkę, to aż mnie ścisnęło. Hmm... taka kobieta to skarb, ma serce jak kryształ. Myślę, że jakbym spotkał taką na swojej drodze, od razu bym się zakochał. Na pewno by mnie nie skrzywdziła jak te, z którymi byłem. Nie czytam książek, ale tą było warto kupić i przeczytać.

Pozdro.

Mariusz G.

Witam

Piszę w związku z Pani nową książką. Przeczytałam ją już na początku ubiegłego tygodnia praktycznie w ciągu jednego wieczoru, nocy - bardzo mnie wciągnęła. Chociaż odczucia miałam mieszane. Przyznam się, że to była Pani pierwsza książka, którą miałam okazję przeczytać i w związku z tym nie wiedziałam, czy to typowa fikcja literacka. Dziś miałam okazję także posłuchać wywiadu z Panią i stwierdziłam: tak, to jest to. Skusiłam się i zamówiłam już Pani pozostałe książki, myślę, że przez to, jak Pani podchodzi do tematu będą równie dobre jak ta. Sama kiedyś coś próbowałam napisać z tym, że boję się to pokazać komukolwiek - tam jest zawarta częśćka mnie, a biorąc pod uwagę to, że jestem pesymistką myślę, że mogłoby to zostać źle odebrane. Kiedyś jakiś tam wycinek tego zamieściłam, na blogu i uważam to za mój sukces. Tym bardziej cieszy mnie fakt, że mogłam przeczytać Pani książkę. Temat śmierci jest mi ostatnio także bliski - Pani rozważania nad tym tematem pomogły mi coś zrozumieć... Zobaczymy, jak uda mi się to wykorzystać, bo jak do tej pory, czuję się jak sęp czekający na ofiarę. Chodzi o to, że ktoś z bardzo mi bliskich otrzymał wyrok - rak - podobno nie ma już ratunku - dziewczyna 30 lat - moja przyjaciółka - tak, mogę tak powiedzieć. I jak mam to zrozumieć, gdy serce mi pęka,

jak o tym pomyślę. Pani książka była chwilowym bynajmniej zapomnieniem o tym bólu, lepszym nawet od whisky, bo ona już nie pomaga. Wielkie dzięki za Tęczę - najlepszą, z jaką miałam okazję się spotkać.

Pozdrawiam,
Karolina

Sawicka, Ty stary rowerze, dałaś radę i to masakrycznie dobrze dałaś radę :). Dziękuję :* Ta książka pokazała mi inny pogląd na świat :). Moja miłość 4 lata temu umarła. Miałam wtedy 16 lat, byliśmy ze sobą 3 lata. Chorował na nowotwór - umarł, a ja razem z nim. Przez te 4 lata był przy mnie, moje życie się zatrzymało na wspomnieniach. Było to 25 maja, gdy byłam w empiku i przypadkiem spadła mi pod nogi ta książka. 25 maja - dzień, w którym poznałam Marcina. Dzień, w którym przeczytałam książkę, usiadłam w empiku i czytałam i czytałam, płakałam, śmiałam się, beczałam, rozpaczałam, myślałam... ale pomogła. Dziękuję ;*

P.S. tak się zaczytałam, że z empiku chciała mnie ochrona wyprowadzać. PIĘKNE! Nie będę prosiła o autograf, bo ta książka to piękny autograf pisany Twoją dłonią!

Monika K.

Kochana,

Może trudno w to uwierzyć, ale Twoją książkę przeczytałam ze sto razy. Znam niemal na pamięć poszczególne fragmenty. Muszę przyznać, że nigdy jeszcze nie czytałam tak emocjonalnej powieści. Właśnie, emocjonalnej. Ładunek emocji, uczuć, który włożyłaś w każde słowo eksploduje w sercu, wywołuje trzęsienie ziemi, nie pozwala zasnąć, zapomnieć, przejść obojętnie.

Całość robi wielkie wrażenie, szczególnie, że nie opuszczało mnie przecucie, że wszystko, co napisałaś jest

szczerą prawdą, wyrwaną z głębi serca i umysłu. Niektóre słowa, zdania, powinny pozostać głęboko ukryte, Ty jednak odważyłaś się je wypowiedzieć, wyciągnąć na światło dzienne, a co chyba już najtrudniejsze - zapisać i pokazać innym. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, ile Cię to usiało kosztować. Dlatego składam wyrazy wielkiego, głębokiego szacunku dla Twojej odwagi.

Pozdrawiam najcieplej jak mogę,
Kasia

Witam Pani Moniko!

Książkę przeczytałam od razu, jak tylko była dostępna w księgarniach. Przyznaję, byłam zaskoczona. Jest trochę inna od wcześniejszych. Ale bardzo ciekawa. Łączy się tam wiele bardzo ważnych wątków. Zaskoczona byłam także tym, że odnalazłam tam wiele z nauk wschodu. Nie przypuszczałam, że interesuje się Pani jogą, kabałą, karmą, czy przeznaczeniem. To zadziwiające, bo ja sama zainteresowałam się tą tematyką całkiem niedawno i czytając Pani książkę, tak jakbym czytała książki poświęcone Hunie. Do tej pory nie wierzyłam w podobne rzeczy, pozytywne myślenie i odpowiednie ćwiczenia. Ale kiedy już zapoznałam się z podstawami tej nauki, stwierdziłam, że jest bardzo optymistycznie nastawiona do świata i teraz staram się jakoś wcielić to w życie. Czasem lepiej, czasem gorzej mi to wychodzi, ale to całkiem fajne. Sporo się nauczyłam, o sobie, o ludziach, o świecie. I przede wszystkim staram się zmienić mój sposób patrzenia na świat i otaczających mnie ludzi. Czytając Pani książkę, uświadomiłam sobie, że oprócz mnie ktoś też to czyta i to niekoniecznie od razu jakiś opętany fanatyk. Książka bardzo mi się podobała.

Poza tym dziękuję bardzo!
Ada S.

Dzień dobry, Pani Moniko

Właśnie czytam Pani książkę „7 kolorów tęczy”. Staram się ją oszczędzać, bo mogłabym za szybko skończyć, a wiem, że wtedy bardzo żałowałabym, że to już koniec... Dlatego czytam po kilka stron dziennie, choć bardzo mnie do niej ciągnie. Przeczytałam już wszystkie Pani książki i, wiedząc, że na razie ta jest ostatnią, nie chcę się spieszyć.

Książkę mogłam kupić w ciemno, bo wiem, że wszystkie po kolei były niesamowite, to, co przeżywałam czytając je było niesamowite... Obecnie staram się posklejać sobie życie, które rozwaliłam sama na własne życzenie.

Nie powiem, abym miała stwierdzoną depresję, ale może coś podobnego. Pani książki działają na mnie jak środek antydepresyjny, po przeczytaniu kilku stron nabieram ochoty do życia, chęci na robienie czegokolwiek. To, co Pani pisze i język, jakim się Pani posługuje jest rewelacyjny i działa na mnie odprężająco.

Bardzo proszę o kolejne książki, bo już nie mogę sobie wyobrazić, co będzie jak skończę tę, będzie mi Pani brakowało... i to bardzo.

Uwielbiam Panią i proszę o jeszcze...

Agnieszka

Pani Moniko, gratuluje.

Wychodziłam już z Empiku, gdy rzuciła mi się w oczy kolorowa okładka Pani książki. Podeszłam. Zaczęłam czytać fragment powieści na okładce. Kupiłam. Gdy czytałam, miałam mieszane uczucia.

Popłakałam się - takie to piękne.

Jest sporo literówek i jak dla mnie za dużo fragmentów z „Listów do Marysieńki”, ale to kwestia gustu.

Po lekturze nasunęła mi się taka myśl, że pozycja ta wpisuje się w nurt tzw. „książek z radą” lub, jak to woli „poradników z humorem”. Udało się Pani wpleść w losy głównych bohaterek wątki filozoficzne i to bardzo mi się podoba. Zachęciła mnie Pani także do powrotu do klasyki.

Ogólnie dobra robota. Dziękuję.

Pozdrawiam i życzę powodzenia przy pisaniu kolejnego bestsellera, bo „7 kolorów tęczy” na pewno nim będzie (o ile już nie jest).

Z wyrazami uznania

Ania

Pani Moniko,

Bardzo dziękuję za odpowiedź na mój list. Pozwoliłam sobie znów do Pani napisać i podziękować za tak miłe słowa otuchy. Poprzez czytanie (a może raczej przeczytanie) Pani książek, bo już wszystkie przeczytałam, czego bardzo żałuję, stała mi się Pani bardzo bliska. Uwielbiam Pani poczucie humoru i język, jakim Pani pisze te wszystkie książki, że człowiekowi ciężko się od nich oderwać.

Pani Moniko, proszę odpowiedzieć tylko na pytanie, kiedy będę mogła przeczytać kolejną książkę, bo już czekam z niecierpliwością. Wie Pani? Pani książki są jedynymi, które mnie tak bardzo bawią, po prostu siadam sobie na balkonie z lampką czerwonego winka i czytam, a mój mężczyzna dziwnie mi się przygląda, bo co chwila wybucham śmiechem i dlatego on także zna Pani książki, bo co chwila czytam mu urywki, które tak bardzo mnie rozbawiły. Ale to było jakiś czas temu, bo teraz nie mam na razie co czytać, nawet „7 kolorów tęczy” przeczytałam, choć naprawdę bardzo oszczędzałam tę, książkę, żeby mieć na dłużej do przeczytania. Pani Moniko kochana, czekam na odpowiedź na moje pytanie i książkę, kolejną.

Pozdrawiam serdecznie
Agnieszka

Pani Moniko,

któregoś wieczoru w radio usłyszałam niesamowicie przyciągający, ciepły, anielsko dobry głos. Niestety trafiłam na końcówkę, mimo wszystko sposób, w jaki Pani się wypowiadała coś we mnie zmienił. Usłyszałam tytuł książki „Kruchość porcelany” i już następnego dnia stałam w empiku przed półką z książkami. 2 książkami mam tak, że musi mnie coś w nich przyciągać. Tak oto zdobyłam „Kruchość porcelany” i „7 kolorów tęczy”, która krzyczała „kup mnie!”. Z jakiegoś powodu szczególnie druga książka dodała mi odwagi i wiary we własne siły. Każdy odbiera książki/filmy na swój własny sposób. Ja zrobiłam dziś coś, z czym od zawsze miałam problem - przełamalam się i powiedziałam o moich uczuciach, o tym, co mnie boli, smuci, co sprawia, że krwawi mi serce. Powiedziałam to osobie, która się z tymi uczuciami nie liczy (jak się potem okazało). Paradoksalnie, przyznając się do słabości poczułam, że we mnie jest moc i siła! Otwierając się przed kimś może w końcu otworzyłam się też przed sobą. To nie wstyd czuć.

Pani Moniko Kochana - DZIĘKUJĘ za wrażliwość, serce i natchnienie do walki o własne szczęście, za cudny głos i taką bezwarunkową miłość do ludzi.

Zalana łzami Ania

Dzień dobry Pani Moniko,

Postanowiłam napisać do Pani wiadomość i nie wiem od czego zacząć, ale może opowiem jak to było, jak Pani książka dodała mi wiaty i sprawiła, że znów wierzę w znaki i mam akumulator naładowany nadzieją na kilka najbliższych miesięcy.

Było to tak: pewnego dnia trafiłam na recenzję pani książki, postanowiłam, że jak tylko zapanuję nad sesją to ją kupię. Ale od czasu przeczytania recenzji wiele razy obok niej przechodziłam i za każdym razem nie kupowałam jej, bo nie było pieniędzy, albo były potrzebne na coś innego. Ale przyszła sobota. 20 czerwca. Urodziny mojego taty. Ja zostałam sama w Warszawie, bo przyjaciółka pojechała do Włoch. Posprzątałam mieszkanie i doszłam do wniosku, że zrobię coś dla siebie. Wymyśliłam, że pojedę kupić „7 kolorów tęczy”, wrócę do domku, zrobię sobie zieloną herbatkę z cytrynką i spędzę miło wieczór czytając i odpoczywając. Ubrałam się i pojechałam do „Arkadii”, do empiku. Weszłam, kupiłam tą książkę, pooglądałam płyty i poszłam do kasy zapłacić. Wychodząc z empiku spotkałam kogoś, kto jest dla mnie bardzo ważny. Spotkałam go pierwszy raz od 6 miesięcy i dwóch tygodni... Nie potrafiłam opanować płaczu, ale jakoś dojechałam do domu. Weszłam i się rozplakałam, nie miałam już ochoty ani na książkę, ani na herbatę. Usiadłam na łóżku i ryczałam, aż zasnęłam. Gdy się obudziłam poszłam pod prysznic i doszłam do wniosku, że nie chcę już o tym wszystkim myśleć. Ubrałam szlafrok i zabrałam się za czytanie. I tutaj chcę podziękować z całego serca za słowa, które umieściła Pani na samym początku (te przed dedykacją i te obok „specjalnych podziękowań dla Czytelników”, te obok zdjęcia Pani Ewy Żylińskiej). Miały wielką moc! A ja dzięki nim i temu wszystkiemu, co potem przeczytałam znów umiem czekać, ładnie myśleć, mieć nadzieję i wierzyć...

Wierzę, że znów go spotkam, i że jeszcze przyciągnę go myślami.

A Pani książka jest dla nie znakiem i mam nadzieję, że kiedyś dam ją komuś i pomogę bez słów...

Dziękuję! Z całego serducha.

Ola P.

Kochana Moniko!

Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, że się tak do Ciebie zwracam. Moje podejście do życia jest raczej franciszkańskie, więc staram się mówić często, że kocham wybaczać i codziennie odkrywać świat na nowo.

Jakieś dwa tygodnie temu kupiłam Twoją książkę, ale o tym zaraz. Mam na imię Agatka, urodziłam się w Świnoujściu. Mam zaledwie 20 lat, rozpoczęłam w 2008 roku studia na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu na kierunku Leśnictwo. Na początku trochę Ci ponarzekałam. Gdy przyjechałam do Poznania było ciężko, a w grudniu miałam depresję: całe życie marzyłam o medycynie, a byłam na leśnictwie, rozstałam się z chłopakiem, którego nadal kocham, a na treningu mojego ukochanego Taekwondo rozwalłam sobie kolano. To nie na ten temat. Dziś jestem po trzech operacjach kolana i nigdy już nie wrócę do mojego kochanego sportu, który stanowi 11 lat mojego życia. Tak się składa, że właśnie to nieszczęsne kolano przyczyniło się do kupna książki. To był szaty dzień, a ja weszłam do centrum handlowego „Panorama”, w którym to mam rehabilitację, a ponieważ miałam dużo czasu weszłam do empiku, a tam w nowościach leżała Tęczowa książka. Wzięłam ją do rąk, obejrzałam okładkę, wszystko dokładnie przeczytałam - przyciągnęła mnie. Otworzyłam i powąchałam kartki (zawsze tak robię z książkami) i choć z kasą krucho, musiałam ją kupić. Już w drodze powrotnej z rehabilitacji zaczęłam ją czytać i wiedziałam, że po skończeniu napiszę do Ciebie długi list z nadzieją, że go przeczytasz i jeszcze większą, że odpiszesz, moja Droga. Przykro mi, że tak długo zajęło mi to czytanie, ale niestety SESJA wzięła górę.

Już konkretnie odnośnie Twego Dzieła. Książka jest intrygująca, bardzo kontrastowa, nasunęło mi się milion pytań. Próbowałam odgadnąć, jaka Jesteś. Z jednej strony Bóg, a z drugiej cała ta magiczna otoczka, reinkarnacja itd. Bardzo dużo nad tym myślałam. Były momenty w Tęczy, kiedy śmiałam się na cały głos, przeszkadzając moim współlokatorom się uczyć, były takie, kiedy cicho płakałam w poduszkę, a czasem zdarzało się, że wychodziłam na taras w akademiku i siedząc na ławce łapałam z Tęczą ciepłe promienie słońca. Od początku chciałam dobrać do siebie kolor i okazało się, że jestem Tęczą. Na końcu pokażę Ci, jaką.

Kocham wszystkich bohaterów Tęczy, ale ideały to Adam i Kacper. Adama za tę jego niezłomną wiarę i delikatność, Kacpra po prostu za tę jego młodzieńczą miłość, to jak zwracał się do Toli i za to, że na początku dał jej drugą część Listów do Marysieńki.

Różne przepisy radzenia sobie z życiem i jego trudami dałaś swoim czytelnikom. W większości słuchałabym Adama. Moim rozwiązaniem problemów był Bóg, Jego MIŁOŚĆ, moja niezłomna wiara, Miłość moich KOCHANYCH: Mamy, Siostry i Tatusia, wszyscy otaczający mnie ludzie, natura i moja BEZGRANICZNA, NAIWNA MIŁOŚĆ DO ŚWIATA.

Pozdrawiam Cię ciepło, Przytulam Cię mocno. Proszę, pisz takie książki i wlewaj w ludzkie serca nadzieję i miłość i... przeczytaj do końca ten list.

Taekwondzistka i tancerka. Dusza polska, irlandzka i kubańska. Leśniczyna i niedoszły lekarz. Pełna energii i spokoju. Na czele Wiara i Rodzina. W sercu las, morze i góry. Mieszkanka Świnoujścia i Poznania. Miejsce na Ziemi to Taize. Prawie cała zielona. Moje pory roku to wiosna i jesień. Moje zapachy to: bez, trawa i mój dom. Moje kwiaty: bez, słoneczniki i stokrotki. Sport i sztuka. Muzyka i malarstwo.

Zawsze daję z siebie wszystko. Optymistka i realistka. Idealistka do potęgi. Kochająca życie i ludzi. Nie znająca nienawiści. Uparta i ambitna. Wszędzie mnie pełno. ADHD, choć czasem znikam. Rozważna i spontaniczna. Samodzielna i ceniąca pomoc. Pełna sprzeczności. Prawie cała ja...

Agata

Dzień dobry!

Pewnie otrzymuje Pani setkę takich listów..., ale co mi tam, niech będę 101...

Dlaczego do Pani piszę? Otóż, przeczytałam Pani książkę i dziękuję za nią. Utwierdza mnie ona w tym, że słusznie postępuję podążając drogą, którą dopiero co odnalazłam (choć może odnalazłam ją już wcześniej, ale dopiero teraz odważyłam się na nią wstąpić i nią podążać?) - nie wiem. Ale nie piszę, żeby podziękować...

Mam 22 lata. Od 6 lat choruję na anoreksję. Nie wiem, jak daleko sięga Pani wiedza na temat tej choroby, ale to bez znaczenia, bo tak naprawdę nie da się jej ująć w ramki podając regułkę, u każdego powody i przebieg jest inny. A jak było ze mną? Przestałam radzić sobie z oczekiwaniami. Oczekiwaniemi, marzeniami, nadziejami, ale nie tylko swoimi, przede wszystkim swojej rodziny. Jak głupia starałam się, walczyłam, ztracałam się, spalałam, żeby dać najbliższym to, czego ode mnie chcieli, żeby dać im szczęście. W zamian chciałam odrobiny ciepła, miłości i docenienia.

Poprzeczki stawały się coraz wyższe. Przestałam sobie radzić, przestało mi wychodzić. Nie dawałam rady, nie potrafiłam spełniać już ich marzeń, zawodziłam. Zaczęłam się nienawidzić za swoją słabość, niedoskonałość, byłam niewarta miłości. Postanowiłam się zniszczyć. Zniszczyć drogą anoreksji, zniszczyć metodą perfekcji, gdzie mogłam pokazać

swoją siłę, wolę... Anoreksja była sposobem, by zniknąć, by umrzeć...

Teraz już pomalutką zaczynam odnajdywać sens życia, życia dla siebie, dla własnego szczęścia, nie innych, zaczynam poznawać swoje marzenia i potrzeby.

W chwilach, gdy ból i cierpienie były tak ogromne, że przestawały się we mnie mieścić, pisałam. Pisałam pamiętniki i takie krótkie teksty (jak ja to określam „krótkie niewiadomo co”). Nie jest tego wiele... i dlatego do Pani piszę. Po prostu chcę, żeby ktoś, kto wie, co to cierpienie przeczytał choć jedną rzecz, którą stworzyłam. Wiem, że Pani zrozumie, a tego potrzebuję najbardziej. Nie współczucia, tylko właśnie świadomości, że ktoś rozumie.

Pozdrawiam Ania.

Przesyłam Pani dwa moje niewiadomo co, pierwsze i ostatnie:

Dawno nie pisałam. Nie wiem, czy jeszcze potrafię?

Piątek, Kolejny deszczowy, pochmurny, przygnębiający dzień. Mimo złego nastroju zastanawiam się nad fenomenem przyrody, skrycie ją podziwiając i czcząc. Powodem mojego zachwytu jest fakt, iż za każdym razem potrafi ona oddać nastrój, stan mojej duszy. Jest martwa, a jednak żyje pod postacią roślin, zwierząt i ludzi takich jak ja, takich, po których zostało tylko ciało i zmęczona życiem, zniechęcona dusza, która jak chorągiewka lata w podmuchach przeszywająco zimnego wiatru.

Czasami mi się wydaje, że szczęście to fatamorgana. Idę przez pustynię. Sama. Inni, choćby nawet chcieli, nie mogą podążać ze mną. Na mojej drodze nie ma nic, tylko gorący, palący w podeszwy stóp piasek i towarzysząca mi od samego początku, ognista tarcza słońca. Wszystko, co mnie otacza wydaje mi się wrogiem. Przyznaję wyższość słońcu. Lecz

piasek? Pojedyncze ziarenko piasku... cóż to jest? Marność. Nic. Samo nie znaczy nic. Ale zebrane w miliony małych kłujących szpileczek jest potęgą. Wielkim wrogiem. Zgubieniem. Jest jak ból, który kłuje w serce. Widocznie niepokój mojej duszy mu nie wystarcza, bo czasami, teraz coraz częściej nękają mnie burze piaskowe...

Ból .

Ból. Wewnętrzny ból. Płacz duszy. Nie jest już tylko jednym z uczuć... Narodził się w ciszy. Skromnie. Niepozornie. Karmiony łzami wzrasta, nie pytając nikogo o zdanie. Wbija swoje szpony w serce, wnika w nie. Sprawia, że ciche, spokojne i bezpieczne miejsce wypełnia się chaosem i strachem. Cisza zamienia się w krzyk, prawda w fałsz, dobro w zło, miłość w nienawiść. Wszystko traci sens. Pustka...

Ból - dziecko łez, matka cierpienia.

Moniko,

mam nadzieję, że wybaczysz mi brak formy grzecznościowej pt. Pani. Nie wiem, czy wypada mi zwracać się do Ciebie po imieniu, w końcu jestem tylko jedną z Twoich wielu zapewne czytelniczek. Jednak mówiąc do kogoś bezpośrednio łatwiej jest wyrazić pewne myśli.

Nigdy wcześniej nie miałam styczności z Twoją twórczością, dopiero dziś wpadło mi w ręce „7 kolorów tęczy”.

Jestem dopiero przy początku. Przeczytałam dopiero 170 stron, więc nie mogę opisać wrażeń po skończonej lekturze. Za to mogę opisać wrażenia towarzyszące mi w trakcie.

To już moje drugie podejście do napisania maila. Pierwsze zakończyło się niezbyt pomyślnie, bo środek burzy to nie jest dobry moment do pracy przy komputerze. Nie wzięłam pod uwagę tego, że w każdej chwili mogą wyłączyć prąd.

Jestem studentką filologii polskiej. Czytanie książek jest poniekąd moim obowiązkiem, ale zawsze było przede wszystkim przyjemnością.

Nie wszystkie książki czyta się jednakowo. Czasem człowiek zaczyna i wciąga się do granic możliwości. Zarywa noce, ślęcząc przy lampce i zapomina, że w zlewie są niepozmywane naczynia po kolacji. A czasem po kilku stronach myślimy zupełnie o czym innym, mylimy bohaterów i ich imiona, zupełnie nie mogąc się skupić i bardziej niż nad sensem czytanych słów, zastanawiamy się nad tym, co zjeść na obiad i w co się ubrać następnego dnia.

Twoja książka należy do grupy tych pierwszych. Tych, co pochłaniają i kuszą, by przeczytać jeszcze chociaż stronę nim na dobre zaśniemy w środku nocy.

Czyta się ją lekko i szybko i pewnie bym jej nie odłożyła, gdyby nie fakt, że na stronie 16 podałaś swojego maila pozostawiając tym samym możliwość kontaktu ze sobą.

I jak ja mam dalej czytać, skoro między wersami ciągle przebiega mi myśl, że muszę te kilka słów do Ciebie napisać? I nie po skończeniu, tylko teraz, zaraz!

Może (ba! na pewno) po napisaniu będę spokojniejsza i z czystym sumieniem będę mogła wrócić do dalszej lektury, a gdy skończę na pewno jeszcze się odezwę.

pozdrawiam

Twoja z pochmurnego dziś Piotrkowa Tryb. czytelniczka
Ewa.

„7 kolorów tęczy”, Twoja książka „wpadła” mi w ręce jakiś miesiąc temu, oczywiście kolejny raz krocząc po księgarni nie byłam w stanie wyjść z niej bez nowego nabytku, przeczytałam opis z tyłu okładki, od razu wiedząc, że muszę ją mieć. Niestety nie mogłam zacząć czytać w tamtej chwili, gdyż właśnie wielkimi krokami zbliżała się do mnie

sesja (kusiło mnie, kusiło), ale wiem, że gdybym wtedy zaczęła, to nie mogłabym poświęcić jej wystarczająco dużo czasu i miejsca w głowie, więc odłożyłam na półkę. Nieraz, siedząc przy biurku wstawałam, podchodziłam do niej, przekartkowałam, wachałam, czytałam opis na końcu (zawsze tak robię). Wreszcie przyszedł ten wymarzony dzień - koniec sesji, wolność! Pierwsze, co zrobiłam to wyjechałam na wieś z Twoją książką w torebce. Ten czas był mi potrzebny, ta książka była mi potrzebna, pomocna! Już jakiś czas temu zaczął się dziwny okres w moim życiu, powracały do mnie ze zdwojoną siłą pewne sprawy, o których myślałam, że zapomniałam. Wszystko zaczęło się psuć, i jeszcze do tego ta okropna sesja, ten nawał nauki, brak czasu, presja otoczenia. Z dnia na dzień gorzej. Zastanawiałam się, co jest nie tak, nagle odeszła cała radość życia, którą w sobie miałam i przekazywałam innym. Zawsze to moi znajomi marudzili, że ich życie jest nudne, nic się nie dzieje, a ja z uśmiechem tłumaczyłam im, że tak nie jest, że trzeba cieszyć się śpiewem ptaków, zapachem kwiatów, uśmiechem ludzi, drobnymi, codziennymi, lecz tak ważnymi sprawami! Zawsze taka byłam, idealistka, marzycielka, wierzyłam w drugiego człowieka, pomimo ironicznych uśmiezków moich przyjaciółek, które twierdziły, że w życiu trzeba być egoistą, by wytrwać! Nigdy, przenigdy się z tym nie zgadzałam! Niestety, podczas tego ciężkiego czasu zaczęłam zauważać, że ludzie często kierują się własnym interesem i wtedy nie ma sentymentów, znajomości itd., zaczęłam zauważać, że ta pozytywna energia wyparowuje ze mnie, byłam przerażona sobą, codziennie płakałam, nie miałam na nic siły, nawet wyjazdy do mojego podopiecznego (pracuję jako wolontariuszka w hospicjum) przestały sprawiać mi przyjemność, siedziałam u niego i myślałam tylko o tym, kiedy przyjdzie ten moment, że będę mogła wstać i wyjść do

domu. Czułam się okropnie, nienawidziłam się za to! Przecież Kubuś nie był niczemu winny, on tak się cieszył z tych spotkań, a ja miałam takie podejście... No i sprawa z Panem A. (gdy przeczytałam, że jeden z Twoich bohaterów ma tak na imię poczułam dziwne ukłucie w sercu). Poznałam go przez przypadek, po prostu podszedł do mnie i zaczął rozmowę, zostawił numer. Miałam zadzwonić, ale to miała być tak zwana sprawa zawodowa i ja też miałam takie podejście, lecz on proponował kolejne, kolejne i kolejne spotkania i się w nim po prostu zakochałam. Tylko, że ja wcale nie chciałam tej miłości, tych spotkań, to On to wszystko zaczął i nagle zakończył, bez pożegnania, bez ostrzeżenia. Wspaniały człowiek, wiedziałam, że znalazłam pokrewną duszę, wreszcie spotkałam człowieka, który dzielił moje zainteresowania i pasje, tyle, że miał o wiele większą wiedzę, za każdym razem uczyłam się wiele od Niego. Co taki mądry, wspaniały facet mógłby widzieć w takiej dziewczynie jak ja? Tak, tak, tak poczułam, że jest moją Karma, ale co z tego, gdy już Go nie ma w moim życiu....

Ale nie o tym chciałam pisać (ale się rozpisałam, wybaczyć), głównie chciałam Ci napisać, że DZIĘKI TWOJEJ KSIĄŻCE UDAŁO MI SIĘ „PODNIEŚĆ”. Z każdą kolejną kartką wzbierało we mnie coraz więcej energii i chęci do życia. Wiem, że jestem warta miłości najwspanialszej, każdy jest i wiem, że taką spotkam. Wiem, że należy myśleć pozytywnie, wtedy się ułoży. Wiem, że trzeba cieszyć się życiem i tym, co się ma, a nie rozmyślać nad tym, co utraciło, bo szkoda na to naszego cennego czasu. I wiem, że spotkanie A. było lekcją dla mnie, z której wyciągnąć trzeba wnioski. Tak miało być, to było mi pisane. Chciałam w tym liście o Tobie i Twojej książce, a wciąż o sobie... Opowiadasz piękne historie, które dają wskazówki zagubionym, tylko trzeba chcieć je odczytać. Mnóstwo fantastycznych emocji zaczarowałaś i włożyłaś

między słowa. I tak moje słowa nie wyrażą tego, za co chciałabym Ci podziękować. Kończę, bo długość robi się niebezpieczna dla odbiorcy ;). Dziękuję raz jeszcze za tę książkę.

p.s. zawsze w książkach zaznaczam lizkami cytaty, które zrobiły na mnie wrażenie, a później przepisuję do specjalnego zeszytu, w Twojej książce zaznaczyłam ich tyle, że chyba cały dzień zajmie mi ich przepisywanie, hm pomyślę, że może zrobię xero i wkleję ;)

SAWICKA, TY STARY ROWERZE, DAŁAŚ RADE

Dziwnie się czuję, bo nigdy takiego listu nie pisałam no, i uzewnętrznianie się przed kimś, kogo się nie zna nie jest łatwe, szczególnie dla mnie, gdyż ja uzewnętrzniam się tylko sama przed sobą.

Aga (21 lat)

Moniko Sawicka, Ty Stary Rowerze:)

26 stycznia zmarła moja babcia, która zawsze kiedy ją odwiedzałam mówiła: Schudłaś. Mimo, iż byłam coraz grubsza i grubsza... Zmarła nagle. W czwartek był dzień babci, jeszcze chodziła, uśmiechała się, żartowała, babcia zawsze była ciepła i pogodna, nawet jak ją coś bolało. W niedzielę zabrano ją pogotowie, w poniedziałek miała operację, a we wtorek o 4 rano odeszła. Lekarze nie wybudzali jej z narkozy, żeby nie cierpiała. Podobno do ostatniej chwili przed operacją była uśmiechnięta...

Załamala mnie ta sytuacja, moja babcia, babcia, na którą zawsze mogłam liczyć, która uświadamiała mnie, że istnieje antykoncepcja :) o czym już dawno wiedziałam... Która codziennie dzwoniła i pytała, co u mojego Sebastiana, odeszła...

Moja wiara daje nadzieję, że kiedyś po śmierci i tak się spotkamy, lecz w takiej sytuacji to nie pomaga...

Mój luby, widząc mnie ciągle coś robiącą (pomimo mojego lenistwa, do roboty mnie zagonić jest równorządne z dostaniem nagrody Nobla), upiekłam chyba wszystkie znane mi ciasta, rogaliki, ciągle robiłam pranie itd. a jak już nie miałam w co ręce włożyć to płakałam, postanowił, że kupi mi książkę, bo Anna Karenina w tej sytuacji mi nie wchodziła...

Wybraliśmy się więc do empiku. Przejrzałam książki Dana Browna, wzięłam w ręce „Pachnidło”, szukałam „Opowieści z Narnii”, aż w końcu na najniższej półce byłaś Ty. Okładka przyciągająca, przekartkowałam i krzyknęłam: „MAM!!!” Wszyscy ludzie spojrzeli, Sebastian przybiegł. „Co masz?” Zapytał. A ja jeszcze nie wiedząc, co będzie, jak przeczytam, odpowiedziałam: „Książkę, do której będę wracać, którą przeczytasz Ty i wszyscy znajomi.”

I tak się stało. Przeczytałam ją. Czuję niedosyt, a to dobre uczucie. Zawsze czuję niedosyt po przeczytaniu książki, która mnie pochłoneła. Przeczytam ją jeszcze raz, tym razem wezmę do czytania kolorowe długopisy, żeby w środku też było tęczo od zaznaczania ciekawszych fragmentów, tego, co chcę wprowadzić w życie... Potem przeczytam po raz trzeci i czwarty, i piąty, żeby czerpać z Ciebie jak najwięcej.

Z czystym sercem mogę powiedzieć, że dałaś radę. Naznaczyłaś mnie, wytatuowałaś, przeniknęłaś, przyciągnęłaś. Na szczęście nie odejdziesz. Znajdujesz się w centralnym miejscu mojego pokoju, domu, życia. Zabieram Cię ze sobą wszędzie.

Dziękuję
Marta

Witam Pani Moniko,

Ja odnośnie książki „7 kolorów tęczy”. Właśnie niedawno skończyłam ją czytać i muszę przyznać, że bardzo mi się spodobała, choć nigdy wcześniej nie miałam styczności z Pani twórczością. Najbardziej spodobała mi się pierwsza część książki choć drugą też dało się przeczytać ; -). Proszę o więcej tak pozytywnych historii, bo one są jak promienie słońca w naszym szarym życiu...

Serdecznie Pozdrawiam czytelniczka Klaudia
p.s. STARA, KOCHAM CIĘ.

Witam,
przeczytałam pani książkę „Siedem kolorów tęczy”...
genialna :)

Pozdrawiam, Agnieszka

Sawicka, Ty stary rowerze, dałaś radę :)

Dopiero wczoraj przeczytałam Twoją najnowszą książkę, chociaż kupiłam ją podczas sesji i kusiła mnie z półki, żeby tylko się nie uczyć :). Może najpierw powiem, co mi się podobało: okładka, pomysł z kolorami - rozdziałami, historia Toli i tego, jak wygarnęła ojcu, że nie jest jej Sobieskim, zakończenie powieści, opowieść indyjska na początku i postać Aśki. Zaciekało mnie to, co pisałaś o medytacji, znaczeniu barw, karmie, afirmacjach itp. Na początku nie mogłam się przyzwyczaić do tych dwóch stylów pisania, ale jak się zaczęło o Toli to już wciągnęłam się na maksa. Trochę drażnił mnie ten Adam, nie wiem czemu :). Dziękuję za taką książkę.

Poza tym chciałabym Ci powiedzieć, że jesteś moim autorytetem - zawsze, jak jest mi smutno, czy przestaję wierzyć w swoje marzenia (bo wydają mi się za wielkie), wchodzę na Twoją stronę i jakoś mam więcej motywacji - żeby wziąć się za siebie, nie poddawać się i rozwijać się w pisaniu. Bo jest Ktoś, komu też jest ciężko, ale mimo to

spełnia swoje marzenia i pomaga innym pisarzom. Dziękuję Ci.

Masz pozdrowienia od mojej Mamy i wielkie tulasy ode mnie.

PS. Powiem Ci to, co napisałaś na moim egzemplarzu „Mimo wszystko”: „Życzę Ci, żebyś była najszcześniejszą kobietą pod słońcem” :)

Sylwia

Kręcić nie będę! Na „7 kolorów tęczy” trafiłam iście przypadkiem! Zakończony rok akademicki, (a że studiuje filologię polską - musiałam przeczytać choć kilka linijek nie tego, co muszę, a co chcę) księgarnia, kolorowa okładka! Przyjemna! Gruba - twierdzą - dobrze! Myślę sobie: Karczewska, nie oceniaj książki po okładce, przeczytaj choć kilka wersów!!! Czyta' i czytam... Stoję na środku wielkiego sklepu i nie lecę za kolejną promocją, a czytam i czytam...

Agata

Witam serdecznie :)

Długo zamierzałam się do napisania tego listu, ale w końcu uff piszę :).

Mam na imię Patrycja, jak wynika zresztą z adresu mailowego :). Czy mogę mówić Ci po imieniu? Jest mi tak wygodniej, bo po pierwsze jesteśmy w podobnym wieku, a po drugie, wszystkim mówię, że czytam właśnie książkę Moniki Sawickiej, a nie Pani Moniki:). I stąd jesteś dla mnie Moniką. Szczerze mówiąc, dopiero kilka tygodni temu zetknęłam się z Twoją twórczością po raz pierwszy. Byłam w empiku po książkę Paula Coelho, wydanie specjalne mojego ukochanego „Alchemika”, ale zanim po niego podeszłam, wzięłam do ręki i pomaszerowałam do kasy, zaczęłam oglądać inne książki. I wtedy ni stąd, ni zowąd pojawiła się przed moimi oczami

strasznie kolorowa okładka „7 kolorów tęczy”. Jak mam w zwyczaju, pierwsze co, odwróciłam ją i przeczytałam, co ciekawego o niej pisze „na tyle”. I to było piękneeee... Boże, ja się zakochałam w tych kilku słowach. Urzekły mnie doszczętnie, zapragnęłam przeczytać tą książkę już, natychmiast, dlatego zapomniałam o zaplanowanym „Alchemiku” i kupiłam mistyczne, natchnione, klimatyczne wręcz „7 kolorów tęczy”, Twoje dzieło, które czytam strona po stronie, nie czytam, pochłaniam całą sobą. Masz dar, taki cudowny dar pisania. I poza tym jesteś taka naturalna, swobodna, Twoje zdjęcia na Twojej stronie, takie proste, bez retuszu, mam wrażenie, że jesteś moją znajomą z sąsiedztwa, a nie tą Wielką Pisarką, która słowami potrafi otulać człowieka i pomagać. Dziękuję Ci, że jesteś, dziękuję, że zdecydowałaś się wydać tą książkę, cóż to by była za strata, gdybyś tego nie zrobiła... Dziękuję :). Jak tylko skończę czytać, polecę po kolejne Twoje dzieła, w planach mam najpierw „Kruchość Porcelany” oraz „Serwantkę”.

P.S. A „Alchemika” wydanie specjalne kupiłam niedawno przez allegro. Oczywiście, że nie mogłam przegapić :). Paulo Coelho od zawsze gości w moim umyśle, na półkach i w szafkach, to była Miłość od Pierwszego Wejrzenia i trwa już kilka lat, Ty jesteś moją Drugą Miłością, co nie znaczy że gorszą.

Pozdrawiam serdecznie,
Patrycja

Pani Moniko,
jest Pani moim aniołem. Dziękuję za piękną książkę „7 kolorów tęczy”, połknęłam ją jednym tchem, kosztem nieprzespanej nocy, ale co tam, warto było. Czułam, że mój świat zgubił się gdzieś między rozwodem, pracą, 9 - cio letnią córeczką, brakiem stabilizacji i strachem. Dziś wiem, dzięki

Pani, że mogę wszystko, mogę zmienić swoje myślenie i scenariusz życia. Zaslужę na miłość i ona pojawi się w moim życiu, bo ją przyciągnę. Cały czas nie rozumiałam, dlaczego pomimo mojego niezłego jeszcze wyglądu jak na 33 lata, sympatii do otoczenia nie mogę odnaleźć siebie... Dziś wiem, że ten obraz lęku, niezaslужiwania na miłość i godne życie pielęgnowałam starannie w sobie każdego wieczoru, myśląc o tym, jak mi źle, jak bardzo jestem samotna i niekochana. Ale dziś już wiem, że tak nie trzeba, stosuję afirmacje, zmieniłam myślenie, jestem bardziej pozytywna i wierzę, że cuda mogą się dziać dzięki mnie. Dziękuję i najchętniej uściskałabym Panią za tą pomoc. Ta książka miała pojawić się w tym właśnie momencie mojego życia, to właśnie przeznaczenie. Jeśli Pani pozwoli będę informować o przemianie w moim życiu, bo wiem i wierzę, że ona nastąpi pod każdym względem, dzięki Pani i dzięki mnie samej.

Pozdrawiam i mocno ściskam

Gosia

Witam serdecznie,

z Pani książkami spotkałam się czystym przypadkiem - dostałam „Kruchość porcelany” w prezencie imieninowym. Zaczęłam czytać... i nie mogłam przestać. „Zakochanie” w Sawickiej było tak silne, że w szybkim czasie pobiegłam do księgarni szukać kolejnej Jej książki. Trafiłam tylko na „7 kolorów tęczy”. Ta pozycja, podobnie jak „Kruchość...” doprowadziła mnie do łez - i to łez ze śmiechu i wzruszenia. Jestem pod wielkim wrażeniem lekkości pióra, a losy bohaterek to zlepek losów różnych kobiet, które są dookoła nas, często nie wiedząc o tym, że spotykamy je każdego dnia. A do tego, podobnie jak u mnie, oczarowanie twórczością Paulo Coelho. Już czeka na przeczytanie „Serwantka”, która

umilać będzie mój pobyt w Hiszpanii. Więc, droga Pani Moniko! Życzę weny twórczej i czekam na kolejne dzieło :).

Pozdrawiam :)

Aleksandra

Witam.

Jestem początkującą czytelniczką pani książek, to była pierwsza.

Przyznam, że zaskoczyłam się już na samym początku - zbiegiem okoliczności. Tak się złożyło, że przed Pani lekturą przeczytałam po kolei „Bikini” J.L. Wiśniewskiego, „Alchemika”, „Jedenaście minut” P. Coelho, „Spóźnionych kochanków” W. Whartona i „Pielgrzymia” P. Coelho. Niektóre nie należą do nowości, a dopiero teraz je czytałam... Dzięki książce „7 kolorów tęczy” mogłam lepiej zrozumieć sens poprzednich, naprawdę ważnych. A słyszałam kiedyś, że książki zawierają w sobie jedno zdanie, krótki zbiór zdań, który stanowi sens całej książki, jest indywidualnym skarbem autora. Pani chyba właśnie stworzyła taką skarbnicę. Gratuluje.

Zawsze unikałam książek psychologicznych, analizujących wpływ pozytywnego myślenia itp. Podobało mi się, jak Pani przeplotła wątki, a wpływ pozytywnego myślenia był podany na przykładach, których zazwyczaj oczekujemy (w ramach potwierdzenia, nawet podświadomie).

Olka

Witam serdecznie!

Jestem po lekturze „7 kolorów tęczy” (wcześniejsze „Mimo wszystko”, „Demisec”, „Serwantka” też przeczytałam, nie miałam tylko „Kruchości porcelany”, ale trudno ją u nas dostać i ciągle na nią czekam). Czytając, zastanawiałam się cały czas, co w tej książce jest częścią Pani życia i wobec tego

chciałabym zapytać, jeśli mogę, który z wątków powieści jest częścią Pani życia? I dlaczego podnosi się Pani z rozpaczy? W książce wykorzystała Pani te fragmenty Paulo Coelho z „Nad brzegiem rzeki Piedry...”, które są mi tak bardzo bliskie... Proszę o kontakt. Pozdrawiam serdecznie i życzę dalszych dobrych książek.

Ilona

Witam serdecznie

Lektura „Kruchości porcelany” pochłonięła mnie całkowicie :). Jestem wdzięczna za to, co mogłam przeżyć, czytając tę niezwykłą historię. Z niecierpliwością czekam na zamówione kolejne pozycje.

Pozdrawiam serdecznie

Ewa

Właśnie skończyłam nielegalnie czytać Pani książkę, nielegalnie, bo mam 15 lat i nie powinnam, i muszę chować tę książkę przed mamą. Lecz przyznam, że jest świetna, przeczytałam w moim życiu wiele książek, i zawsze moimi ulubionymi książkami były fantastyki, i wołałam bardziej angielskich autorów niż polskich. Lecz po przeczytaniu tej książki, zmieniłam zdanie. Uwielbiam, jak Pani pisze. Są tam śmieszne momenty, jak i intymne, których nie powinnam była czytać, jak i bardzo poważne i smutne. To jest prawdziwa książka o życiu, które jest tak skomplikowane. Mam oczywiście zamiar kupić resztę Pani książek i je przeczytać, lecz mam nadzieję, że napisze pani tych książek o wiele więcej.

Ewa.

Droga Pani Moniko,

bez zbędnych wstępów, w których jakoś nigdy nie byłam zbyt dobra, chciałabym po pierwsze podziękować za Pani książkę „Kruchość porcelany”. Powieść urzekła mnie niesamowicie, a rzewne łzy upstrzyły karty z życia Zuzanny Maks.

Jednak gdybym chciała jedynie wyrazić swą wdzięczność, zakończyłabym ten - z braku lepszego słowa - list banalnym „z wyrazami szacunku” w tym właśnie miejscu. Zanim to nastąpi, chciałabym tylko zaapelować, a właściwie przedstawić prośbę, licząc na to, że nie będzie ona dla Pani zbyt wielkim wyzwaniem. Przedtem jednak powinnam napisać kilka słów, miło byłoby wiedzieć, kto śmie Panią prosić o cokolwiek, prawda?

Na imię mi Paulina, mam 17 lat i przepadam wprost za książkami. Fakt ten niezmiernie dziwi większą część mojej rodziny, jak również paru znajomych ze szkoły, ale mnie samej wydaje się tak naturalny jak to, że niebo jest niebieskie. W każdym razie jestem oddaną czytelniczką powieści o kobietach na życiowym zakręcie, jak również tych, którym przydarzyła się nieszczęśliwa miłość. Wspólnie z gronem wiernych przyjaciółek niezmiennie ubolewamy nad faktem, że nieszczęśliwa miłość częściej zdarza się jako incydent, niż jako sam fakt owej miłości, ponieważ w moim odczuciu nie ma nic bardziej romantycznego i bardziej kształtującego osobowość niż nieszczęśliwa miłość. To wszystko pewnie dlatego, że mam siedemnaście lat i o miłości wiem tyle, co moja milcząca maskotka o wdzięcznym imieniu Hanna. W każdym razie, dotychczas nie zrezygnowałam z marzeń o miłości tak silnej i wielkiej, że niemal przyprawiającej o zawroty głowy (i nic nie wskazuje na to, że chcę z nich zrezygnować).

I tu pojawia się moja prośba. Być może odkryła już Pani moje intencje - nie zdziwiłoby mnie to, jest Pani doświadczoną i niewątpliwie kochaną, spełnioną kobietą.

Proszę, Pani Moniko, niech Pani nie przestaje pisać.

Tylko książki takie, jak Pani dają mi siłę na to, by marzyć. By się nie poddać i nie zacząć myśleć w sposób, w który koniecznie chcę, bym myślała. Słyszę wciąż ten pełen wyrzutu głos mamy, kiedy staram jej się przedstawić swoje wizje: „To głupoty, po prostu zdaj na studia, znajdź męża i urodź mu dzieci”.

Tylko książki, takie jak Pani dają mi siłę, by nie stać się tą samą osobą, jaką jest moja mama, która zdaje się nie dostrzegać, że od życia można dostać coś więcej niż tylko porządne kopa w dupę w postaci własnego, nieszanującego ją męża (mam nadzieję, że nie poczuła się Pani urażona tym wyrażeniem, jestem pewna, że dziewczęta w moim wieku wyrażają się w znacznie dosadniejszy sposób, niż mój).

Tak czy inaczej - chcę Panią prosić o to, bym wciąż mogła pozostać w zamkniętym, kolorowym świecie marzeń i wyobrażeń.

Tu jest tak miło i kolorowo, nawet gdyby nigdy miało się nie spełnić, to jednak myślę, że warto marzyć.

Łączę więc obiecane wyrazy szacunku,
Wierna czytelniczka, Paulina.

Witam;)

Pierwszy raz piszę list do Pisarki, więc może on być nieskładny, bądź do bani. Zapewne każdy na wstępie pisze, że jest Pani wielkim i oddanym fanem, lecz ja nie mogę tego napisać. Nie, że nie podoba mi się Pani styl pisania, po prostu przeczytałam tylko jedną książkę („7 kolorów tęczy”) i nie mogę obiecać przeczytania pozostałych.

Powracając do tematu :). Pochłonełam Pani powieść jednym tchem, podobieństwo z Paulem Coelho sprawiło, iż należy ona do moich ulubionych. Szczerze powiedziawszy co chwilę zaznaczałam tak zwane złote myśli, by móc je przepisać ;). Mimo moich 16 lat, tematyka, ani „wykłady” bohaterów nie znudziło mnie, ale sprawiło zmianę mojego myślenia. Momentami musiałam oderwać się od niej, przejść po pokoju, wyjrzeć za okno, ponieważ czułam ból podobny do tego, gdy rosłam. Dzięki „7 Kolorom tęczy” zauważyłam pewne rzeczy, które do życia są niezbędne, które, dotąd dla mnie nieistotne, zmieniły pozycję w mojej hierarchii na ważniejsze.

Podziwiam Pani sposób zgłębiania serca i wszystkich uczuć, ma Pani ogromną moc i świetnie ją wykorzystuje.

Co do tej całej afirmacji, kiedyś przeczytałam te słowa: „Jeśli przypuścimy, że życie ludzkie może być kierowane rozumem, wówczas ginie możliwość życia”.

Dziś spróbuję trochę pomedytować, kto wie, może mi się uda?

Pozdrawiam i życzę wszystkiego, co jest jeszcze lepsze od tego, czego Pani oczekuje :).

Olga

„Nigdy nie rezygnuj z marzeń - Idź śladem znaków.”

Witaj!

Dopiero dziś mam chwilkę czasu, by coś napisać, a książkę przeczytałam już w czwartek.

Co ja Ci mogę powiedzieć? Cytując kogoś, to powiem tylko tyle - Sawicka, Ty stary rowerze znów Ci się udało.

Bo udało Ci się. Książka jest niezwykle wciągająca. Momentami jest wesoła i śmieszna, ale wyczuwalny jest też smutek, który z niej Biję.

Przyznam się szczerze - ominęłam fragment o Sobieskim i jego Listy do Marysienki. Nie wiem, może dlatego, że nie przepadam za historią, a może dlatego, że przerabiałam te jego listy na wykładach i ćwiczeniach.

Jednak jakoś nie pasowały mi one do reszty i całej konwencji, w jakiej utrzymana jest książka (choć zaznaczam, że to tylko moje osobiste zdanie i mam nadzieję, że moją szczerą mi wybaczysz).

Ominęłam też parę stron, na których były odnośniki do bardzo naukowych rzeczy i opisywanych procesów, ale to pominęłam tylko ze względu na to, że jestem typową humanistką i jakoś średnio docierają do mnie rzeczy typu efekt motyla, czy inne.

Nie przebrnęłam też przez kilka opowiadań, ale to już odrębna część książki, więc nie będę o tym mówić.

Moniko, w każdym razie książka jest super, będę ją polecać i tak jak obiecałam zajrzę do twoich wcześniejszych powieści, bo naprawdę mi się spodobało.

A tymczasem pozdrawiam, kilogramy pozytywnej energii przesyłam

Ewa

Nazywam się Kasia i mam 20 lat.

„7 kolorów tęczy” przeczytałam dwa miesiące temu.

W takim razie, dlaczego teraz dopiero piszę? Bo musiałam się zastanowić, co napisać i jak napisać. I w końcu doszłam do wniosku, że napiszę po prostu to, co myślę.

Jak w temacie ;) „Sawicka, ty stan' rowerze dałaś radę”. Naprawdę dała Pani radę. Mam jednak jedno zastrzeżenie, z którym w zupełności się nie zgadzam. Czytałam tysiące razy to zdanie: „Nie ufaj temu, kto zamyka oczy podczas pocałunku.” Już wcześniej słyszałam tą Tantrę. Spotkałam się z nią..., ale z tym zdaniem zgodzić się nie mogę. Może jestem

za młoda, żeby to pojąć? Dla mnie nie ma to sensu, gdyż w momencie, gdy całuję osobę, którą kocham specjalnie zamykam oczy, aby się skupić i przelać mu całą moją miłość... A może nie rozumiem czegoś w tym zdaniu? Jeśli tak, proszę bardzo o odpowiedź.

Dziękuję Pani z całego serca za opublikowanie tekstu Marty Balcerzak pt. „Mama”. Dało mi to naprawdę dużo do myślenia tym bardziej, że moje stosunki z mamą... jakby to określić... nie są zbyt „pozytywne” i przyznaję się tutaj, że nie tylko z winy mamy, ale i z mojej. 11.01 Mama będzie obchodzić 45 urodziny. I mimo, że już dziś wiem, co jej napiszę, to gdy wrócę do domu na wakacje myślę, że niewiele to zmieni. Ale starać się trzeba i mieć nadzieję.

W sumie nie wiem, po co to wszystko Pani piszę. Chciałam tylko, żeby Pani wiedziała... że książki Pani autorstwa bardzo mi pomagają...

Pozdrawiam, dziękuję i życzę dalszej owocnej pracy :)

Kasia

Dziękuję...

Dziękuję za Wiarę, Nadzieję... Za siłę, która jakiś czas temu zamarła we mnie... I nie chciała się odrodzić...

Chociaż próbowałam...

Próbowałam szukać środka znieczulającego ten ból i lęk...

Bo ten ból i lęk właśnie osłabiły moje Ja...

Gdybym tylko mogła, to nauczyłabym się na pamięć wszystkich tych słów zawartych na 179 stronach Literackiego Życia... Nauczyłabym się z taką perfekcją i dokładnością, że przebudzając się co noc między 3 a 4 nad ranem, byłabym w stanie wyrecytować te słowa bez jakiegokolwiek zająknięcia... I ucząc się tych słów, akcentowałabym każdy akapit w innym tonie interpretacyjnym...

Dziękuję za to literackie dzieło odrodzenia...

Uwierzyłam...
Dzięki Pani uwierzyłam, że można...
Że warto...
Że trzeba...
Żyć... Oddychać... Marzyć...
Że warto walczyć o każdy nowy dzień...
O każdą daną Nam przez Boga godzinę, minutę, sekundę...
Że Życie jest darem, danym każdemu z Nas osobno,
indywidualnie, неповtarzalnie...

Że można nauczyć się na nowo akceptować siebie, nie bać się uczuć, ludzi, słów...

„Kruchość Porcelany” sprawiłam sobie sama, jako prezent pod choinkę...

Wcale nie miałam w planach dzień przed Wigilią szwendać się po galeriach, centrach handlowych, a tym bardziej w żadnych planach nie przewidziałam wizyty w księgarni... Pierwszą Pani powieść wygrałam w konkursie ogłoszonym przez portal Kobieta Być. „7 kolorów tęczy” czytałam, czytałam, czytałam i nie mogłam przestać... ani toaleta, ani kuchnia nie były w stanie przerwać mojego zagłębienia w Pani słowa...

Ale przyznaję, że to właśnie ta „Kruchość Porcelany” pochłonęła całą mnie, tak od czubka głowy po kraniec najmniejszego palca u mojej lewej stopy...

I uwierzyłam, a już od dawien dawna nie potrafiłam uwierzyć, tak czysto, spontanicznie i lekko...

Uwierzyłam, że można...

Że Ja mogę...

Że mogę wygrać, ze sobą, ze swoją chorobą...

Że warto grać o nowe Życie...

Na moich barkach ciąży ciężka depresja i pozostałości w psychice związane z przeszłościowym schematem anoreksji...

I czytając Panią uwierzyłam...

Bo skoro Bóg był ze mną, przy mnie, od zawsze...
Był.
I jest do tej pory...
Dzięki Pani poczułam na nowo Jego siłę, Jego obecność,
Jego zaufanie
w moją osobę...
Dziękuję Pani za tą Nadzieję, za SIŁĘ, za poczucie
akceptacji...
Jeżeli Pani pozwoli, to będę pisała...
Ściskam Panią bardzo serdecznie, tak mocno, jak tylko
potrafię...
Płacząc dziś, już nie boję się tych łez, bo chociaż są
gorzkie, to są prawdziwe, są moje, są jedyne i
niepowtarzalne... A nie potrafiłam płakać przez jakiś czas....
Dziś boję się mniej nieznannej Przyszłości...
Bo wierzę, że horyzontalne okno Jutra - być może nie
będzie tak przejrzyste, jakbyśmy tego chcieli, ale staje się
Szansą...
Szansą na coś nowego, coś lepszego, coś
nadzwyczajnego...
I w końcu mam ochotę na to Życie...
Na jego smak, kolor, zapach i wygląd...
Dziękuję raz jeszcze.
Zakochana do szpiku kości w Pani przekazie literacko -
twórczym...
Madelayn

Dzień Dobry Pani Moniko!

Tydzień temu wpadła mi w ręce Pani książka „Siedem kolorów tęczy” (pożyczyłam w bibliotece). Prosi w niej Pani czytelnika, by wyraził swoją opinię, jeśli książka się spodobała, pisząc do Pani e - mail - co też czynię. Co prawda jestem dopiero na 209 stronie, ale czytając początkowe strony

stwierdziłam, że napisała Pani dokładnie moją historię, a raczej to, co wydarzyło się w moim życiu 5 tygodni temu. Opowiem to Pani, bo czuję, że Pani mnie zrozumie i muszę to komuś powiedzieć, bo zwariuję, a przyznam się szczerze, że liczę na Pani radę, co robić, jak się zachować, bo jestem w całkowitej kropce.

Trzydzieści lat temu będąc w szkole średniej (a mam 28 lat) poznałam fajnego chłopaka, po kilku miesiącach kontakt się urwał. Dwa lata temu znalazłam go w gronie znajomych kolegi na „naszej - klasie” - zaprosiłam go do grona swoich znajomych. Wymieniliśmy się numerami komórek, gadu - gadu, e-mailami, ale nie utrzymywaliśmy zażyłych kontaktów, aż do dnia, gdy przypadkiem spotkaliśmy się pod jednym z hipermarketów. To on mnie pierwszy zaczepił i rozpoznał. Od tego dnia zaczęliśmy rozmawiać o wszystkim i o niczym na GG. Wspomnę, że on ma żonę, a ja męża. Tak jak wcześniej napisałam tylko (podkreślam) rozmawialiśmy - a nie ukrywam, że rozmawialiśmy o wszystkim - tak, jak Pani bohaterowie w „listach do Niego i do mnie”. O tych naszych rozmowach nie wiedział mój mąż, bo i po co (i tu napiszę, że jestem przebiegła i miałam go w kontaktach pod zmyślnym nazwiskiem kobiecym), a jego żona się dowiedziała się o naszym pisaniu właśnie pięć tygodni temu, kiedy to napisałam do niego wiadomość na GG, że dobrze mi się z nim rozmawia i cieszę się, że go spotkałam przez przypadek, a ona ją przeczytała. Przysłał mi esemesa, że mam do niego nie pisać, nie dzwonić, nie odzywać się, zniknąć, a jak cała sprawa się uspokoi, to się odezwie. Kiedy się odezwie? To może przecież trwać wieczność?! Nie mogłam tego zrozumieć (choć wiem, że co nam pisane, to nas nie ominie). Dlaczego? Przecież chyba można rozmawiać z drugim człowiekiem? Napomknę, że w swojej rodzinie miałam taki przypadek, że mąż żonie nie pozwalał z nikim spotkanym rozmawiać (z

kobietami, a z mężczyznami szczególnie, bo każdy był potencjalnym kochankiem - to było chore!!!). Przecież nie można być o kogoś tak zazdrosnym, żeby zabronić mu rozmawiania z innym człowiekiem? To się nazywa ubezwłasnowolnieniem drugiego. Czy może można (jak już zajdzie taka sytuacja, jak odkrycie przez współmałżonka rozmów z inną osobą)? I od tego dnia nie mam z nim żadnego kontaktu - nie odpisuje do mnie na GG (zablokował mnie), na Tlenie też zablokował, usunął się z „naszej - klasy”, moich telefonów nie odbiera. No, może nie do końca, bo owszem na drugi dzień po tym zajściu, dzwoniłam do niego i chciałam na ten temat porozmawiać, wyjaśnić to, co się zdarzyło (ale po kilku dniach przemyślenia sprawy, zaczęłam się zastanawiać co ja powinnam z nim wyjaśniać?), ale nie odbierał telefonu. Tak, jak Pani bohaterka Aśka przeżyłam dokładnie taką samą historię (tylko z tą różnicą, że my nie zostaliśmy kochankami - a Pani bohaterkę łączyły sprawy łóżkowe z partnerem). Ona przynajmniej miała możliwość porozmawiania z nim (oczywiście fikcyjnie, bo nie myślę, że ta historia wydarzyła się naprawdę), a ja niestety, nie. Ta sprawa (brak kontaktu z nim, pisanie, rozmawianie tak jak dawniej) męczy mnie jak diabli i boli. Pytam siebie, dlaczego tak się zachowuje? Dlaczego mi tak zależy na kontakcie z nim? Tym bardziej, że okazało się jakim jest draniem - nie chcę tu uogólniać, ale draniem jak większość facetów. Po dwóch tygodniach ciszy napisałam do niego esemesa z zapytaniem, jak długo będzie tak milczał i mnie olewał, jak się zachowa jak znowu przez przypadek spotkamy się na ulicy - odwróci głowę w drugą stronę? Ale oczywiście nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Nawet myślałam, że zmienił numer komórki, ale wiem, że tego nie zrobił (sprawdziłam to). Co mam robić? Jak się zachowywać? Czy na zbliżające się Święta Bożego Narodzenia wysłać mu życzenia? Dlaczego to tak boli i

dlaczego mi tak zależy? Nie potrafię sobie tego racjonalnie wyjaśnić. Czy całkowicie wyrzucić go z pamięci? Wiem, że się nie uda, ale z upływem czasu (jaki minął od całej tej sytuacji) widzę, że podchodzę już do tej sprawy z lekkim dystansem. Jestem ciekawa, czy na dalszych stronach książki będzie jakieś rozwiązanie tej sytuacji.

Pozdrawiam, Katarzyna.

P.S. A książka jest naprawdę świetna - muszę ją sobie kupić. A jeśli nasuną mi się jakieś przemyślenia to jeszcze napiszę - bądź jak się sprawa „z tym typkiem” rozwiązała.

Witam, Pani Moniko.

Mam tak dużo do napisania Pani, iż w jednym liście nie jestem w stanie wszystkiego zamieścić.

Przed chwilą odkryłam Pani stronę i bardzo dziękuję za coś tak zjawiskowego, wymownego i po prostu pięknego.

Szukałam w internecie informacji na temat książki, którą czytałam 18 lat temu, nie pamiętałam tytułu, nazwiska autorki, doskonale pamiętałam treść i bardzo chciałam jeszcze raz książkę przeczytać. W bibliotece nie mogli mi pomóc, w internecie na jakimś blogu ktoś umieścił słowa wpisane przeze mnie jako kluczowe (imiona trzech bohaterek Ewa, Magda, Ania) obok Pani nazwiska, ucieszyłam się, że znalazłam. Jednak jestem przekonana, że to nie Pani napisała książkę, którą czytałam 18 lat temu - Pani rocznik mimo, że najlepszy (informacja z Pani strony www) nie pozwoliłby na opublikowanie w latach 80 - tych poszukiwanej przeze mnie książki. Zmysłowe zdjęcia potwierdzają moje przypuszczenia. Wiem, że jutro pobiegnę szukać Pani książek, ale może jest w stanie mi Pani pomóc - czytała Pani dużo książek, może wie Pani, jaki jest tytuł tej, której ja szukam?

Bohaterki chodzą do LO (oczywiście w Polsce, Ewa jest córką architekta, Ania ma chorą matkę i dom młodszego

rodzeństwa na głowie, a Magda po omacku poszukuje swojego miejsca raniąc wszystko co się rusza w pobliżu niej).

Pani Moniko, będę zaszczycona, jeżeli odpisze mi Pani. Ja z przyjemnością zaczytam się w Pani stronie i książkach. Jeżeli chciałaby Pani wiedzieć coś o swojej nowej czytelniczce - to również skończyłam UŁ, również mam córkę, również uwielbiam patrzeć na palące się świece i kominek (właśnie grzejemy pierwszy raz od zimy) i czytać - dobre filmy - widziała Pani „Senność”, polski film z 2008 r.? Bimbru wprawdzie nie robimy, ale mamy swoje wyroby w postaci wina, piwa, koncentratu pomidorowego i powideł śliwkowych. Jak mieliśmy więcej czasu w elektrycznym piecyku dla przyjemności i zapachu piekliśmy chleb, smalec w lodówce zachęca do smarowania.

Pozdrawiam serdecznie

Magdalena Anioł (rocznik też dobry - może nawet ten sam co Pani).

Droga Pani Moniko,

piszę do Pani w obliczu mojej przegranej... pisałam również w zeszłym roku, w obliczu, wydawałoby się mojej największej wygranej, czyli dostania się na upragnione studia medyczne, na wydział lekarski... jakim to wielkim marzeniem dla mnie było, jakim wielkim spełnieniem, jakim wielkim szczęściem... dzisiaj piszę, bo z powodu nie zaliczenia przedmiotu chemia medyczna, nie udało mi się dostać na drugi rok... oczywiście, że nie przestanę walczyć, na pewno nie... wywalczę ten zawód, bo czuję, że innego nie byłabym po prostu w stanie wykonywać... i owszem, właśnie przy butelce wina rozpakowałam moje rzeczy, wszystkie książki przywiezione z Katowic, dokładnie 5 dni po mojej porażce... wszystkie te, nad którymi z wysiłkiem siedziałam nocami, kończyła górna, dolna, głowa i szyja... z wysiłkiem, a

jednocześnie, poczuciem buntu, dlaczego muszę nagle podporządkować się czemuś tak bez reszty? Poddać często wielkiej niesprawiedliwości wykładowców i asystentów, którzy z nas, przyszłych lekarzy chcą uczynić bezuczuciowych cyborgów. I właśnie ten bunt mnie zgubił, w pewnym momencie na pewno. Ale podobno, Pani Moniko, nic nie dzieje się bez przyczyny... podobno. Ja się nie poddam. Nigdy.

Mam 21 lat. Dopiero. Aż. Na domiar złego, albo i dobrego, zakochana w 32 letnim mężczyźnie. Od 1,5 roku. A on? dokładnie 1,5 roku temu, w dniu, w którym poznał mnie przypadkiem, wręcz mimochodem, wyprowadzał swoją narzeczoną z domu po 11 latach związku. Właśnie w tym dniu go poznałam, czy można sobie wymarzyć gorszą porę...? I, Pani Moniko, on nie wierzył w nic, ani w wielką miłość, którą miał już za sobą, wielką namiętność, którą przeżył z tamtą kobietą... w nic nie wierzył, w nic. A ja... Pani Moniko, przecież łatwo się domyślić... wymyśliłam sobie, że go uratuję. Ja... wtedy, jeszcze głupia 19 - latka z marzeniami. Bo... on miał takie smutne oczy. Pan mecenas, adwokat, u progu kariery, pracoholik, a ja tak bardzo chciałam, żeby on znów uwierzył. Ta historia mogła mieć tysiąc scenariuszy, a po 1,5 roku nadal trwa i ja nadal nie wiem, jak mam w tym trwać... Jednak, mimo wszystko, wierzę w przeznaczenie. Mocno. Bardzo. Bo w coś trzeba wierzyć.

Uwielbiam czytać Pani książki, ale tu nie chodzi o ten zwykły rodzaj czytania, w którym, kiedy dochodzi się do ostatniej strony, odkłada się książkę na półkę. Ja wracam do tych stron, bo kiedy po rozmowie z Panem 32, opadam z sił, i tak najzwyczajniej w świecie, tak po nastoletkowemu, po kobiecemu, popadam w szloch, czytanie Pani słów daje mi ukojenie. I w wielu innych sytuacjach również.

Niech Pani pisze zatem dalej, Pani Moniko, bo jest tak, że być może może być lepiej, ale ja teraz nie sędzę, żeby mogło, bo już jest najlepiej. A mimo to z każdą nową Pani książką jest lepiej, bo inaczej, bo na nowo.

Życzę Pani dużo siły, nadal tak pięknych myśli i słów w głowie, natchnienia, miłości...

Natalia Podsiadły

Hey, Moniko!

Przepraszam, że tak mało oficjalnie i bez per „pani”, ale będzie mi łatwiej.

Piszę, bo jestem świeżo po przeczytaniu Twojej książki „7 kolorów tęczy” i muszę powiedzieć, że widzę w niej biblię, świętą księgę dla swojego życia, dla swojej aktualnej pozycji, a ta nie jest za ciekawa... Nie wiem, co tak naprawdę chcę napisać, chcę natomiast byś wiedziała, że zapewne wrócę do tej lektury, chciałabym jej nauczyć się na pamięć... Jest ona dla mnie podporą... Dziś skończyłam ją czytać, po dwóch dniach amoku, płakałam, śmiałam się, wzruszałam, robiłam przerwy na refleksję...

Mam niespełna 19 lat, ale przeżyłam kawał ciężkiego życia, które wydawało mi się, że już przegrałam. Mam roczną córeczkę, mieszkam z rodzicami, nie mam męża, a moja miłość jest w Anglii, zakochałam się przez internet i potrzeba mi wiary, by przetrwać, siły, by na nowo odzyskać swoje życie, jeśli chcę zobaczyć Emila.

Jestem po trzech próbach samobójczych, nie należę do optymistek, ale mam wielką siłę, by to zmienić. Twoja książka mi w tym pomoże, już poniekąd pomogła. Dziękuję Ci.

Przepraszam za te dziwne, ale ważne dla mnie słowa. Ciężko mi opisać to, co chciałabym Ci przekazać.

Droga Moniko

Muszę przyznać, że Twój mail sprawił mi ogromną radość. Nie spodziewałam się, że mogłam Cię wzruszyć tym, co napisałam, ale to pewnie dlatego, że jednym tchem wszystkie swoje myśli wystukałam na klawiaturze. A szczerść zawsze wywołuje emocje... tak myślę.

Dziękuję Ci za słowa otuchy, za ciepło emanujące z każdej linijki tekstu, za szczerść i zaufanie.

Bardzo chętnie skorzystam z możliwości pisania do Ciebie :).

Sporo myślałam o tym, co mi napisałaś, że w każdym związku tylko na początku jest romantycznie, namiętnie, masz absolutną rację. Ostatnio wróciłam do książki Janusza L. Wiśniewskiego: „Czy mężczyźni są światu potrzebni?” Książka ta wywołała kiedyś u mnie niesamowicie skrajne emocje. Najbardziej poruszyła mnie naukowa precyzja i pełen obiektywizm autora, i to, że ma absolutną rację pisząc, iż mężczyźni po prostu potrzebują różnorodności we wszystkim i niestety już tacy są że nie ważne, z jaką kobietą są związani (choćby to była Angelina Jolie) i tak będą pragnąć innych kobiet, nie muszą być one ładniejsze, młodsze, ważne, żeby były inne. Bardzo długo nie mogłam się z tym pogodzić.

Dopiero teraz, kiedy jestem sama i za sprawą pewnej bardzo cennej dla mnie książki Garrego Chapmana: „Małżeństwo - kontrakt czy przymierze”, uświadomiłam sobie, że źle robiłam próbując zmieniać swojego narzeczonego, my kobiety tak już mamy, że chcemy zmieniać, „poprawiać” naszych wybranków.

Dziś wiem, że jeśli kogoś kochamy, to musimy pozwolić być sobą naszej połowie. Akceptacja zalet i wad to podstawa związku. Ja nie potrafię chyba do końca zaakceptować tej specyficznej natury mężczyzn, tego, że niestety ich uczucia i namiętność mają krótki czas „połowicznego rozpadu”. Być

może przyjdzie taki moment, że to w pełni zaakceptuję i będę się cieszyć miłością jakiegoś mężczyzny. Dziś nie potrafię...

Monisiu, pomóż. Czy do natury mężczyzn można się przyzwyczaić?

Czy można tak po prostu przejść do porządku dziennego i jednocześnie zaakceptować to, jacy są, mając świadomość, że wkrótce to nie o nas będą marzyć i nie nas pożądać??

Potrzebuję jakiejś inspiracji, żeby zgłębić ten temat, bo czuję, że wewnętrznie się buntuję przed powiedzeniem sobie: „mężczyźni tacy już są”.

Dziękuję Ci za cierpliwość, ogromną dozę życzliwości i szczerości.

Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie i ściskam Cię mocno.

L.

Dzień dobry,

przeczytałam książkę i piszę, że dała pani radę i to bardzo dała pani radę.

Ta książka wciąga jak narkotyk. Pomysł na dwa opowiadania w jednej książce jest rewelacyjny. Oba są bardzo wzruszające i skłaniają do refleksji. Kilka zabawnych wątków. Jednym słowem super. Już ją pożyczyłam koleżance, bo po moich relacjach powiedziała, że też musi ją przeczytać, a ja muszę zdobyć poprzednie i czekam z niecierpliwością na kolejne.

Dziękuję za Pani książki, za to że pomagają się oderwać od rzeczywistości, za życiowość sytuacji w nich opisywanych - po „Mimo wszystko” sięgnęłam przypadkiem na jednym z moich życiowych zakrętów. Od tego się zaczęło i trwa nadal. Po prostu dziękuję.

Pozdrawiam bardzo ciepło

Monika.

Nie mam wielkich tajemnic. Podążam swoją drogą i staram się nią kroczyć z godnością. To droga kogoś, kto szuka miłości.

Paulo Coelho

Kochani!

Tradycyjnie już, troszkę dla Was ode mnie. Wiem, że idziemy tą samą drogą, choć różnymi ścieżkami. Ale cel jest jeden.

Powodzenia.

Monika Sawicka

OPOWIADANIA

MAGDALENA MIKOŁAJCZAK O (NIE)WIERNOŚCI NAIWNEJ...

Można by rzec, że na pamięć, z dokładnością, co do minuty, z rozeznaniem na dzień powszedni, weekend, przerwy świąteczne czy noworoczne. Z dokładnością co do miejsca odjazdu, miejsca przyjazdu, z wykutą na blachę całą linią przejazdową. Wiedząc, że od tego miejsca do tego to tylko minuta, ale już trochę dalej, w pobliżu centrum, przy nagromadzonych czerwonych światłach i natłoku ludzi przy przejściach dla pieszych, to tak z dwie minuty trzeba dołożyć. W czasie popołudniowego szczytu, albo w sobotnie przedpołudnia to jeszcze jedna minuta dodatkowo. Bo każdy z zakupami, wpychając się do zatłoczonego pojazdu, pragnie zdążyć, dotrzeć na czas...

Właśnie na czas...

Więc z tak wyuczonym schematem przejazdowym, zawsze to Ona pojawiała się tam pierwsza... Jak małe naiwne dziecko, które boi się, że prześpi całą grudniową noc z 5 na 6 i św. Mikołaj o nim zapomni. Bo zasnęło i nie czekało.

Więc z tak ogromnym wyczekiwaniem, zawsze zjawiała się przed czasem. Czekając. Czekwała na ten przyjemny widok, kiedy to On zjawiał się i szedł w jej kierunku. I nieważne było to, czy był na czas idealny, czy też spóźnił się chociaż chwilkę. Bo przecież nikt inny tam właśnie czekać nie mógł. Nie tam, nie w tym miejscu, nie o tej godzinie, nie na tego samego człowieka. Nikt i nic.

Nie wyobrażała sobie, by spóźnić się chociaż o złamaną mini - milisekundę. Bo to ona miała czekać, czuć zbliżającą się w jej kierunku jego osobę. Uwielbiała tak patrzeć. I wówczas i czas, i miejsce, i pogoda nie miały znaczenia. Wartość słowa „być” przyćmiewało wszystko, co ważne i istotne było do tej pory. Do tego spotkania.

W tak ogromnie znieczulającym oczekiwaniu, kreśliła we własnej wyobraźni obraz spotkania z Nim. W myślach konsumując jego emocje, uczucia, słowa, wyrażenia. Pragnęła z jeszcze większą mocą słuchać, żywić się tym, co opowiadał. Przez barierę powietrza, w swojej głowie, dotykała go, przytulała. I w ten sposób na pamięć znała też jego wszystkie możliwe reakcje. Wyprzedzając o mini - minutę jego ruchy, działania. Wiedziała, na co zadziałają jego źrenice. Kiedy się rozszerzają, a kiedy kurczą. Wiedziała, dzięki czemu zmienia się jego mimika twarzy. Bo i Jego twarz też znała na pamięć. I chociaż jej nie dotykał, to ona doskonale znała dotyk jego skóry, jego rąk, szyi, uszu, karku. Na pamięć znała zapach jego osoby. Z rozróżnieniem na porę dnia, ewentualny wysiłek fizyczny, temperaturę powietrza. Wszystko znała na pamięć. W myślach powtarzała rozmowy, zapamiętując jego zdania, pytania i odpowiedzi. Wiedziała, kiedy jego ton głosu zacznie słabnąć, a kiedy zacznie się podnosić. Wyuczyła się rytmy jego szeptu słownego. Pamiętała, ile razy w trakcie jednej wypowiedzi mruży oczami, składa i rozkłada dłonie. Wszystko to znała na pamięć.

Przez lata nauki, była w stanie przewidzieć, kiedy go usłyszy, kiedy zadzwoni, o co zapyta na początku i co odpowie na końcu.

Na pamięć znała zapewnienia, obietnice. Na pamięć też znała jego schematy myślowe. Wiedziała, o co pytać, a jakie kwestie lepiej omijać.

Na pamięć znała jego odpowiedzi. Nie zmieniały się przez lata. Szerokim łukiem należało omijać dziedziny odczuć wewnętrznych. Bo ona dla Niego była człowiekiem bez jakiegokolwiek sfery emocjonalno-intelektualno-odczuciowej. Uczuć brak. Pragnień brak. Marzeń brak. Prośb brak.

Bo ona po prostu miała być. Jako ten ktoś, kto po prostu jest. Jest i nic więcej. Żadnych wspólnych odczuć

wzajemnych. To takie bycie, jak niebycie. Bycie w mniemaniu samo - wystarczającym.

I ona, znając na pamięć to, co jej wolno, a co zabronione, z wewnętrznym sercem biciem, po postu była. Nieobecna prawdziwość skutków zdarzeniowych.

Dla niego, dla jego potrzeby wygadania się. Była tuż obok, przy zachowaniu odpowiedniej granicy bliskości. Słuchała. Nie pytając, nie wyrażając własnego zdania. Zabijając w sobie pragnienia. Tłumiąc marzenia. Dusząc uczucia i emocje. Rozgraniczając zakazaną sferę intymności. Będąc dostępną tak zewnętrznie. Widocznie.

Ona miała tylko po prostu być. Znieczulona na wszystko dookoła, znieczulona na to, co może zboleć, co może zechce wyjść po za nią. Znieczuleniowa narkoza dla odczuć własnych. Bez możliwości transfuzji emocjonalnej.

W uproszczeniu, bez dodatkowego znaczenia, bez jakiegokolwiek interpretacji dla takiego właśnie „bycia”.

Z wyuczoną na pamięć wiernością do takiego stanu istnienia, funkcjonowania, egzystowania. Z naiwnym postrzeganiem i oczekiwaniem na kolejne spotkanie. Bez możliwości zaaplikowania czegokolwiek na to bycie w niebyciu zarazem.

Wykasowana wewnętrznie z chęci do zmiany na cokolwiek.

Do Wczoraj. Istniała we własnej głuchocie uczuciowej.

Zasnęła. W nocnym szepcie, słysząc głos i ton jego wypowiedzi, czując niewygodność fotela w tej samej kawiarni, w której od lat ugaszone miała swoje uczucia, patrząc na Niego, obserwując i słuchając.

Zasnęła wychłodzona. Zmarznięty do szpiku kości element jej intymności emocjonalnej.

Bez potrzeby na zapamiętywanie tego chłodu, tej samotności, tej wędrówki do nikąd.

Zasnęła przemęczona nauką życia na pamięć.

Zasnęła.

Tam, gdzie zasnęła, umysł jej będzie mógł w końcu odpocząć. Tam życia nie ma na pamięć. Tam życie bez pamięci kończy się i zaczyna.

Tam życie nie stawia przed sobą tak ogromnych wymagań i oczekiwań.

Na cokolwiek. Gdziekolwiek. Z kimkolwiek.

Już nigdy. I po nigdy jeszcze jeden krok dalej...

Zaciskając w swej wychłodzonej dłoni opakowanie po recepturze na długowieczny sen bezpamięciowy...

MAJA WESOŁOWSKA

PADLINA

Wczoraj postanowiłam tam pójść. Codziennie przechodziła obok tych schodów. Dziś stała przed nimi z powziętą decyzją, która rosła w niej od lat. Spojrzała na błyszczącą tabliczkę: „Dr Robert S. Psycholog”. Już dawno powinnam była to zrobić. Tylko marnowałam czas, noce na proszkach, dni na kacu. Mamo, dobrze, że nie wiedziałaś. O tym też nie wiesz. Postawiła nogę na pierwszym kamiennym schodku, po którym spływał deszcz. Weszła pewnie. Gzy jest pani umówiona? Tak. Zdjęła mokry płaszcz. Proszę, doktor czeka. Na jej widok wstał z fotela i wyciągnął rękę. Była chłodna jak dzisiejszy dzień. Proszę mi pomóc. Jeśli najpierw dowiem się, w czym, odparł, łagodnie się uśmiechając. Wyjęła z torebki paczkę papierosów i zapaliła jednego. Hm. Przepraszam. Jestem zdenerwowana. Nie tak łatwo jest się otworzyć przed kimś obcym, ale jak długo można zwierzać się sobie samej? Potłukłam już wszystkie lustra w domu. Zauważyłem. Pani ręka. Uśmiechnęła się prawie niewidocznie. Nie wiem, od czego zacząć. Proszę wziąć głęboki oddech i mówić, początek czy koniec, to bez znaczenia, i tak się kiedyś spotkają. Spojrzała na niego kątem oka. Dla mnie każdy początek oznacza koniec. Wszystkie moje początki zaraz się kończą, urywają, to znaczy, ja je urywam. Mam za sobą trzy nieudane związki. Wszystkie ja zakończyłam. Nie miałam siły. A może ochoty. Nie wiem, czy jest jakaś różnica. Ile ma pani lat? Dwadzieścia pięć. Uważa się pani za atrakcyjną kobietę? Mężczyźni mnie za taką uważają. A pani ich? Myślę, że nie umiem bez nich żyć, ale z nimi także nie. To mnie przeraża. Nie chcę być taka. To znaczy, jaka? Odpychająca. Samowystarczalna. Kiedy jestem z kimś dłuższy czas, przestaje mi być potrzebny. Widzę, że obserwuje mnie cały czas. Nie wiem, czy patrzy na mnie jak

na kretynkę. Ale w końcu jest na swoim terenie. Całkiem nieźle się trzyma jak na swój wiek. Ile pan ma lat? Potrząsnął głową. Pięćdziesiąt sześć. Proszę się nie bać, nie będę pana kokietować. Nie brałem tego pod uwagę. Ale przez chwilę przyszło mi na myśl, że umie pani zawierać znajomości... To czasem może być niebezpieczne. Niech pan nie robi ze mnie idiotki. Ależ nie mam takiego zamiaru. Zupełnie nie rozumiem, skąd u pani taka reakcja. Czy zawsze pani tak reaguje? A co to znaczy: „TAK reaguje”? Żywiołowo, emocjonalnie. Jako dziecko byłam całkiem inna. Wyciszona, spokojna. Do momentu, gdy coś się stało. Coś z pani ojcem? Skąd pan wie? Jestem psychologiem, uśmiechnął się. Moje dzieciństwo było jak z bajki. Gdy o nim myślę, mam przed oczami sielankowe obrazki, twarz rodziców pochylających się nade mną co wieczór. Kim była dla pani matka? Była zawsze dla mnie oparciem. A on... odszedł, gdy miałam kilka lat. Odszedł. Zostawił nas. Mama strasznie to przeżyła. A pani? Na początku też. Potem nauczyłam się obojętności, takiej na pokaz, otoczyłam się skorupą. Ludzie sądzą, że jestem chłodna, nawet zimna. Tak jest mi łatwiej żyć. I uważa pani, że pani problemy z mężczyznami wynikają bezpośrednio z tego faktu? Jestem o tym przekonana! A jaki jest pani stosunek do mężczyzn? Uśmiechnęłam się na te słowa. Pewnie chce usłyszeć, że uważam, iż wszyscy faceci to świnię... Chyba nie sądzi pani, że wszyscy mężczyźni to świnię? Ależ skąd, chociaż niektórym bardzo pasuje ta rola, wręcz są stworzeni do taplania się w błocie. Widzę, że będę miał trudną pacjentkę. Proszę się nie bać, nie zjem pana... Musiałaby pani być hieną żerującą na padlinie. Co pan ma na myśli? Nieważne. No tak, każdy ma coś do ukrycia, prawda, panie Wielce Mądry? Nawet hiena zostawia resztki dla innych, na przykład dla sępów. Aż zostaną kości, dopóki nie zamienią się w proch.

Patrzeć na swoją twarz źle na mnie działa. Nie lubię tego widoku. Z drugiej strony nie mogę się obejść bez lustra, bo nie miałabym kogo nienawidzić. Nie chcę nienawidzić... A może chcę... Sama już nie wiem. Mamo, dlaczego cię nie ma przy mnie? Podobno po śmierci żyjemy nadal, więc może jesteś gdzieś obok? Mam nadzieję, że jesteś ze mnie dumna. Tyle wycierpiałaś przez niego, więcej niż ja. I tylko ja mogę to zmienić, naprawić. Naprawić? Czy tu można jeszcze coś naprawić? Robert wyciąga ze mnie wiele złego, wyskrobuje z zaschniętego dna resztki emocji, na jego seansach zdarza mi się płakać. To się nazywa psychoterapia. Ja mówię o tym „oczyszczanie duszy”. Robert grzebie we mnie jak ginekolog; wyszarpuje ze mnie istotę rzeczy jak wygłodniały pies rzucający się na stary ochłap. Mam wrażenie, że dla niego nie liczy się data ważności, im bardziej mięso jest zepsute i śmierdzące, tym więcej jadu z niego wyciska. A przecież o to chodzi, żeby dać ujście truciznie. On tak uważa i często o tym mówi. On w ogóle za dużo mówi. Dobrze, niech mówi, może w ten sposób też się oczyszcza. Oczyszczenie... Odkupienie...

Chodzi do niego raz w tygodniu, czasem on sam prosi o wizytę poza godzinami. „Żeby ją lepiej poznać”. Tak, zapewne chodzi mu o dogłębne poznanie. Tato, dlaczego odszedłeś, dlaczego nas opuściłeś? „Ojczy, czemuś mnie opuścił?” To ma w sobie coś z metafizyki, ta sama wiara w niego, ta sama wielka miłość, ten sam ból, gdy go zabrakło. Poczulałam się jak samotne Boże Dziecko. Ale moja matka nigdy nie była Pietą. O, nie. Nie pozwoliłaby sobie na łzy na oczach małej córeczki. Ona wolała płakać w samotności, myśląc naiwnie, że ja tego nie widziałam. Widziałam, wszystko, dlatego nienawidzę cię za to, co zrobiłeś mnie i jej. Ale poradzę sobie z tobą, kiedyś mi się to uda. Uda mi się, dzięki Robertowi.

Jest z nim już cztery miesiące. Cztery miesiące, które bołą przy każdym spotkaniu, bołą ręce, głowa, nogi, boli, gdy w nią wchodzi, gdy wkłada jej swój język w jej usta. Tak, to boli, ale to minie. Sama tego chciałam. Obrzydzasz mnie, wiesz? On nie ma o tym pojęcia, ale przecież mu nie powiem, że mnie obrzydza. Poszłam z nim do łóżka kilka tygodni po naszym poznaniu. Jesteś piękna. Co za oryginalny komplement. Umówiła się z nim. Standardowo udana randka, kolacja, szampan, odprowadzenie pod dom. Wejdiesz jeszcze na kieliszek wina? Chętnie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nie miałam. Po stosunku zwymiotowałam w łazience. Wyrzygałam te wszystkie spotkania.

W ciągu tych miesięcy oszalał na moim punkcie. Chce spędzać ze mną każdą wolną chwilę. Czekam, kiedy zaproponuje mi małżeństwo. Kiedyś wspomniał, że chyba by się zabił, gdybym go zostawiła. Czasem mam wrażenie, iż to nie ja potrzebuję psychologa. Nie mogę mu jednak odmówić profesjonalizmu: kupiłam wielkie lustro, w którym mogę przeglądać się w ciuchach, jakimi mnie wciąż rozpieszcza.

Jak się dziś czujesz? Przy tobie zawsze się doskonale czuję, mój kochany. Kretynka. Ale jeszcze parę tygodni, parę dni, a wszystko będzie dobrze.

To chore.

Czy ja ci pomagam? Ależ oczywiście, zanim cię poznałam, byłam całkiem inną kobietą, zagubioną, niepewną. W takim razie dzisiaj porozmawiamy o twojej przyszłości. Dzisiaj porozmawia o jej przyszłości. Czyli o jego przyszłości. Myśli, że ona to on, to jego życie. Sądzisz, że jestem już zdrowa? Myślę, że na pewno jest lepiej, niż gdy pierwszy raz cię zobaczyłem. To brzmi, jak: „Panie, przyjdź do mnie, a będzie uzdrowiona dusza moja”. Mój ty Bogu. Czy Bóg przebacza grzesznikom? Więc powinnam mieć zapewnione miejsce w raju, choćby w ostatnim rzędzie, mogę nawet

wykupić miejsce stojące, aby tylko drzwi tego przybytku zamknęły się za mną, a nie przed moim nosem.

Tego wieczoru nie zastał jej w domu. Nie było ani jej, ani jej rzeczy. Na łóżku leżał list. Otworzył kopertę.

„Drogi Robercie, wiem, że moje zniknięcie będzie dla ciebie wielkim ciosem, ponieważ wiem, jak bardzo mnie pokochałeś. Ale nadszedł czas, abyś zapłacił za swoje błędy. Poświęciłam wiele czasu, żeby cię odnaleźć. Szukałam cię bardzo długo, i znalazłam. Poświęciłam swoje ciało, żebyś myślał, że mnie posiadałeś.

Nie rozpoznałeś mnie.

Chciałabym zobaczyć twoją minę, kiedy się dowiesz, że pieprzyłeś własną córkę.

Powiedz, jak to jest, gdy ma się kogoś najważniejszego w życiu, kogoś, kogo się kocha ponad wszystko i gdy ten ktoś nagle odchodzi. Jak to jest? No jak? Poczuleś to wreszcie? Ja i mama czułyśmy to przez wiele lat. Zadałeś jej tyle bólu, że umarła, bo nie mogła tego znieść. Zabiła się. Nie, nie zabiła, to ty ją zabiłeś.

Pewnie myślisz, że jestem zła, nie mam uczuć. Tak właśnie jest. Jestem gorsza od hieny. Nawet hiena zostawia na padlinie resztki sępom. Ja nic już nikomu nie zostawię. Umarłeś dawno w moich oczach i mam nadzieję, że nigdy w nich nie zmartwychwstaniesz.

Żegnaj, tato."

KATARZYNA KOWALSKA

CZY TO BĘDZIE MIŁOŚĆ MOJEGO ŻYCIA? CZY KOLEJNY ZAWÓD, KTÓRY TAK BARDZO BOLI?

16 stycznia

Dzień jak co dzień, choć był inny od wszystkich z dwóch powodów.

W pracy dostałam ostatnią szansę, kierowniczka stanowczo powiedziała: „Weź się, dziewczyno, w garść. Jeżeli nie zaczniesz normalnie funkcjonować, nie zaczniesz wykonywać dobrze swojej pracy, to, niestety, będziemy musieli szukać kogoś innego na twoje miejsce.”

Wyszłam z zaplecza na sklep i zaczęłam myśleć: „I co ja mam teraz zrobić? Dla nich nie będzie wytłumaczeniem, że mam problemy rodzinne, muszę znaleźć jakieś rozwiązanie, nie mogę teraz stracić pracy, bo nie będę miała za co zapłacić rachunków, umowę mam do maja, a jeżeli szef mnie zwolni, nie dostanę zasiłku. Morąg jest małym miastem i ciężko będzie mi znaleźć nową pracę ze świadectwem pracy, na którym zostanie napisane, że zostałam zwolniona.”

Poszłam na kasę i przestałam już o tym myśleć, bo mogę się pomylić obsługując klientów. Wybiła godzina czternasta. Czas do domu, dzięki Bogu... Wróciłam do domu strasznie zmęczona, nic nie jadłam, nie chciało mi się z nikim gadać, położyłam się. Chciałam usnąć, ale jak można usnąć, gdy w pokoju znajdowali się moi bracia, grali na komputerze. Co ja mam zrobić? Jak będzie tak dalej, to ja w tym domu nie wytrzymam, bo problemy, które mam, są właśnie przez to, że tu jestem. Muszę zacząć sobie szukać taniej stancji z małym pokoikiem, ale dziś nie mam na to sił, zacznę od jutra.

Mijały godziny. Wszyscy już spali, a ja nie mogłam usnąć, czarne myśli zaczęły atakować mój umysł, raptownie do głowy przyszedł mi szalony pomysł. Mój brat jest chory na schizofrenię. W segmencie w kuchni znajdują się jego

tabletki. Poszłam do kuchni, otworzyłam szafkę, były, całe cztery opakowania w każdym po 40 sztuk, razem 160 tabletek. Końska dawka, taka dawka wystarczyłaby, aby odejść z tego świata szybko i w miarę bezboleśnie.

Jestem jeszcze młoda, los przynosi mi same porażki, nic mnie jeszcze dobrego nie spotkało, poszłam do zawodówki, a mogłam iść do liceum, tylko pomyślałam sobie tak: mamy nie stać, żeby dać mi na jakieś fajne ciuchy, na kosmetyki, zawsze zazdrościłam koleżankom z klasy, że je mają, fajne się ubierają, ale tłumaczyłam sobie tym, że mam jeszcze czwórkę braci i mama nie może wydawać tylko na mnie pieniędzy. Poza tym nie miałabym fizycznie normalnych warunków do nauki. Dlatego złożyłam papiery tylko do zawodówki, mamie nie powiedziałam, że psycholog, z którym mieliśmy testy na koniec gimnazjum powiedział, że mogę spokojnie składać papiery do liceum. Może to też tak, że nie wierzyłam w swoje możliwości, dlatego że w gimnazjum jechałam na samych dwójkach. Dwa małe pokoiki na sześć osób, w tym maluchy: jeden trzyletni drugi sześciolatek, zero skupienia, bo jak można się skupić, gdy ma się ojca alkoholika, który codziennie jest pijany i wydziera się wtedy cały czas. Nie miałam żadnej motywacji ani chęci do tego, żeby się uczyć, zawsze sobie głupio powtarzałam: po co mam nad tym siedzieć, jak i tak się tego nie nauczę, tylko dziwiło mnie to, że dostawałam jedynek z prac klasowych lub odpowiedzi i wtedy byłam w stanie się nauczyć na piątkę, kiedy musiałam ją poprawić. Tylko wtedy musiałam schodzić do suszarni, tam stało stare jak świat łóżko. Mój braciszek też często z niego korzystał, gdy musiał się czegoś nauczyć. I tam się uczyłam. Poszłam do zawodówki po to tylko, żeby mieć swoje pieniądze, bo chciałam odciążyć swoją mamę, bo ciężko jej było wychować samej piątkę dzieci, troje dorastających i dwójkę maluszków. Mam wspaniałą mamę. Zawsze dba o to,

żebyśmy chodzili schludnie, ale czysto ubrani. Podziwiam ją za to, że przez tyle lat nie wpadła w żadną depresję, żyjąc w takich warunkach. Mama nie poddaje się, bo ma cel: swoje dzieci, które są dla niej wszystkim. Ile razy słyszałam od obcych i pseudo przyjaciół, że pochodzę z domu, w którym jest sama patologia. Ale ja miałam to gdzieś, bo wiem, że tak nie jest, moja mama nie pije i za to też ją podziwiam i szanuję. A ojciec nie może psuć swoim zachowaniem naszego wizerunku kochającej się rodziny. A ludzie są tylko ludźmi i różne rzeczy gadają... tylko to bardzo boli i źle wpływa na nasze nieprzemyślane czyny.

Udało mi się. Zaczęłam praktyki w sklepie. Od lipca cały miesiąc pracowałam, a drugi miałam wolny. Dostałam we wrześniu osiemdziesiąt dziewięć złotych. Rozczarowałam się troszkę, bo pomyślałam, jak mi ma to starczyć na cały miesiąc, zdobyłam się na odwagę i poszłam do szefa, poprosić go, bym mogła przychodzić w soboty sobie dorabiać, od razu się zgodził... Byłam szczęśliwa, że będę miała więcej kasy. Razem miesięcznie miałam dwieście osiemdziesiąt dziewięć złotych, starczało mi na moje wydatki, stawałam się samodzielną, cieszyłam się, że od mamy nie będę musiała brać kasy i postawiłam sobie cel, że skończę tą szkołę na dobrych stopniach, bo przecież uczę się sama dla siebie, a nie dla innych. Powiedziałam o tym koleżankom, ale mnie wyśmiały: ty zawsze tak mówiłaś, a na samych dwójkach leciałaś.

Rozżalona poszłam do domu, puściłam sobie piosenkę Szymona Wydry. Jego słowa dały mi motywację, nasze życie jest jak poemat tylko trzeba znaleźć dobry temat. Trzeba się odnaleźć w każdej chwili, starać się ze wszystkich sił, żeby coś osiągnąć w życiu i tak właśnie postanowiłam. Pokażę im, że stać mnie na dobre oceny i tak zaczęłam realizować swoje zamiary. Przestałam wychodzić z domu, bo miałam dużo prac z przedmiotów zawodowych, no i w ogólnie dużo zaległej

nauki. Nawet dla swojego chłopaka nie miałam czasu, spotykałam się z nim raz w tygodniu, albo co dwa tygodnie. Byłam tak zajęta nadrabianiem zaległości szkolnych, że nawet nie miałam czasu o nim myśleć.

I udało mi się... koniec pierwszej klasy przyniósł dobre oceny, wzorowe zachowanie i niespodziankę. Byłam w szoku, bo wychowawczynie kazała nam przyjść na zakończenie roku z rodzicami. No, dobra, dałam mamie zaproszenie i poszła ze mną do domu kultury. A tam jak zwykle nudny apel. Pani dyrektor zanudzała informacjami, poszłam więc z koleżanką na papierosa, już kończyłyśmy palić, gdy przybiegł nasz kolega i krzyczy: Kaśka chodź szybko! Zdziwiłam się, o co mu chodzi, ale pobiegłam i ku memu zdziwieniu usłyszałam: zapraszamy Katarzynę... Nogi zrobiły mi się jak z waty, myślałam, że zaraz się przewrócę, idąc po schodach, raptownie odwróciłam głowę w stronę mojej kochanej mamy, a ona płakała ze szczęścia. Tak mnie to uradowało, że moja mama jest ze mnie dumna. Poszłam na scenę, dostałam dyplom za najwyższą średnią klasową i za wzorowe zachowanie. Byłam tak szczęśliwa, że moje marzenia się spełniły i pomyślałam, że jeżeli się czegoś bardzo pragnie, to los wtedy sprzyja. Powoli zaczęłam kochać życie, bo życie jest piękne, tylko trzeba umieć z niego korzystać. Miałam chwile wzlotów i upadków, niejednokrotnie miałam chęć się podać, bo sytuacja domowa nie pozwalała mi na normalne życie...

Wakacje szybko minęły i nadszedł wrzesień, zaczęłam nowy rok szkolny, ale zanim się obejrzałam, on znowu zleciał, a ja znów skończyłam szkołę z dyplomem. Byłam dumna sama z siebie, ale zaczęłam żałować, że nie poszłam do liceum. Moje wcześniejsze myślenie było błędne, przecież jak już dawno wiadomo, to nie szata zdoła człowieka i nie powinno się oceniać człowieka za wygląd, za ubiór. Trzeba

dać mu szansę się otworzyć z każdej strony, pokazać swoje prawdziwe ja. Wiem, że nie miałabym może drogich ciuchów, czy oryginalnych, ale zawsze byłyby czyste. Właśnie tak mogłam zrobić: iść do wyższej szkoły, ale człowiek uczy się na własnych błędach...

Zostałam po praktykach na stażu i podjęłam pracę. Tak mijały dni, miesiące, lata. Mój staż w sklepie wynosił cztery i pół roku. Gdy sięgałam po te kuszące tabletki, miałam dylemat: wziąć je, czy szukać innego rozwiązania? Myślę, że jest to zbyt proste, a ja nie jestem chyba taka słaba. Dobra, dam sobie jeszcze tylko jeden dzień i zobaczę, co on mi przyniesie.

Odłożyłam tabletki na miejsce, żeby nikt się nie zorientował, że je ruszałam, poszłam się położyć. W końcu usnęłam nawet nie wiem kiedy, ale to nie trwało długo. Przyśnił mi się mój pogrzeb, a na nim pełno ludzi, którzy rozpaczali i przed oczami zobaczyłam swoją mamę, która była zalana łzami. Śniła mi się też szkoła, o której cały czas marzę, widziałam wyraźne rysy papieża i że jest ktoś w oddali, kto na mnie czeka. Obudziłam się zrana potem i powiedziałam sobie, że nie zrobię tego, będę szukać rozwiązania w inny sposób. Gdybym to zrobiła, byłabym egoistką, bo poddałabym się w tak brutalny sposób, myślałabym tylko o sobie, a gdzie rodzina? Mama, bracia, mój najmłodszy braciszek, bo to ja mu daję drugą miłość rodzica. Ojciec nigdy się nami nie interesował i ja wiem, co to jest brak miłości, bo ja jej nigdy nie czułam. Był taki moment, że Maniuś zaczął się mylić i do mnie też mówić „mamo”. Mama, jak to słyszała, zaczynała płakać i wyrzucała sobie: „Czy ja popełniam jakieś błędy w wychowaniu, że do ciebie też mówi mam?” Przytuliłam ją wtedy do siebie i mówię: „Nie, mamusiu, jemu po prostu brakuje miłości ojca, a do mnie jest przywiązany.” Mama trochę się uspokajała, a ja, gdy braciszek się mylił, to brałam

go na kolana i mówiłam: „Mati, ja jestem twoją starszą siostrą. Bardzo cię kocham, ale mamusię masz tylko jedną, pamiętaj o tym.” Tłumaczenia te zawsze kończyły się całusami od niego i wtedy prosił mnie, bym opowiedziała mu, co robiłam z nim, jak był malutki. Brałam go wtedy znowu na kolana i opowiadałam, jak nosiłam go na rączkach i śpiewałam kołysankę, by poczuł się choć przez chwilę bezpiecznie.

Podobno ładnie śpiewam, ale ja tego nie słyszę. Byłam kiedyś na karaoke w knajpeczce i zaśpiewałyśmy z koleżanką piosenkę „Facet to świnią.” Był to konkurs, kto najlepiej zaśpiewa, jednak jak to zwykle bywa, gdy nadeszła chwila, gdy miałyśmy iść śpiewać, ja straciłam odwagę, nie chciałam wyjść na scenę, ale koleżanka wyciągnęła mnie na siłę. Zaczęłyśmy śpiewać, dałyśmy takiego czadu, że po zaśpiewaniu cała sala biła nam brawa. Nadszedł werdykt od jury: pierwsze miejsce zajmują dwie dziewczyny przy ostatnim stoliku, ale nie wiedziałyśmy, czy to my, bo obok też siedziały dwie dziewczyny, które też brały udział w tym konkursie, ale ku naszemu zaskoczeniu to właśnie my wygrałyśmy i jeszcze raz musiałyśmy to zaśpiewać, ale tym razem już trema była mniejsza. W sumie wygrałyśmy półtoralitrowego szampana, którego wypiliśmy z ludźmi, których tak na prawdę nie znałyśmy.

Przyjaciele, których mam, to ludzie dużo starsi ode mnie, mam z nimi dobry kontakt, z tymi w moim wieku nie mogę się dogadać. Oni mieszkają z rodzicami, są jeszcze od nich zależni, a ja musiałam się stać bardzo wczesnie dorosła i chyba to spowodowało, że nie potrafię się z nimi dogadywać. Moi znajomi to osoby w przedziale od dwudziestu pięciu do dwudziestu ośmiu lat i świetnie się z nimi dogaduję.

Powiedziałam sobie, że wyjdę z tego dołka, muszę się wziąć tylko w garść. Weszłam na Internet, żeby zobaczyć, co te moje sny znaczą. Wszystko to, co mi się przyśniło było

zarazem ostrzeżeniem, ale i dobrym znakiem. Pomyślałam, że to może Bóg dał mi szansę i opamiętanie we śnie, i przysłał na ziemię dobrego anioła stróża, który będzie mnie chronił, i to nie jest jeszcze na mnie pora, mam jeszcze jakąś rolę do spełnienia tu, na ziemi. Weszłam na „Naszą klasę” i oglądałam u koleżanki na profilu jej znajomych i komp się zaciął. Gdy go wyłączyłam i z powrotem włączyłam, kliknęłam przez przypadek na faceta, który pochodzi z mojej miejscowości, ale aktualnie przebywa za granicą. Obejrzałam sobie jego fotki. Pomyślałam, że jest bardzo przystojny, ale dalej były dwie fotki z dziewczyną i znowu rozczarowanie. Wyłączyłam komputer. Było już po czwartej, a ja na ósmą miałam na do pracy.

Chyba usnęłam szybko, nawet nie pamiętam, jak i kiedy. Rano, mimo tylko kilku godzin snu, wstałam z taką werwą, że mogłabym góry przestawiać. Poszłam zadowolona do pracy. Tak naprawdę zastanawiałam się, czemu, bo jeszcze parę godzin wcześniej chciałam odejść z tego świata.

Czułam, że tego dnia coś się wydarzy. Do jedenastej byłam pełna energii, robiłam porządki na dziale mięsnym, kiedy podeszła pewna pani. Znałam ją z widzenia, bo często robiła zakupy u nas w sklepie. Podałam jej to, co chciała i zapytałam się, jak tam maluszek, bo uwielbiam małe dzieci, a ona ma synka dwu i pół miesięcznego. Powiedziała, że rośnie jak na drożdżach i zapytała się, czy nie chciałabym się z nią umówić na kawę, bo nie ma tu koleżanek i myśli, że ze mną się dogada. Umówiliśmy się tego samego dnia na kawę.

Gdy wybiła na zegarze piętnasta, szybko się zebrałam do domu, bo czułam, że coś na mnie czeka... Przeczucie mnie nie myliło.

Weszłam na NK. Była wiadomość. Ciekawiło mnie strasznie, od kogo. Długo się wczytywało, bo brat coś ściągał, ale w końcu się otworzyło. Wiadomość, która przyszła była od

Adama. Dostałam od niego zaproszenie do NK, przyjął, choć tak naprawdę nigdy nie przyjmowałam zaproszeń od nieznajomych, zaraz po tym zostawiłam komputer i położyłam się na troszkę.

Obudził mnie sms od Kasi, że, niestety, ale musi dziś odwołać nasze spotkanie, żebym się nie gniewała i czy znajdę czas jutro. Odpisałam jej, że ok, rozumiem, nie ma sprawy. Umówiliśmy się na siedemnastą, poszłam. Okazało się, że ona ma takie same zainteresowania jak ja, tak się rozgadałyśmy, że nie wiadomo, kiedy ten czas zleciał. Było już po jedenastej. Powiedziała: „Zostań u mnie na noc, opłaca ci się wracać do domu?” Siedziałyśmy do trzeciej rano, a ja na piątą trzydzieści do pracy... Położyłam się na troszkę i budzik zaczął dzwonić. Tak dobrze się gadało, a teraz ciężko wstać. Ogarnęłam się jednak i poszłam do pracy.

No i znowu telefon: „Wpadnij do mnie dziś na kawę.” Zgodziłam się, choć byłam strasznie zmęczona, jej męża nie było, bo akurat miał nocne zmiany. Siedziałam z Kasią w kuchni, a potem poszłam zerknąć na NK. I znów ten Adam. Zerknął na mój profil. Zawołałam Kasię i zapytałam jej, co mam o tym myśleć, bo ten przystojniak potrafi parę razy dziennie wejść na mój profil. Pokazałam jej te dwie fotki z dziewczyną, choć na nich nie było widać, żeby byli parą. Pewnie są tylko znajomymi.

Byłam naprawdę zmęczona, zaczęłam się zbierać. Kasia poprosiła mnie, żebym została u niej na noc, zgodziłam się, ale tej nocy poszłam szybko spać. Było po jedenastej, a już chyba spałam. Od dawna nie mogłam spać, bo myślałam, jak mogę rozwiązać swoje problemy...

Następnego dnia na naszej klasie był aktywny ten Adam. Choć nigdy pierwsza nie pisałam do facetów, do niego napisałam: „Hej, pierwszy raz cię widzę aktywnego i chyba się nie znamy. Myślę, że troszkę ci się spodobałam, bo często

zerkasz na mój profil." Odpisał szybko: „Hej, mam na imię Adam, a ty pewnie Kasia. Nie znamy się, bo już cztery lata jestem za granicą, no, chyba, że widziałaś mnie w jakiej knajpeczce...” I tak pisaliśmy sobie troszkę i umówiliśmy się na następny dzień na NK.

Tylko u mnie, niestety, w domu jest straszna rywalizacja o kompa. Dostałam jednak od brata półtorej godziny, siedziałam od dziewiętnastej trzydzieści do dwudziestej drugiej, ale niestety, Adama nie było. Jednak, gdy zeszłam o dwudziestej drugiej, on się zalogował dwie minuty po... Dostałam wiadomość od niego, myślał, że jeszcze jestem. Nie mogłam usnąć, moje policzki płonęły żywym ogniem. Było już po dwunastej, gdy napisałam do brata, co robi, bo nie mogę usnąć i liczę baranki, a jestem już przy tysiąc czterysta, mam wiadomość na NK od kolegi, a on mi odpowiedział: „To chodź, ty mała wariatko.” Przyszłam do pokoju, a brat się zaczął śmiać: „Ty przestań lepiej czytać te książki, za dużo słuchasz muzy, dobrze, że nie oglądasz jeszcze tych brazylijskich poszarpańców. Skąd ty możesz wiedzieć, że masz wiadomość od kolegi?” Bo tak czuję, jestem przecież nawiedzona. Wybuchnął śmiechem. Nie myliłam się. Była wiadomość od Adama. I widzisz, ta mała wariatka ma wiadomość, może po prostu taki zbieg okoliczności. Odpisałam mu, że dzieliły nas tylko dwie minutki, opisałam mu swój dzionek w pracy, bo on też mi opisał swój, i tak zaczęliśmy wysyłać sobie listy. Jak to ja, rozpisywałam się na 2000 liter, ale nie mówiłam mu zbyt wiele o sobie. Raz za szybko zaufałam, zbyt wiele o sobie powiedziałam, i jak to bywa przyjechałam się, ale nieraz jest potrzebna taka nauczka od losu. Niby wszystko było ok, a w jeden wieczór wszystko pękło jak bańka mydlana, i teraz boję się komuś zaufać, i nie chcę się niepotrzebnie angażować, bo zawód bardzo boli.

Adam wróci wiosną i mamy się spotkać na żywo, ale kto wie, czy tyle czasu wytrwamy. Może być tak, że teraz się świetnie rozumiemy, a gdy się spotkamy czar może prysnąć, ale to czas pokaże. Nikt nie wie, co będzie dalej, ale mam taką małą nadzieję, że gdy się spotkamy, to wszystko się ułoży i będzie tak jak w bajce. W dziwny sposób się poznaliśmy, ale ślemy do siebie magiczne fale. Kiedy myślę o nim, przeszywa mnie takie fajne uczucie, ech, mogłoby być już tak na zawsze...

Gdy rano wstałam, pierwsze co zrobiłam, to zerknęłam na NK. Obiecał mi fotkę, którą miał mi wysłać na maila. I była. Dostałam o tej godzinie, o której spojrzałam na telefon. Czy to jest znów tylko zbieg okoliczności czy to może przeznaczenie? Bo to jest facet, o którym zawsze marzyłam, nie przeszkadza mi to, że jest starszy ode mnie o dziesięć lat, nie musi mieć złotych gór, bo dla mnie byt się nie liczy. Po prostu chciałabym być szczęśliwa, żeby ktoś zaakceptował mnie za taką, jaka jestem, żeby mnie pokochał i lubił, bo kochać można każdego człowieka, ale w prawdziwym związku trzeba się też lubić za wszystko, nie wytykać sobie wad, bo każdy człowiek je ma, wspierać się w trudnych sytuacjach... I tak można by było wymieniać z tysiąc przykładów.

Dla mnie w związku podstawą jest zaufanie, szczerłość, pociąg fizyczny. Ja nie miałam jeszcze tej prawdziwej miłości, byłam raczej do tej pory zauroczona, nawet zakochana, ale nie było tej chemii, która tak ciągnie do siebie. Nie szukam faceta na siłę, ale może ja po prostu czekam na tą prawdziwą miłość? Powiedziałam sobie, że gdy odnajdę kogoś na końcu świata i będę wiedzieć, że od dziś będę chciała z nim spędzić resztę swoich dni, nauczę się pewnej piosenki i zaśpiewam ją dla wybranka swego serca na własnym weselu. Zadaję sobie pytanie, czy wytrwam, czekając na niego pięć długich

miesiący, czyli sto sześćdziesiąt dni. Może się to okazać wiecznością, może być tak, że po miesiącu lub dwóch przestaniemy do siebie pisać. Nikt tego nie wie, mam taką cichą nadzieję, że uda się nam. Mamy takie same zainteresowania, lubimy gotować itp.

Spodobały mi się jego słowa: „Tu nikogo nie ma i nie będzie, mogę ci to obiecać, będę. Czekaj na mnie, kochanie.” Ale nadeszła chwila zwątpienia. Mogę mu uwierzyć, ale zaufać na razie nie potrafię i on o tym wie. Podoba mu się, że mam bujną wyobraźnię, choć to, co piszę teraz jest faktem, bo piszę to, co czuję, nie lubię kłamać i nie lubię, jak ktoś to robi, a potrafię to wyczuć.

On mi zadaje krótkie pytanko, a ja rozpisuję się na 4000 liter, bo taką pojemność ma wiadomość na NK. Napisał mi parę razy, że lubi czytać moje listy, bo są ciekawe. On mnie zmotywował do tego, żebym coś napisała, bo potrafię to robić. Więc pewnej nocy nie chciało mi się spać tak, jak teraz i napisałam krótki opis swojego dzieciństwa, a pomysł wziął się z tego, że koleżanka opowiedziała, jak jej kolega popełnił samobójstwo. Miał jakieś problemy w szkole, w rodzinie, i wybrał to najgorsze rozwiązanie. Moim celem jest przetłumaczyć tym młodziutkim osobkom, że śmierć nie jest rozwiązaniem, nie warto szukać rozwiązania w śmierci, nie warto szukać rozwiązania u psychologa, trzeba samemu go szukać.

Ja też miałam dosyć już tego życia, ale szczęście zaczęło się do mnie małymi kroczkami uśmiechać, wynajęłam sobie pokoik u cioci. Tam mam spokój, ciszę, mogę czytać książki, bo je pochłaniam całą sobą. Dałam do przeczytania to moje opowiadanie pani Ani. Przeczytała tylko kawałek i jej się spodobało, kazała mi pisać dalej, i mam właśnie taki zamiar. Zaproponowała mi wziąć udział w konkursie. Tego samego dnia kupiłam sobie laptopa, oczywiście na raty, bo nie stać

mnie na tak duży wydatek. Założyłam sobie Internet. Zaczynam teraz widzieć sens swojego życia i powoli zaczynam je kochać, i będę brnąć dalej z ogromną siłą i wiem, że mi się uda.

W końcu dałam Adamowi przeczytać tą wiadomość. Jemu, jako pierwszej osobie napisałam, że pani Ani się to spodobało. Napisał: „Kotku, jesteś wielka, wszystko ci się układa.” Cioci, Kasi i jej mężowi też dałam to przeczytać, spodobało im się. Ja może jeszcze tego nie wiem, a siedzi przede mną Wisława Szymborska. Ona też wiele przeżyła w swoim życiu, i też zaczynała opisywać losy swojego dzieciństwa i udało jej się zostać kimś, jest sławna. Ja nie mam w sobie tej pewności siebie, poddaje się często, nie próbuję czegoś dokonać, ale myślę, że w końcu uwierzę w siebie. Ale kiedy to będzie, nie mam zielonego pojęcia.

Teraz powolutku kończę tą swoją filozofię. Myślę, że ten, co zechciał przeczytać to nie skrytykuje tego, bo pisanie jest na razie wszystkim tym, co mam. Nie podpisuję się imieniem, użyje swojego pseudo.

Kochani, trzymajcie za mnie kciuki!

Do zobaczenia, bo jeszcze nie raz coś napiszę. Wam, rywalom, też życzę powodzenia. I pamiętajcie: bez względu na wszystko KOCHAJCIE ZYCIE..

Mała Wariatka

WIERSZE

MAGDALENA MIKOŁAJCZAK

WSPÓŁCZESNE CZARY - MARY

Oczarowałeś mnie

Zaczarowałeś moją nieufność i skromność

Przebiłeś mur oddzielający mnie od reszty świata

Pojawiłeś się tak nagle

Kiedy to ja nawet nie marzyłam o kimkolwiek

Nie bałeś się mnie

Mojego ciała

Moich myśli i słów

Dotykałeś

Przytulałeś

Całowałeś

Całą mnie

Każdy milimetr

Fragment po fragmencie

Powtarzając, że zabierasz do swojego świata

Mój charakter

Mój uśmiech

Moje serce

I moją duszę

Że powalczysz

Odmienisz

Nauczysz

I zaopiekujesz się

Tak na zawsze

W cierpliwości i w pokorze

Prowadziłeś w otchłań ukojenia

Czym zasłużyłam na tak cudowny dar?

Że w mym życiu, nie we śnie

Lecz na jawie

Ujrzałam Anioła

Prawdziwego i niepowtarzalnego
Który anielską duszę i ciało anielskie
Urzeczywistnił
Tak prawdziwie i namacalnie
Który zamiast mówić Ja
Przy mnie zaczął mówić My
I chociaż strach we mnie ogromny
To w pełnej świadomości podejmuję to wyzwanie
Próba zmienienia tego, co do wczoraj wydawało się być
stałe, trwałe i niezmienione
I przez ten Twórcę czar
Życ mi się zachciało
Mocniej i intensywniej...
Inna Ja...

PATRYCJA PILOT

MÓJ SKARB NAJWIĘKSZY

Mój skarb największy - jak go opisać?

Czy ręka ma jest dość sprawna

By słowa tak ważne

Z mych myśli na papier przelać?

Czy usta me grzeszne

Są godne by szczęście tak wielkie wymówić?

Jak długo me serce jest w stanie jeszcze

Wyrywać mi się z piersi

Tak rąbać i walić

Rozrywać me płuca

Z radości, miłości

Tak nieprzyzwyczajone do tego szaleństwa

Uśpione dotychczas, stwardniałe na kamień

Ja długo?

Jak skarb mój opisać?

Słowami zwykłymi, czynami codziennymi,

A może czymś więcej?

Może błaganiem całego świata

O wybaczenie

Za to uczucie

Bo ono takie wielkie, niepospolite,

Nieograniczone i niezakłamane...

Czyste

Gorące i smutne...

Smutne, bo łzy z oczu wyciska

To przez ten rozum...

Rozum - diable, ucisz się!

Daj głos sercu, nie myślom,

Na nic to nie przydatne nikomu nie potrzebne.

I dławię się z płaczu i łkam jak dziecko małe,

A rozum się cieszy.

W swej szarej komnacie swe dzieci - myśli wyzwala,
Te najgorsze, okrutne, bolesne,
Te najgorsze...
Odganiam je więc od siebie - bo cóż mogę więcej?
Przytłaczają mnie one, ranią
Obumierają mi nogi
Obumierają mi ręce
Usychają włosy
Wyływają oczy
Gniję cała w środku
Umiera w końcu me rozkołatanе serce
Zabiły mnie! Och, przeklęte!
Nie zdążyłam opisać skarbu mojego. Największego.

PATRYCJA PILOT

DOTYKAM DNA

Dotykam dna

Głębokiego czarnego dna

A w nim,

Ciemność, szarość,

Widzę dno

Nie! Ja przecież nic nie widzę

Tylko ciemność i nicość

I już nic przede mną nie ma.

Zasypiam - nie chcę się zbudzić

Chcę zniknąć w tych ciemnościach

Rozpłynąć się w ich ramionach

Ciężkich, zimnych

Utopić się w nich.

Dotykam dna

Rękami, nogami, całą sobą

Tulę się do niego

Bo ono mi tylko zostało...

W tym życiu

Bezgranicznie szpetnym

Chcę tu zostać.

Chcę tu zasnąć.

Nie ratuj mnie!

Nie wyciągaj do mnie dłoni!

Ja nie szukam już zmian,

Których tak pragnęłam

Ja nie szukam Ciszy

Której tak pożądałam

Ja nie szukam już nic

Poddałam się nicości

Poddałam się cierpieniu

Nie ratuj mnie!

Chociaż...
kto by pomyślał o ratunku dla mnie?